

Erik Fosnes Hansen

Wieża Sokołów



*Reidun Iversen
dedykuję*

Erik Fosnes Hansen należy do najbardziej obiecujących pisarzy skandynawskich młodego pokolenia. Urodził się w 1965 roku w Nowym Jorku, wychował i kształcił w Oslo. Po ukończeniu gimnazjum pracował przez kilka lat jako niezależny dziennikarz radiowy. Miał 20 lat, kiedy opublikował pierwszą książkę zatytułowaną *Falketårnet* (*Wieża Sokołów*) wyrosłą na fali zainteresowania średniowieczem. Zachwycili się nią zarówno krytycy, jak i czytelnicy, Hansen zyskał uznanie za mistrzowską umiejętność budowania sugestywnych i przejmujących obrazów. Światowy poziom tego debiutu potwierdziło przyznanie 23-letniemu autorowi Nagrody Scheiblera. Po sukcesie *Wieży Sokołów* Hansen przeniósł się do Stuttgartu, gdzie kontynuował studia, w tym też czasie dużo podróżował. Wydany w roku 1990 *Psalm u kresu podróży* również odniósł sukces, i to na całym świecie. Okrzyknięta arcydziełem, książka figuruje na listach bestsellerów wielu krajów, w Norwegii zaś wyróżniona została prestiżową nagrodą literacką Riksmalprisen. Hansen, który jest także eseistą i krytykiem, mieszka obecnie w Oslo. Pracuje nad trzecią powieścią.

Tytuł oryginału «Falketårnet»

Przełożyła Maria Gołębowska-Bijak

Na podstawie: *Wieża Sokołów*, Erik Fosnes Hansen, Wydawnictwo "Książnica", Katowice 1998; ISBN 83-7132-288-7

3-05-2006



asbb2003@interia.pl

I. SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE	3
I. DŁOŃ	4
I	4
II	7
II. ZAPISANE W GWIAZDACH	11
I	11
II	15
III	18
III. ŚNIEŻYCA	24
I	24
IV. GOŁĘBICA	26
I	26
II	32
V. NIEWINNY	38
I	38
II	42
III	45
VI. IMIĘ	52
I	52
II	55
III	59

WPROWADZENIE

Akcja tej powieści rozgrywa się na jesieni i w zimie przełomu lat 1229-30, w południowych Niemczech, gdzieś w Szwabii, nad Neckarem, Dunajem czy którymś z ich dopływów. Znajdujemy się na terenach Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

Miejscowość czy też zamek Falkenburg nie istnieje w rzeczywistości, jest miejscem wymyślonym, złożonym z elementów wielu okolicznych dóbr. Podobnie żaden z bohaterów powieści, z wyjątkiem astrologa Michaela Scotusa, nie jest postacią prawdziwą. Zarówno w stosunku do tego ostatniego, jak i do innych historycznych osobistości, o których mowa w książce, pozwoliłem sobie na pewną literacką swobodę.

W roku 1229 "przeklęta" wyprawa krzyżowa cesarza Fryderyka II powróciła z Syrii po zajęciu Jerozolimy bez przelewu krwi. Z politycznych i innych względów papież Grzegorz IX oplótł cesarza siecią intryg i rozpuścił wieść, że krucjata poniosła klęskę, a Fryderyk II zginął, bądź też przeszedł na stronę niewiernych. Papiestwo obłożyło cesarza klątwą i próbowało zasiać ziarno niezgody pomiędzy nim a jego rzymsko-niemieckimi wasalami i książętami. Na jesieni 1229 r. ekskomunika zachowuje jeszcze moc.

Książka w żadnej mierze nie koncentruje się na tych faktach historycznych, jej zasadnicza akcja z równym powodzeniem mogłaby zostać ulokowana w innym czasie i w innym miejscu. Z tego samego powodu nie podano dokładnego położenia Falkenburga. Moim zamiarem nie było napisanie powieści historycznej w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więc omawianie zdarzenia historycznego w formie powieściowej. Natomiast dobrze byłoby pamiętać o wymienionych realiach podczas lektury.

Używałem w miarę konsekwentnie nazwy Falkenburg ("Sokoli gród", dosłownie "zamek warowny rycerza o nazwisku rodowym Sokół lub takiegoż herbu") zamiast niemieckiego Falkenburg, a to w celu uświadomienia czytelnikowi, iż rzecz dotyczy zamku, a nie miasta, co najczęściej rozumiemy pod niemiecką nazwą geograficzną zakończoną na -burg.

Oslo, w lutym 1985
Erik Fosnes Hansen

I. DŁOŃ

I

Szło ku zimie. Pola świeciły jeszcze nagą czernią, lecz od kilku dni zagościł już w lennie mróz, wysysając życie i rumieńce z lasów i łąków rozciągających się na wszystkie strony wokół Falkenborga. Co noc na szybach zamkowych okien wyrastały mroźne kwiaty, a o poranku trawa i drzewa pokrywały się bielą. Krajobraz powoli zastygał i każda z barw nabierała stopniowo zimnych odcieni.

Było bezwietrznie. Z kominów i otworów dymnych chat unosiły się prosto w niebo cienkie, niebieskie smużki dymu. Na ziemię zstąpił chłód, a wraz z nim zapadła cisza.

Wszystko czekało na śnieg.

Chłopiec o imieniu Wolfgang stał oparty o blanki na szczycie północnego muru. W czeluści rozwierającej się pod stopami słyszał nawoływania sokołów, opadających szerokimi łukami ku rzece. Nie czuł, że z głębin unosi się ku niemu mroźny powiew. Wzrok skierował na północny zachód, ku lasom, ale oczy miał martwe, jakby zamarzły w twarzy. Zdawało się, że jego myśli kołują razem z ptakami i nic nie widzi.

Długo – godzinami – mógł tak stać w zupełnym bezruchu. Zimno się go nie imać.

Był zadowolony, że także tego roku udało mu się na lato przenieść swą kwaterę tu, na Wieżę Północną. Mury od tej strony nigdy nie były strzeżone, nawet nocą, żaden bowiem śmiertelnik nie wspiąłby się na ich szczyt prosto z rzeki po stromej skalnej ścianie, zwieńczonej gładziczną cegiel. Tak więc nie było tu straży, rzadko też przychodzili inni ludzie. Cisza i spokój panowały przeto na górze i przez całe lato prawie nikt mu nie przeszkadzał. Wolfgang był za to wdzięczny losowi, okres letni stawał się dlań w ten sposób najlepszą porą.

Tymczasem jednak zbliżała się zima i wiedział, że oni będą próbowali ściągnąć go na dół przed nadejściem śniegu: żeby znowu sprowadził się w cień zabudowań i murów. Na dół, do nich.

Na dole – w korytarzach i salach, na dziedzińcach i pod sklepieniem bram – panowała wszędzie jakaś lepka atmosfera zamknięcia; zaduch potraw, dymu i odchodów połączony z wieczystym szumem głosów i dźwięków, nie milknących nawet w nocy.

Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby przeniósł się na dół i mieszkał razem z nimi przez następne cztery czy pięć miesięcy – zaraz po owym długim, cichym lecie, z niebem i słońcem na wyciągnięcie ręki.

Już na samą myśl o tym oddychał z trudem.

Tutaj czuł się wolny jak sokoły z wieży, jedyne obchodzące go żywe stworzenia. Posiadał cztery; codziennie je ćwiczył i przypatrywał się ich powietrznym igraszkom: kazał wznosić się z murów pod chmury, pikować w dół ku rzece i powracać. Raz za razem. Nigdy nie nużył się widokiem ich lotu, a w przerwach rozmawiali.

Cały wolny czas poświęcał drapieżnym ptakom. Układanie ich było trudne; wymagały dużo zachodu, lecz nie życzył sobie pomocy.

Tego lata nie rozmawiał prawie z nikim poza swoim preceptorem, starym franciszkaninem o imieniu Sebastian. A i wtedy ograniczał własne wypowiedzi do minimum. Z wiosną tego roku dostał nowego sokoła, który całkowicie absorbował jego uwagę.

Czasem przechodziło mu przez myśl, iż zapewne w opinii ojca Sebastiana ciężko jest mieć z nim do czynienia.

Prawie codziennie spacerował po koronie murów, a często wyprawiał się z małym orszakiem do lasu, by dać sokołom okazję do zapolowania. Gdy towarzyszący mu w czasie takich wycieczek pytali o coś, odpowiadał skinieniem głowy lub ruchem ręki, możliwie rzadko słowami. W kontaktach z ludźmi zachowywał czujny dystans. Jego spojrzenie było dziwnie dalekie, a jednocześnie bystre – jak u sokoła.

Płoszył w ten sposób poddanych, dobrze o tym wiedział. Dostrzegał przecież, jak wskazują go sobie wzrokiem i poszeptują ukradkiem, gdy w drodze na łowy przejeżdżał przez miasteczko, otoczony czterema sokołami na swobodzie, siedzącymi mu na ramionach lub na łęku siodła; nie potrzebował ich wiązać na rzemiennej linie ani trzymać pod kapturem. Na zamku także rozlegał się po kątach szmer plotki; myśleli, że tego nie zauważa.

Tak, szeptali, wytykali go palcami. Przejmował się tym jednak nie bardziej niż wszystkim innym, co odbywało się tam w dole, w cieniu murów.

Mieszkał w najwyższej części zamku, gdzieś między ziemią a gwiazdami, dokładnie tak jak drapieżne ptaki. Nawet wysoka baszta strażnicza nie sięgała tak daleko w niebo. I chociaż w pozostałych włościach nie było wiatru, tutaj wiał zawsze.

Czasami o poranku zwały mgły zalegały poniżej Wieży Północnej. Szarobiałe pasma oglądane z góry w promieniach słońca napawały Wolfganga pełnym zdumienia szczęściem i przyprawiały o zawrót głowy.

Wezwał ptaki, wszystkie cztery. Jeden za drugim spływały z powietrznego oceanu, krzycząc ze skargą w głosie: Ki-ja! Ki-ja!" Śledził je wzrokiem, a w miarę jak lądowały, formował ustami drobne dźwięki. Na prawej dłoni miał rękawicę sokolniczą z jeleniej skóry, na nią przyjmował ptaki – siadając zawsze musiały coś pochwycić w szpony. Poza tym rzadko jej używał, bo lubił poczuć na skórze dotyk ostrych pazurów i ciepłych piór. Coś mu mówiło, że tak jest najlepiej.

Ostrożnie przesunął nosem i ustami po jednym z tych pięknych pulsujących ciał, a sokół odwzajemnił pieszczotę, przechylając się bliżej ku jego twarzy. To był ten, który dotąd nie otrzymał imienia, najnowszy. Prawie dorosły młody sokół wędrowny, jeszcze z ciemnobrązowymi skrzydłami i podłużnie cętkowanym podbrzuszem, bardzo piękny. Kiedy Wolfgang zobaczył go pierwszy raz tej wiosny, serce mu nagle podskoczyło w piersi. Od przygodnego ptasznika nie wydobył co prawda, czy schwytano go w gnieździe, czy też już podczas przelotu, ale wiele wskazywało na to, iż został pojmany w locie, bo opierał się ułożeniu, a i teraz jeszcze potrafił być uparty i trudny. Tak zazwyczaj bywało z ptakami, które zasmakowały wolności, zanim je uwięziono. Ten jednak wiele obiecywał jako łowca; Wolfgang zabrał go tego lata kilkakrotnie na polowanie i okazało się, że ma siłę uderzenia i szybkość, których pozostałym trzem brakowało – wszystkie hodowano od pisklęcia.

Jakkolwiek jednak było – nie miał jeszcze imienia.

Sprawa nie była prosta. Nie chodziło mianowicie o to, żeby wybrać byle jakie i nazwać nim ptaka. Musiał dać mu imię właściwe, a to nastroczało trudności. Pozostałe trzy zwały się Feniks, Serafin i Aleksander, i nad każdym z tych imion długo się zastanawiał. Toteż każde, zdaniem Wolfganga, bardzo dobrze pasowało i brzmieniem, i znaczeniem do tej trójki.

Czuł, że już wkrótce znajdzie odpowiednie, że pojawi się mu w głowie, jak ryba wyskakująca ze spokojnej toni. Albo raczej – jak sokół spadający z jasnego nieba.

– Jakże ci na imię, przyjacielu? – wyszeptał z twarzą wtuloną w sokole pióra. – Może pater Sebastian?

Ptak spojrział nań ostro, z przyganą.

– A więc nie. – Wolfgang uśmiechnął się i pozwolił mu się uchwycić dziobem za włosy. – Widzisz coś tam w górze, sokole?

Wolną ręką pogładził ptaka po grzbiecie i skrzydłach. Jak zawsze przeniknęło go drgnięcie rozkoszy i pełni życia, takie samo i z równą siłą jak przed prawie czterema laty, gdy po raz pierwszy dotknął łowczego sokoła. Miał dziesięć lat, kiedy dostał Feniksa. Teraz kończył trzynasty. Wraz z przybyciem Feniksa wszystko się odmieniło, a życie nabrało nowego sensu. Pozostałe ptaki pojawiały się stopniowo. Wystarczyły cztery, stwierdził stryj.

Wolfgang natomiast nie miałby nic przeciw temu, by wypełnić sokołami całe poddasze wieży, ale uznał, że tego nie da się przeprowadzić.

Stryj, no cóż... Myśli ponownie uleciały w niebo.

W roku Pańskim 1226 cesarz Fryderyk II prowadził wojnę przeciwko miastom Ligi Lombardzkiej, potrzebował zatem rycerzy. Graf Henryk z Falkenborga był jednym z nich. Pociągnął na drugą stronę Alp, pozostawiając zamek, włości oraz żonę z synkiem pod opieką brata.

Potem cesarz wezwał swych rycerzy na krucjatę, by spełnić obietnicę zdobycia Świętego Miasta. Graf Henryk przyłączył się do wyprawy, albowiem gładko obracał mieczem i znajdował upodobanie w obozowym życiu.

Najpierw podczas wojny w Lombardii, a potem w czasie przygotowań do krucjaty słał na Falkenberg listy. Nie wszystkie tam docierały, bo zamek położenie miał niedogodne i był oddalony od głównych szlaków wiodących na północ. Poza tym szerzyły się niepokoje. Nic także nie chroniło przed zaginięciem listów z zamku do grafa Henryka. Tak się więc złożyło, że rycerz nigdy nie otrzymał wieści o rychłym po jego wyjeździe zgonie małżonki. Z czasem pisma od grafa Henryka zupełnie przestały przychodzić i przez dłuższy czas nikt nie wiedział, jak się powiodła wyprawa. Z Rzymu wszakże i z innych źródeł biegły przedziwne plotki. Odnalazły drogę także na Falkenberg.

Wolfgang był synem grafa, dziedzicem, a teraz, pod nieobecność ojca, właściwym panem Falkenborga. Stryj Fryderyk pełnił na zamku nieodmiennie i wyłącznie funkcję burgrabiego.

Chłopiec dobrze pamiętał śmierć matki w sam Wielki Piątek. W trakcie uroczystości wielkoczwartkowych źle się poczuła i wycofała do łóża. Rankiem w Wielki Piątek obudziła się z silnymi bólami, a około południa już nie żyła.

Jeszcze dziś potrafił przywołać w pamięci wszystko, co nastąpiło owego najdłuższego w jego życiu przedpołudnia. Nie dlatego że czuł się w danym momencie szczególnie przytłoczony żalem, bo, o dziwo, tak nie było. Również nie dlatego że matka pomiędzy atakami bólu rozmawiała z nim długo i poważnie o tym, jak wkrótce, gdy zostanie sam, ma o siebie zadbać, pilnować swoich praw i jak się zachowywać. Prawie nie zwrócił uwagi na to, co wówczas mówiła.

Kiedy bowiem Wolfgang wracał myślą do dnia śmierci matki, stawało mu przed oczyma coś zupełnie innego, co wtedy całkowicie przesłoniło jej odejście. Żał przyszedł dopiero później.

Zobaczył Śmierć.

Czuł, że przybysz z zaświatów jest w komnacie; widział, jak wbija się w matczyne ciało i w ciągu kilku krótkich godzin wysysa zeń życie. Pamiętał, że zrobiła się tak blada, iż przypuszczał, że bardziej już zblednąć nie można – i pamiętał jeszcze ten nieopisany lęk, widoczny w jej oczach, gdy w końcu nadeszła chwila ostateczna. Nie zapomniał zimnego potu, z którego ciągle musieli ocierać jej twarz i dłonie. Nieustannie cichutko pojękiwała, a mały loczek złotych włosów na czole zwilgotniał i pociemniał; piękne oczy stały się matowe i puste.

Z wielkim wysiłkiem wciągnęła w płuca haust powietrza, które tam już pozostało. Pamiętał także, że spojrzenie jej pękło jak lustro wody, gdy wrzucić w nią kamień, który podnosi z dna błoto i muł.

Cały czas siedział w kącie przy oknie, zagryzając wargi. O tak, w komnacie była Śmierć, a Wolfgang zastanawiał się, skąd ją zna. Nie mógł też pojąć, że nikt inny – może z wyjątkiem matki – nie widzi przybysza z kosą. Obecność Śmierci była mu niemal fizycznie nieznośna, kładła się cieniem, zasłoną dymną pomiędzy zgromadzonymi w komnacie.

Kiedy matka zrozumiała, że zbliża się koniec, posłała po stryja. Burgrabia ukląkł przy jej łożu i przysiągł, że do powrotu grafa Henryka otoczy Wolfganga opieką.

Potem zaczęła bełkotać, odchyliła bezwładnie głowę i nagle jakby się bardzo postarzała. Zamarła w panice i trwodze – coś albo ktoś usiadł jej na piersiach i wpatrywał się straszonym wzrokiem, którego nikt inny nie mógł dostrzec.

Wnet było po wszystkim i ojciec Sebastian zakończył odczytywanie modlitwy za umierających. Atmosfera w komnacie od razu zelżała, przybysz zniknął i rzeczywistość wróciła do normy.

Tego popołudnia musieli odnieść Wolfganga do jego komnat.

W okresie, który nastąpił potem, zajmował go tylko jeden problem: co by się stało, gdyby ojciec nie wrócił? W trakcie nauki zdążył już pojąć, że podczas wojny wielu musi zginąć. A jeśli ojciec znajdzie się wśród nich?

Początkowo myśl ta napawała go lękiem, potrzebował więc nocami światła w komnacie. Z czasem nauczył się opanowywać, ale dzień w dzień czuł go jeszcze, jak ómiący gdzieś w piersi ból. Świadomość, iż pozostał sam, ścisnęła mu niekiedy gardło szlochem.

Oczywiście, miał przecież w dalszym ciągu stryja i stryjenkę – ale wydawali mu się zawsze trochę chłodni i dalecy, coś w nich budziło jego obawę, choć w istocie nie wiedział dlaczego.

Po śmierci matki chadzał własnymi drogami, nie mając z kim porozmawiać; rozmyślał tylko o dziwnym zjawisku, którego był świadkiem, i o tym, że został sam. Nie lubił teraz wracać do tego okresu.

A potem dostał pierwszego sokoła i już nie był samotny. Czas wypełniała mu nauka sokolnictwa i planowanie polowań, reszta go nie obchodziła. Nie brał udziału w ćwiczeniach rycerskich, które rozpoczął pomału z chwilą utraty mlecznych zębów; z najwyższą też niechęcią kontynuował lekcje z ojcem Sebastianem. Stryj pozwolił mu zrezygnować z zajęć fizycznych, to poszło łatwo. Po cichu dawał mu pełną swobodę. On także sprowadził pierwszego sokoła, przypuszczalnie po to, by Wolfgang się czymś zajął i przestał pogrążyć w smutku. Poza tym, zdaniem stryja, łowcze ptaki były przydatne na zamku.

Tak więc przez ostatnie trzy, cztery lata chłopiec zajmował się wyłącznie sokołami. Tej jesieni jednak powróciły myśli o ojcu i krucjacie. Powód zaś był taki, iż zaraz po Bożym Narodzeniu kończył czternasty rok życia, osiągał dojrzałość i w związku z tym stawał się w świetle prawa panem zamku. Co to właściwie oznaczało – nie miał najmniejszego pojęcia. Częściowo też dziwiło go, że stryj nigdy z nim na ten temat nie rozmawia – jakby zapomniał, że ów dzień się zbliża. Pozostawiał go sam na sam z sokołami, jak zawsze do tej pory.

Wolfgang zapamiętał ojca, grafa Henryka, jako wysokiego, jasnowłosego i brodatego męża, który od czasu do czasu unosił go w ramionach pod niebo, w gruncie rzeczy jednak nie mieszał się do jego życia; na swój sposób miłego (choć to akurat wydawało mu się bardzo odległe), o łagodnym spojrzeniu i zamyślonym, prawie niedostrzegalnym uśmiechu. Wolfgang odnosił wrażenie, że ojciec traktuje wszystko z ogromną powagą i stanowczością. Nic dlań nie było zbyt mało znaczące. Lecz choć zajmował się drobiazgami, często bywał nieobecny duchem, a jego myśli szły w dal. Tyle ich zresztą krążyło mu po głowie...

Stryj był inny – chłodniejszy, ostrożniejszy i dalece bardziej spokojny od brata, rycerza. W obliczu ojca odbijał się śmiech i blask pochodni, turnieje i żarty, natomiast twarz stryja odzwierciedlała... Wolfgang nie wiedział dokładnie co; była w niej jednak jakaś nieruchoma cisza. O ile w rysach ojca ukazywały się jak w lustrze rzeczy i ludzie, o tyle przez Fryderyka przezieriała ziemia; żyzne pola uprawne i łąki, brązowa, gliniasta gleba.

Unikał stryja. I czuł, że on także go unika, ustępuje. Prawie zawsze mógł przeprowadzić swoją wolę, jak teraz w kwestii przeniesienia się do Wieży Północnej na stałe. Miał pewność, że burgrabia mu na to pozwoli.

Matka Wolfganga była najmłodszą córką jakiegoś hrabiego z Lotaryngii. Niewiele się na tym wyznawał, lecz powiadano, iż odznaczała się wielką urodą. Dla niego, zupełnie wtedy małego chłopca, była najpiękniejszym zjawiskiem na świecie. Sporo się swego czasu zastanawiał, dlaczego owa jasnowłosa dama w kosztownych szatach i welonie zmarła wówczas tak nagle.

Niewiasty na dole wśród zabudowań nazwały to serdecznym żalem, a miejscowy trubadur ułożył nawet pieśń o tym, jak serce jej pękło w dniu Męki Pańskiej. Ojciec Sebastian miał jednak na ten temat odmienne zdanie.

– Pas to sprawił – wyjaśnił Wolfgangowi. – To on zatruwa krew i wnętrzności, a jeśli się go w porę nie zdejmie, większość kobiet umiera.

Stary mnich znajdował szczególne upodobanie w tego typu rozmowach.

Chłopiec uważał zarówno niewieście kwilenie o żalobie serca, jak i smętną pieśń trubadura oraz gadaninę ojca Sebastiana o pasie cnoty za odrażające. Wolał rozmawiać z sokołami.

Tylko one coś z tego wszystkiego rozumiały. Same były jak śmierć; niezliczone razy oglądał, jak pikują ku ofiarom i jednym jedynym, niespodziewanym uderzeniem pozbawiają je życia.

Wieczorami, po zapadnięciu ciemności miał zwyczaj zakradać się do nich na poddasze, siadywać pod belkami stropu i rozmawiać, dopóki myśli nie zaczną się rwać, a oczy nie napełnią się piaskiem. Wtedy dopiero żegnał się z nimi i schodził po drabinie do swej komnatki w wieży. Wiedział też, że nie zasną, dopóki nie dotrze do siebie. Rozmowy z sokołami były wielką, dającą szczęście tajemnicą Wolfganga.

Nastała już prawie zima, lecz on powziął stanowczą decyzję, by przetrwać w wieży nawet trzaskające mrozy. We wszystkich pomieszczeniach były kominki – widocznie dawniej ludzie mieszkali tu przez okrągły rok – więc zamierzał później przenieść sokoły do izdebki sąsiadującej z jego komnatą i mieszczącej tylko wielką szafę z księgami; poza tym nie była używana. Tam będą miały ciepło. No i mogłyby leżąc w łożu, póki nie zaśnie, rozmawiać z sokołami przez uchylone drzwi.

Myśl o spędzeniu zimy w taki właśnie sposób, na baszcie pod gwiazdami, napełniła Wolfganga niewypowiedzianą radością.

Ze szczęścia ucałował Bezimiennego, odwrócił się i wszedł do wieży, otoczony sokołami jak obłokiem połyskujących piór.

Nie zauważył, że go obserwowano. Z okienka wieży w zachodnim murze zerkały w ślad za chłopcem oczy ojca Sebastiana.

Mnich potarł w zamyśleniu brodę i zszedł na dół.

II

– Czym on się tam na górze właściwie zajmuje? – oblicze burgrabiego Fryderyka pociemniało ze wzburzenia.

Pater Sebastian jak zwykle czuł ukłucia drobnych igiełek strachu. Coś w tym człowieku budziło jego niepokój. Z upływem lat zaniepokojenie narastało, chociaż nie potrafił dokładnie określić, co powodowało tę dziwną obawę. Nos mnicha zarejestrował wyraźną, słodko-kwaśną woń grzanego wina. Strach zogniskował się w kolanach, jego ostre końce sięgały też ramion i pach.

– Jest taki jak zwykle – zaczął trochę sztywno. – Chodzi samotnie po murach. A przedpołudnia spędza ze mną na nauce.

– I to wszystko, z czym do mnie przyszlście, ojcze? – Burgrabia Fryderyk obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem. Obaj znali już formułę tych rozmów. Przez całe lato franciszkanin regularnie odwiedzał burgrabiego, by porozmawiać z nim o chłopcu. Rozmowa zaś przebiegała w ściśle określony sposób. Mnich zaczynał nie wprost, padało kilka słów o tym, że rozwój Wolfganga pozostawia wiele do życzenia, przy czym nie wyjawiał do końca, co mu naprawdę leży na sercu. Burgrabia Fryderyk początkowo słuchał uważnie, potem z coraz większym zniecierpliwieniem i irytacją. Treść spotkań mogła ulegać zmianom, ale najczęściej jedna sprawa pojawiała się w dyskusji nieuchronnie.

– Przypuszczam – rzekł burgrabia Fryderyk – że jak zwykle przychodzicie do mnie, ojcze, w sprawie sokołów. Wiem dobrze, że lud szepcze to i owo o czarnoksięstwie i podobnych bzdurach. Czyżby znowu obito się to wam o uszy?

– Cóż, panie... wszak wiecie, że sokoły zawsze mnie niemało martwiły, a już szczególnie w ostatnim półroczu, po jego przeprowadzce na wieżę i po tym, jak dostał ostatniego ptaka... Całymi dniami ćwiczy je w lataniu, polowaniu i... w zabijaniu. – Mnich zamilkł.

– Mówiliśmy o tym wielokrotnie, ojcze. Trzymanie sokołów ułożonych do polowania przynosi wiele korzyści. Czy więc choćby ten jeden raz spróbuje ojciec wytłumaczyć mi, co mianowicie was tak martwi? – ostatnie słowa zostały wypowiedziane z wyjątkowym rozdrażnieniem.

Mnich na nowo poczuł klucie w rękach i plecach. Dłonie mu zwilgotniały. Pozbierał się jednak.

– Z całym szacunkiem, panie... Nie tyle o sokoły mi chodzi, ile o wpływ, jaki mają na chłopca.

Burgrabia Fryderyk spoznał nań z zainteresowaniem. To było coś nowego.

– A więc?

– Cóż, hm... ma do ptaków taki stosunek... nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Wszak wiecie, panie, że jadąc na łowy nie trzyma ich w stosownych klatkach ani nie używa dłuźca; pozwala im krążyć swobodnie. I są mu posłuszne! Nie wiem, panie... Widzieliście to kiedyś na własne oczy? Zastanawialiście się nad tym?

– Nie – skłamał burgrabia Fryderyk. – Być może, nie okazywałem dotąd wystarczającego zainteresowania rozwojem bratanka, lecz musicie, ojcze, pamiętać, że zarządzam zamkiem i majątkościami, jego kształcenie zaś i duchowe potrzeby powierzyłem waszej pieczy.

Burgrabia pograżył się w milczeniu. Sokoły na równi z młodzieńcem zajmowały go już od wielu miesięcy ponad wszelki rozsądek, do tego jednak nie mógł się staremu przyznać.

– Sprawy chłopca przekazałem w wasze ręce, ojcze. Sądziłem, że w dobre – powiedział z naciskiem.

– Oczywiście, panie... – zaczął franciszkanin, odetchnąwszy głęboko. W końcu choć raz udało mu się skierować rozmowę na właściwe tory. – Tyle tylko że teraz przychodzę do was jako do prawnego i rzeczywistego opiekuna chłopca, by poinformować o szeregu faktów w jego zachowaniu, które... – zaczerpnął powietrza – ...które absolutnie nie są pożądane u przyszłego pana na Falkenburgu.

– Ostatnio dosyć często nawiedzaliście mnie, ojcze, i jakoś nigdy dotąd nie rzekliście mi wiele więcej ponad to – zauważył burgrabia uszczypliwie.

– Tak było, w istocie... ale proszę, panie, pozwólcie mi skończyć.

Burgrabia Fryderyk skinął przyzwalająco i oparł policzek na dłoń.

– Oczywiście, to godne pochwały – ciągnął mnich – że chłopiec jest zdolnym myśliwym i umie sobie radzić z sokołami. Ale posuwa się za daleko! On z nimi rozmawia! Wielokrotnie zaskakiwałem go na cichych pogwarkach z ptakami... i za każdym razem na mój widok natychmiast je przerywał. Potem zaś wyglądał tak dziwnie, jakby się poczuwał do winy, jakbym go przyłapał na jakimś potajemnym grzechu. A tego lata o wiele częściej przebywał z sokołami niż z ludźmi! Powiem, panie, wprost, co myślę i czuję... otóż obawiam się, że... – zrobił pauzę. – No więc, obawiam się, że wkrótce sam stanie się sokołem, panie.

Wreszcie wypowiedział to, z czym tak długo się nosił. Spoglądał w napięciu w twarz burgrabiego, lecz nie zauważył w niej zmiany wyrazu.

– Boję się, panie – dorzucił więc – że jest na najlepszej drodze, by popaść w obłąd. Zawsze był dziwakiem, o czym dobrze wiecie... i uważam, że sokoły jeszcze bardziej zaciemniają mu umysł. Zważcie, że po Bożym Narodzeniu, w wigilię Trzech Króli, osiągnie dojrzałość... i co wtedy? Od tego momentu przecież on będzie rzeczywistym panem na Falkenburgu, a nie wy...

Ostatnie słowa padły bardzo cicho, prawie z prośbą w głosie. Mnich obserwował oblicze burgrabiego. Przez krótką chwilę Fryderyk był równie nieporuszony jak dawniej, może odrobinę zaciekawiony i zaniepokojony, na co po trosze liczył ojciec Sebastian. Burgrabia od dłuższego czasu okazywał chłopcu zadziwiająco mało zainteresowania. Może więc teraz...

Ale już w następnej chwili jego twarz zmieniła się do tego stopnia, że strach w nią było spojrzeć. Zwłaszcza zaś że po tym spokojnym, praktycznym mężczyźnie, panującym na zamku i w lennie, zakonnik najmniej spodziewał się właśnie takiej reakcji. Burgrabia się śmiał. Odchylił się do tyłu i zanosił chichotem.

– Pomyłony! Półgłówek panem Falkenburga! Wariat! – Rechotał, aż krzesło pod nim trzeszczało, aż echo szło, bez ustanku. Mnich, który zupełnie nie tego oczekiwał, zagryzł wargi.

Za drzwiami służba zatrzymywała się, nasłuchując z przestraszeniem. Tak przecież nie mógł się śmiać cichy i rozsądny burgrabia Fryderyk! Jednak głos nie pozostawiał żadnej wątpliwości. W końcu pan zamku opanował się trochę. Mnich spoglądał nań zaniepokojony. Odczuł potrzebę wzięcia chłopca w obronę.

– Panie, z całym szacunkiem – rzekł z taką dozą surowości, na jaką mu starczyło odwagi – słowo „półgłówek” wydaje się nieco zbyt dosadne. Młody pan Wolfgang jest bardzo zdolny i nie mam nic do zarzucenia rezultatom jego studiów. Poza tym porozumiewanie się ze zwierzętami jest przez wielu uważane za oznakę świętości.

Pater Sebastian był franciszkaninem, więc w tym względzie uważał się za kompetentnego.

Burgrabia Fryderyk przyglądał mu się chwilę z otwartymi ustami, jakby zakonnik na jego oczach sam zamienił się w rzadko spotykane zwierzę, i ponownie dał upust rozbawieniu.

– Oznaka świętości! A to dobre! Dawno czegoś takiego nie słyszałem!

Na nowo wybuchnął śmiechem. Próbował dodać coś jeszcze na ten temat, lecz słowa utonęły w kaskadach bulgoczącego rechotu. Nagle spowaźniał i gniewnym ruchem na poły uniósł się w krześle.

– Powiadasz jednak, że gada z ptakami? Co? Tak?! – poderwał się ku mnichowi. – Więc powiem ci jedno, mój ty stary, kochany preceptorze: Gadanie z ptakami jest oznaką wariactwa! Sameś to dopiero co wykazał! Cha, cha!... Rozmawia z ptakami! – jakby wypluł te słowa. – Wszyscy, którzy gadają z ptakami, są przygłupi! – dodał z naciskiem i roześmiał się znowu owym niepohamowanym histerycznym chichotem, który sprawił, że dawny wychowanek wydał się Sebastianowi obcy.

Pater był wytrącony z równowagi i przerażony. Przed oczyma przemknął mu obraz męża w połatanej mniszej szacie, unoszącego ramiona pośród rozległych łąk zbóż. Wokół krążyły wrony i sroki, a promienie słońca odbijały się od złota pszenicy oślepiającym, nieledwie białym światłem.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat franciszkaninowi zebrało się na płacz.

Opanował się jednak, ascetycznie woskowa skóra policzków pozostała sucha. Nie mieszkając odwrócił się do wyjścia. W cichości ducha postanowił, że nigdy już wobec burgrabiego nie poruszy tego tematu. Coś mu się jednak przypomniało.

– Jeszcze jedno... powiedział spoglądając na wstrząsaną śmiechem postać.

Burgrabia Fryderyk wydał mu się naraz wielce odrażający. Gdzie się podział ów jasnowłosy chłopczyk, z którym kiedyś, dawno temu, chadzał latem na spacer? I który swemu nauczycielowi podrzucał do łoża ropuchy? Z trudem przyszło przyzwyczaić się do używania wobec niego formy „panie”. Do grafa Henryka mógł się zwrócić „mój chłopcze” czy też podobnie nawet w obecności postronnych, natomiast Fryderyk życzył sobie, by dawny nauczyciel tytułował go „panem”.

Pater Sebastian nie całkiem to pojmował, gdyż spośród obu braci wyżej cenił sobie Fryderyka, który był bardziej wrażliwy od starszego, dość nieokiełzanego chłopaka, a poza tym o wiele chętniej przykładał się do nauki. Mnich pamiętał, że podczas popołudniowych przechadzek wiele rozmawiali i dobrze się obaj rozumieli. Henryk rzadko im towarzyszył, zawsze miał co innego do roboty i nie uważał zbierania ziół za szczególnie ciekawe zajęcie. Zakonnik odnosił wrażenie, iż młodszy brat nawet wolał, kiedy spacerowali samowtór.

Tamten Fryderyk nie grzeszył zbyt odważą, nie odznaczał się też specjalną wytrzymałością. Miał natomiast piękny chłopięcy sopran, przypominał sobie Sebastian patrząc na zarykującego się pana zamku. Niewiele w tym mężczyźnie pozostało z dawnego Fryderyka, który potrafił zaśpiewać „Kyrie” czystiej niż ktokolwiek inny w całych włościach. Włosy mu nieco ściemniały, a głos załamywał się przechodząc w piskliwy skrzek. Ujawniało się to jedynie wówczas, gdy mówił donośnie lub gdy się, jak teraz, śmiał.

Ale też wiele się wydarzyło od tamtych czasów.

– Jest jeszcze coś... – zaczął znowu zakonnik, ale nie potrafił przebić się przez śmiech burgrabiego. Znowu zrobiło mu się nieswojo.

Zastanawiał się kiedyś po trosze nad problemem, czy gdzieś głęboko we Fryderyku, w nim samym, a także we wszystkich innych nie tkwi ukryty mały chłopiec z poobijanymi kolanami i policzkami gładkimi jak jedwab. Obecne zachowanie Fryderyka kazało mu zwątpić w prawdziwość tych przypuszczeń. Lecz z drugiej strony, jeśli spojrzeć na niego samego, starego, pomarszczonego mnicha – któż by uwierzył, iż niegdyś w swej wiosce najszybciej biegał na wyścigi?

Pater Sebastian porzucił wątpliwości, przez rysy burgrabiego bowiem przemykał chwilami cień tak dobrze niegdyś znanego chłopca. Mnichowi zrobiło się na ten widok rzewnie na duszy: jakby dostrzegał fragmenty ścieżki, którą chadzali razem nad rzekę, by zbierać kwiaty i zioła. Ponownie miał ochotę się rozplakać, ale przybrał surowy wyraz twarzy. Poczł w piersi głęboki niepokój.

– Jeszcze jedna drobna sprawa, panie... Wasz bratanek wspomniał, że chce spędzić zimę w Wieży Północnej – rzekł i zaraz dodał: – razem z sokołami.

– Razem z sokołami, powiadasz? – Burgrabia Fryderyk wciąż miał na twarzy wyraz rozbawienia. Rysy przesłaniał jeszcze lekki cień bezbronności, ale powoli ustępował mrocznemu zdecydowaniu.

– Tak... panie – odparł mnich z niechęcią. Nieodczuwał potrzeby, by zgłębiać ten temat.

– Boże wielki! A niechże tam mieszka, skoro ma na to ochotę. – Burgrabia znowu zaczął się śmiać. – Razem z sokołami! A to dobre! Dawno czegoś takiego nie słyszałem!

Mnich skłonił się lekko i powoli skierował ku drzwiom, zerkając ciągle przez ramię na roześmianego mężczyznę przy kominku. Jego serce przepełniał lęk.

Pater Sebastian bowiem widywał już wcześniej umysły pogrążone w mroku.

Po wyjściu mnicha Fryderyk von Falkenburg potarł niespokojnie grzbiet nosa. Twarz mu się wciąż śmiała. Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę ze znaczenia tej wieści. Chłopak zwariował! O Stworzycielu wszechrzeczy! Obląkany!

Myśl wydała mu się wyjątkowo obiecująca. Zapatrzył się w ogień i co chwilę pociągał łyk wina, chichocząc bezgłośnie.

Właściwie był na siebie zły za niedawny paroksyzm śmiechu, ale nie potrafił mu zapobiec. Słowa zakonnika poruszyły w nim głęboko ukrytą i rzadko trącaną strunę.

Nieprawdą było, że poświęcał chłopcu niewiele uwagi. Przeciwnie, ostatnio coraz częściej nawiedzały go myśli o Wolfgangu i jego sokołach. Za każdym razem próbował je od siebie odepchnąć, lecz nie dały się okiełznać; uśpione od dłuższego czasu, objawiły się znowu z całą mocą. I z tego właśnie się śmiał.

Poczuł w duszy obecność Dłoni, a to zawsze wprawiało go w zadziwiająco dobry humor.

Pierwszy raz zaznał w pełni jej dotknięcia w dzień wyjazdu grafa Henryka. Pamiętał to, jakby się wydarzyło wczoraj.

Była wczesna wiosna; zawieszona wysoko pod niebem ptaki wypędzały śpiewem ostatnie podmuchy zimy. Pola i lasy pokryły się jasną zielenią pąków i jakby płynęły w świetle wiosennego słońca.

Przeznaczenie chciało, by żegnał się z bratem właśnie na szczycie północnego muru – tam gdzie teraz zamieszkał Wolfgang z sokołami.

Głęboko u ich stóp, przeskakując kamienie i spadając kaskadami, rozlewał się szeroko bystry nurt rzeki. Niebo było błękitne i bezchmurne.

Początkowo rozmawiali o zbliżającej się wyprawie; jak długo może potrwać i jak ma praktycznie wyglądać zarządzanie Falkenbergiem pod nieobecność grafa Henryka. Potem, patrząc na rozciągający się z murów widok, pogrążyli się we własnych myślach. Okolica była spokojna, piękna i żyzna, jakby rzeka na falach niosła od gór cząstkę ich ciszy i nawadniała nią pola. Teraz to wszystko przechodziło w ręce Fryderyka – przynajmniej do powrotu brata.

Nagle Henryk spojrzał nań bystro i przenikliwie.

– Wolfgang nie jest łatwy do prowadzenia. Różni się całkowicie od ciebie i mnie z czasów młodości, prawda?

Syn Henryka miał wówczas dziewięć lat. Był nieśmiały i wiele czasu spędzał w samotności. Po prawdzie też brakło tu innych dzieci, z którymi mógłby się bawić.

Fryderyk skinął potakująco – w istocie, nie można nazwać chłopca łatwym. Wszak wiedział, że zdarzały się trudne noce, kiedy niańka musiała czuwać u jego wezglowia, ponieważ lękał się ciemności. Tak, tak, zaprawdę, dziwne dziecko. Ciekawość, jaki z niego wyrosnie rycerz i czy w ogóle nada się do tego rzemiosła?

– Nie wiem, dlaczego stał się taki – ciągnął Henryk – lecz jest dziedzicem zamku i lenna, i bardzo go kocham. Jak trochę podrośnie, będzie urodziwy, i to bardzo. Pamiętasz, jak dziewczęta... kiedy my byliśmy młodzi?

– No, jakżeby nie... – roześmiali się obaj; Henryk weselej.

– Chciałbym, żebyś na niego uważał – rzekł poważniejąc – i naprawdę dobrze go pilnował. Żebyś zadbał o jego wykształcenie i sprawność. Na Boga, musi umieć więcej niż tylko złożyć w odpowiednim miejscu swój podpis. Nie to co ja. Prawda, Fryderyku? – Brat kiwnął głową bez słowa. – Poza tym chcę, by

otrzymał to, co mu się z prawa należy. Pamiętaj, że po moim wyjeździe panem zamku zostanie w istocie Wolfgang; oczywiście tylko formalnie. Ale gdyby się coś wydarzyło, gdyby wyprawa się przeciągnęła lub nie udała, albo gdybym zginął... Wtedy za cztery lata będzie dojrzały. Za cztery lata, Fryderyku – powtórzył z naciskiem, a potem zwrócił oczy na pola.

Brat ponownie skinął głową. Wydało mu się naraz, że kamienie pod stopami z lekka zadrżały, jakby w najgłębszych czeluściach zamku coś się poruszyło.

W tej samej mrocznej chwili ssącego, szarpiącego bólu po raz pierwszy uczył nad sobą Dłoń. To było makabryczne – jak w przeblasku jasnowidzenia ujrzał, co się może zdarzyć na zamku, gdy zabraknie Henryka. Wsparł się ciężko o blanki i zapatrzył przed siebie tępym wzrokiem.

Jedno stało się jasne jak słońce. Zobaczył przyszłość, lecz nie zdołał znieść jej obrazu. Coś w nim pękło; ogarnęła go przemożna ochota, by się śmiać, głośno, bez końca, do rozpuku! O Boże, jakże chciał, żeby się rozległ echem ten wyzwalający śmiech. Bo wszystko wydawało się tak przerażająco proste, że aż – właśnie! – śmieszne.

– Otocz troską także mą małżonkę – dodał Henryk, nie dostrzegając zmiany, jaka zaszła w bracie.

Fryderyk przyjrzał mu się uważnie. Oblicze brata stało się nagle prawie przejrzyste i jasne jak wiosenne niebo, a Fryderyk rozpoznał w nim coś z dawnej bezbronności, z lat, zanim cokolwiek zaczęło się dziać, zanim się obaj zmienili.

– Dobrze – odparł cicho. – Będę o nich dbał.

Udało mu się zachować powagę i nie wybuchnąć wzbierającym w głębi piersi śmiechem. Za sprawą swych myśli czuł się podły jak nędzny grzesznik, jak przestępca. Snuł je nawet wtedy, gdy brat prosił, by Fryderyk przysiągł, iż nic złego nie spotka jego syna i małżonki... A nie były to wyłącznie wytwory wyobraźni! On po prostu wiedział. Nie miał pojęcia, kiedy to się stanie ani w jaki sposób. Przeczynał jedynie, niezwykle silnie wszystko przeczynał, jakby jakiś daleki głos, niby spod owej góry kamieni, szeptał mu to na ucho.

Z twarzy Henryka wyczytał, że bratem kieruje ta sama intuicja, że on także widzi.

Widzenie cechowało poniekąd ich ród. Stryj obu braci, a stryjeczny dziad Wolfganga, doszedł do zaszczytów jako astrolog na sycylijskim dworze. Wspominano go w rodzinie rzadko, z mistycznym lękiem.

– Fryderyku – odezwał się cicho Henryk i chwyciwszy go za ramiona, obrócił ku sobie. – Fryderyku, popatrz na mnie.

Ich spojrzenia się spotkały. Burgrabia z wolna dał się przyciągnąć mocy szaroniebieskich oczu brata.

– Fryderyku – wyrzekł graf Henryk po raz trzeci, nie zwalniając uścisku.

Najgłębszym życzeniem Fryderyka było teraz, by brat nie wyjeżdżał. Gdybyż się tak rozmyślił i nie pozostawiał go na pastwę owej ciemności, co go tak przerażała i kusila...

Przecucie, jak niewidzialny most, połączyło ich na krótką chwilę, a potem nagle znikło.

– Żegnaj, bracie – powiedział Henryk i zszedł z murów.

Fryderyk poczuł zmęczenie i słabość, ponownie oparł się ciężko o blanki. Bał się tego, co mógłby uczynić pod nieobecność brata. Najgorsze, że był pewien, iż Henryk już nie wróci z wojny. W końcu przetarł twarz dłonią i, na ile potrafił, otrząsnął się z tych myśli.

Od owego dnia burgrabia Fryderyk wiele razy miał wrażenie, że Dłoń chwyta go za serce. Nazwał to Dłonią, bo tak właśnie czuł: wielka czarna łapa, albo może szpon, wczepiwszy się weń, za nic nie puszczał, nie dawał się wyrwać, póki sam nie poluzował chwytu. W ciągu minionych lat Dłoń dopadała go raz za razem, z każdym rokiem coraz częściej i coraz gwałtowniej. Od dawna już spodziewał się jej pojawienia, myśli o chłopcu bowiem męczyły go coraz częściej; a wreszcie dała o sobie znać i zareagował, jak zwykle, atakiem śmiechu.

Popatrzył w płomienie; tym razem – wiedział to – uścisk Dłoni będzie silniejszy niż kiedykolwiek.

Pojął już wszystko. Zrozumiał, że teraz... Teraz się zacznie! Słowa te powtarzał w duszy jak swego rodzaju formułę: Teraz, już się stało! Teraz, zaczyna się! Jeszcze rozbrzmiewały, gdy poczuł, że znowu wzbiera w nim śmiech. Bo właśnie znowu wszystko ruszyło, bo oto zobaczył trochę więcej – w jaki sposób się rozwinie – a naprowadziły go uwagi mnicha.

Chłopak zwariował! Jest obłąkany!

Burgrabia Fryderyk tyle tylko zdążył pomyśleć, gdy usłyszał, że drzwi się otwierają i ktoś podchodzi do jego krzesła. Oderwał wzrok od ognia, choć dobrze wiedział, że to żona. W blasku bijącym od paleniska jej twarz sprawiała wrażenie kredowej maski.

– O co chodzi? – odezwał się nieobecny głosem. Cały czas natomiast myślał: Już! Stało się! Teraz się zacznie! Chłopak jest obłąkany – wszyscy tak mówią, słyszał na własne uszy. Więc czemu nie? Śmieszne, że dotąd im nie wierzył. Naprawdę śmieszne – to także. W istocie, miał wszelkie powody do śmiechu.

Ostatni raz się śmiał po śmierci matki Wolfganga. Wtedy też zrozumiał, że przeznaczenie posuwa się nieubłaganie naprzód, i doskonale wyczuł, dokąd wiedzie. Wówczas również próbował odepchnąć wszystko, pozostać wierny przysiędze złożonej bratu. Lecz za każdym kolejnym pojawieniem Dłoni coraz trudniej było się jej przeciwstawić.

– Fryderyku! – Małżonka burgrabiego zatrzymała się tuż przy krześle.

Najgorsze, że w razie potrzeby mógł być pewien wsparcia Eleonory. Wiedział, że doprawdy nie wygląda z utęsknieniem dnia, w którym Wolfgang osiągnie dojrzałość.

Zastanawiał się tylko, w czyjej głowie mógł się wylęgnąć taki... diabelski pomysł. Wstrząsnął nim dreszcz. Iście diabelski plan, bez dwóch zdań. Od razu jeszcze bardziej rozjaśniło mu się w głowie.

– Los jest dziełem szatana – mruknął pod nosem, zapominając o obecności małżonki.

– Co ty mówisz? – zdumiała się.

Takie słowa w ustach zawsze praktycznego i trzeźwo oceniającego Fryderyka – to zupełnie do niego niepodobne.

Muszę uwolnić się od przeznaczenia, powtarzał sobie, na próżno próbując ze wszystkich sił pozbyć się przerażających myśli i wiedzy. Dłoń jak szpon otoczyła serce i wciągała go w głąb ciemności.

– O czym ty mówisz? – Żona nachyliła się, by sprawdzić, czy jego oddech czuć winem.

Machnął z rozdrażnieniem ręką, odsuwając małżonkę od siebie. Jeszcze tu jest?

– Ach, więc znowu pięś – skwitowała lekceważąco, po czym zaczęła mówić o jakichś sprawach związanych ze stajniami.

Stajnie, stajnie! Panie Święty! Usiłował się skupić, ale nie potrafił, gdyż Dłoń zaciskała się coraz silniej. W końcu powiedział, by żona postąpiła wedle swego uznania – chciałby mianowicie, jeśli pozwoli, zostać sam.

Nagle więc małżonka zniknęła, a burgrabia, samotny, skazany na towarzystwo Dłoni i własnych myśli, zauważył, że szpon zaciska mu się na gardle. I wściekłość wzrosła.

Dlaczego los zawsze uśmiecha się do innych? Dlaczego najlepszych darów nie przynosi nigdy jemu? Dlaczego to Henryk, a nie on, urodził się najstarszym synem na Falkenburgu? Czemu gwiazdy sprawiły, że Wolfgang został osierocony, pozbawiony ojca i matki, by wodzić jego, Fryderyka, na pokuszenie?

Przeznaczenie, los... Dawał o sobie znać nagle, znienacka. Po prostu się pojawiał, podobny drapieżnemu ptakowi. Przez całe życie napełniał go gorczyzą i jednocześnie pociągał, lecz nigdy tak silnie jak teraz. Był jak skrzydlaty drapieżnik, jak... jak sokół!

– Miłosierny Boże! – ledwie mu to przyszło do głowy, zerwał się gwałtownie, przewracając krzesło.

Wszystko więc było przeraźliwie jasne. Ptaki przeznaczenia, drapieżne ptaki, sokoły z wieży... I chłopiec, szatan, który nimi włada, rozkazuje im z wyżyn. Chwytająca go za serce Dłoń, którą kochał i której w tej samej chwili nienawidził...

Tego lata poświęcał chłopcu dużo uwagi, także w związku z czymś, co powiedział na odjeźdźnym brat. Nie chciał tak o nim myśleć – nie w ten sposób – chociaż dostrzegał to, z każdym miesiącem coraz wyraźniej...

Już wiedział, czego chce. Zabije swoje fatum. Będzie wolny... będzie panował mocą własnej woli, nie z nadania zaginionego wśród Saracenów brata lub zagubionego dziecka z wieży. Zabije chłopca; wielokrotnie obawiał się, że to uczyni. Teraz tego chciał.

Poczuł się o wiele lepiej. W chwilę później znowu dopadła go ciemność; rozważał straszliwe czyny; pochłonęły go całkowicie. Już wiedział, że choćby z całych sił próbował walczyć, spełni, co mu było przeznaczone – zabije chłopca, by zabić los. Zabije prawo dziedziczenia przez pierworodnego i swój własny pech. Będzie wolny.

Nie była to myśl łatwa i wyzwalająca, niemniej została sformułowana otwarcie, uczciwie.

Tak bowiem chciało przeznaczenie, burgrabia Fryderyk zaś tylko widział: Wolfgang niebawem umrze.
Przebrał się do obiadu.

II. ZAPISANE W GWIAZDACH

I

Wolfgang zaciskał i otwierał pięści. Powtarzał ten gest, jakby chciał dać upust rozdrażnieniu. Jego twarz jednak pozostawała nieporuszona i bez wyrazu, jak zazwyczaj.

Ochmistrzyni pomagała mu się przebrać. Tego wieczoru stryj wydawał ucztę i młody pan Wolfgang miał wziąć w niej udział. Na zamek zjechali czterej szacowni goście, osobiści wysłannicy papieża, powracający do Rzymu z podróży do Saksonii.

Asystowała więc przy toalecie, jak po wielokroć przedtem. Przyglądała mu się uważnie. Nie był już dzieckiem, chociaż rysy miał jeszcze łagodne, a włosy delikatne jak jedwab. Jego nos jednak stał się wydatniejszy, a policzki wklęsły z lekka w ciągu lata. Wystrzelił także w górę i wkrótce dogoni ją wzrostem.

Posłała mu uśmiech, lecz tego nie dostrzegł. Zaraz też jej usta się zacisnęły w surową, wąską kreskę, myślami bowiem cofnęła się do pewnego zimowego poranka przed czternastu laty...

Mróż był wtedy prawie równie ostry jak ból i następujący po nim żal. Poród trwał bardzo długo; pod koniec leżała już tylko bezwładnie, otępiała skurczami, tnącymi jej ciało jak skupiona wiązka promieni. Gdzieś w połowie tej golgoty zaczęła przypuszczać, że dzieje się coś złego; a kiedy dziecko wreszcie się urodziło, uduszone pępowiną, zabrali je czym prędzej. Przez kilka mroźnych dni trwała zawieszona między życiem a śmiercią. Miała jednak w piersiach mleko i wieść o tym dotarła do uszu pani na zamku, która właśnie powiła syna.

Tak się więc złożyło, że wykarmiła Wolfganga. Życie zaś odmieniło się na lepsze, kiedy pierwszy raz spoczął w jej ramionach i poczuła dotyk małej twarzyczki i usteczek na swej piersi. Potem uczyła go chodzić, pocieszała w smutku, śpiewała mu i opowiadała bajki. Jakby był jej własnym dzieckiem.

Zadrżała. Jeszcze mocniej zacisnęła usta wspominając dzieciństwo tego szczupłego, zgrabnego chłopca. Jakby był jej własnym dzieckiem! A teraz robił wrażenie, że zaledwie ją poznaje. Sporo już czasu minęło, odkąd ze sobą szczerze rozmawiali lub głośno się śmiali. A jeszcze więcej, strasznie dużo, odkąd przybiegał do niej z prośbą o bajki lub by przed samym obiadem podkraść kawałek ciasta. W ostatnich latach jego oczy i rysy wypełniała pustka, chłodny, nieskończony ocean pustki.

A wszystko z powodu sokołów. Te ptaszyska ponosiły także winę za inne sprawy. Doskonale wiedziała, że ludzie go obgadują – na zamku, w miasteczku i w całych dobrach. Nie pamiętała dokładnie, kiedy plotki zaczęły się na dobre, ale będzie już ze dwa lata temu z okładem. Ludziska nagle zyskali nowy temat do

roztrąsania. Burgrabia Fryderyk był w sumie dość nudny i stosunkowo przystępny, a przez to mało przydatny jako obiekt domysłów. Natomiast panicz Wolfgang, nieśmiały, unikający ludzi syn grafa Henryka – w nim naprawdę coś tkwiło. Ten sposób, w jaki otaczał się drapieżnymi ptakami: bez kapturew, bez pęt, to nadprzyrodzone, czyż nie?

Najbardziej życzliwi uważali, że jest tylko odrobinę obłąkany – czasami sama ochmistrzyni w cichości ducha zastanawiała się, czy aby w tym, co mówią, nie ma jednak źdźbła prawdy. Natomiast najbardziej nieżyczliwi, a tych była większość, skłaniali się do zdania, iż w Wieży Północnej zamieszkał czarnoksiężnik. Nie wiedziała, na ile to mniemanie jest rozpowszechnione; nikt przy niej głośno o tym nie rozprawiał. Te okruciny jednak, które zdołała usłyszeć, nie przyczyniały się do stłumienia jej niepokoju o przyszłość chłopca. Miał zostać rycerzem i lennym panem; Bóg jeden wie, jak się to wszystko ułoży, skoro czepiały się go takie posądzenia. A był jeszcze właściwie dzieckiem.

Niedługo skończy czternaście lat; stanie się panem i władcą lenna, stryj musi oddać mu władzę... Wzruszyła ramionami.

Ściągnęła zeń spodnią koszulę i aż wstrzymała oddech. Ciągle jeszcze zaskakiwał ją widok czerwonych śladów i drobnych zadrapań na rękach. Blizny pojawiły się także gdzieś na ramionach i plecach.

– Paniczu!

Dotknęła delikatnie nagiego przedramienia. Wydało się jej chłodne i gładkie. Wstrząsnął nią kolejny dreszcz.

– O co chodzi? – wreszcie obrócił na nią oczy.

Nie poznał jej.

– Skąd się wzięły te ślady? – spytała cicho, choć przecież знаła odpowiedź.

– Od szponów – padło bez ogródek.

Nie wiedziała, co na to rzec.

Podczas biesiady dużo jedzono i pito, mówiono natomiast niewiele.

Wolfgang siedział u szczytu stołu, burgrabia Fryderyk po jego prawej, a pani Eleonora po lewej ręce. Poniżej już tylko czterej papiescy wysłannicy i pater Sebastian. Mnich jako jedyny rozmawiał z gośćmi po łacinie. Najwyraźniej to, co mówił, nie bardzo zadowalało posłów, bo odpowiadali mu zaledwie półgębkiem. Atmosfera była napięta, a cisza pomiędzy każdą wymianą zdań coraz bardziej się wydłużała. Wolfgang nudził się bezgranicznie i tęsknił za świeżym powietrzem.

Burgrabia Fryderyk pił dużo, a od czasu do czasu spoglądał na chłopca. Wbrew cichej nadziei nie pozbył się dotąd przedpołudniowych czarnych myśli, więc starał się zagłuszyć je winem.

Wciąż jeszcze porażał go tamten lęk, zrodzony w chwili gdy Dłoń zacisnęła mu się na sercu. Uwolniła go pozostawiając tylko, jak czarne tropy, owe straszne myśli... Dłoń była pewnością i prawdą, a on, Fryderyk, był w tej Dłoni mieczem... Najstuszniejszym i dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem wydawało się, by dziecko zmarło śmiercią lekką i cichą. Są przecież rozmaite środki, trucizny...

Jednak teraz, gdy przyglądał się Wolfgangowi, rosło w nim ciepłe uczucie bliskości, osłabiając przerażające myśli. A jeśli przymknął oczy, unosił go potężny strumień scen i wspomnień z chłopięcych lat. Widział wspólne z bratem zabawy i figle płatane ojcu Sebastianowi, w sumie wiele dobrych chwil. Bardzo wówczas podziwiał Henryka. Widok syna przywoływał obraz jego ojca z tamtych lat.

Rozpoznawał głos starszego brata za każdym razem, gdy Wolfgang przez grzeczność odezwał się podczas uczy. Czasami zdawali mu się podobni aż do bólu. W słowach i gestach przebijał grafa Henryk, choć chłopiec zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy – tak po prostu było. Henryk, pierworodny i dziedzic, zachowywał się z naturalną godnością i swobodą, której on, Fryderyk, nigdy nie odczuwał.

Czasami miał to mu za złe i pamięta jeszcze, jak próbował go naśladować; oczywiście bez skutku. Henryk miał to we krwi, urodził się, by zostać grafem. Fryderyk natomiast był jedynie burgrabią, cokolwiek uczynił, rzekł lub zdecydował, musiało najpierw uzyskać poparcie brata. Lecz później Henryk wyjechał...

Właśnie chłopiec coś znowu powiedział. Poprzez opary wina Fryderyk nie mógł rozróżnić słów, ale rozpoznał ton grafa Henryka – spokojny, pewny siebie sposób wygłaszania komunałów.

Spojrzał na Wolfganga. Przypominał mu jeszcze kogoś – ale kogo? Znowu pojawiła się nagła czułość dla bratanka. Czarne myśli zniknęły całkowicie – mój Boże, przecież to tylko mały chłopiec. W ostatecznym

rozrachunku i tak on, Fryderyk, będzie podejmował decyzje, także po dojściu Wolfganga do pełnoletności. Wszak to tylko formalność. Zresztą chciwość jest grzechem śmiertelnym.

Prawda, której przez całą wiosnę i lato usiłował do siebie nie dopuścić, objawiła mu się nagle w całej pełni: w ciągu ostatniego roku chłopiec stał się nieprzyzwoicie wręcz urodziwy.

Wreszcie myśl przybrała formę. Burgrabia Fryderyk odczuł nieprzepartą chęć, by objąć Wolfganga ramionami, gładzić jego ciemnoblonde loki i wdychać delikatny zapach skóry na karku... Wyobrażenia nie dała się zatrzymać. Pragnął całować chłopca, pożądał go. Gdzieś w głębi rodziła się i obejmowała jego ciało płomienna tęsknota. Mroczne myśli od razu stały się dalekie i niepojęte.

Wolfgang znowu się odezwał, a burgrabia Fryderyk, nasłuchując brzmienia głosu, miał wrażenie, że słowa połyskują w świetle ognia szczerym złotem.

Znów skierował oczy na jego twarz, chciał przyciągnąć ją wzrokiem bliżej, ku swojej. Dłużej tu już nie mógł usiedzieć, na dzisiaj miał stanowczo dosyć.

Podniósł się chwiejnie, wymamrotał kilka słów usprawiedliwienia i zataczając się, opuścił salę biesiadną. Drzwi za nim zamknęły się z hukiem.

Tuż przed wyjściem mignęły mu w oddali oczy Wolfganga. Bardziej wyczuł niż dojrzał ich piękno.

I nagłą surowość spojrzenia.

Wolfgang spacerował niespokojnie w tę i z powrotem po wewnętrznym dziedzińcu zamku.

Posłowie udali się na spoczynek; byli zmęczeni podróżą, zapewne także doszli do wniosku, że w Falkenburgu jest nudno i nieciekawie. Z dolnego podwórca dobiegały go echa śmiechu i pogwarek. Dźwięki przybliżyły się i cichły, jak niesione podmuchami wiatru. To ludzie z poselskiego orszaku raczyli się swoim przydziałem wina, a sądząc z odgłosów, pomagało im w tym wielu spośród zamkowej służby.

Wolfgang wpadł nagle na pomysł, by podejść do otwartej bramy wiodącej na dolny dziedziniec. Stał tam poza zasięgiem światła, w cieniu wielkich dębowych wrót, tak by go nie dostrzegli zgromadzeni przy ognisku.

– Widzisz tych ludzi, Aleksandrze? – wyszeptał do siedzącego mu na ramieniu sokoła.

Ptaka wpatrzył się w ludzką ciźbę, a jego oczy w blasku ognia zalśniły jak czarne, ruchome perełki.

Ktoś tam jeszcze tańczył, ale większość, upojona winem, siedziała. Wolfgang przesunął wzrokiem po ich gębach; zazwyczaj rzadko zwracał uwagę na służki, prawie ich nie rozpoznawał. Imion nie pamiętał wcale. Z rozmysłem wymazywał służących z pamięci, aż stawali się przychodzącymi i odchodzącymi cieniami, zajętymi wypełnianiem obowiązków. Po prostu byli, nic więcej. Dopiero tam, w czerwonym blasku pełgających płomieni, twarze nabrały ostrości i charakteru. Jakby z nich opadły maski. Ujrzał prawdziwych ludzi – paskudnych, nieomal odrażających. Ich śmiech, okrzyki i bełkotliwe pijackie pieśni były mu wstrętne.

Uderzyło go jednak, jak inaczej zachowywali się w tej chwili w porównaniu z sytuacjami, kiedy czuli się obserwowani. Może nie tylko on wymazywał ich z pamięci; może także oni z rozmysłem zamykali się, rozmywali, ukrywając przed nim. Z tej perspektywy odbierało się ich całkiem odmiennie. Przemknęło mu przez głowę pewne wspomnienie z dawnych czasów, sprzed odjazdu ojca. Często się wówczas zakradał do kuchni, by popatrzeć, jak dziewczki przyrządzają potrawy... a może by powęszyć nad jakimś garnkiem i pokosztować zawartości. Śmiały się wtedy i przekomarzały z nim, nie zakładały żadnych masek.

Wspomnienie natychmiast znikło, a Wolfgang przez chwilę im zazdrościł – tego współlistnienia wokół ogniska. Sam nie odczuwał żadnej wspólnoty, z nikim, poza sokołami. Jednak sokoły były ptakami, a on człowiekiem; i nim miał pozostać, choćby nie wiem jak życzył sobie czegoś przeciwnego.

Nocami często śnił o tym, że jest sokołem. Dokładnie wiedział, jak się wtedy należy czuć, gdyż same mu o tym opowiedziały. Miał bowiem dar rozmawiania z ptakami, a nie każdemu jest on dany. Dlatego pogodził się z tym, że wśród sokołów ma przyjaciół, a wśród ludzi – żadnego. Tak być musiało. Obu rzeczy naraz mieć nie można. Toteż z jednej strony traktował to jako dar, z drugiej – jako przekleństwo losu.

Przypatrywał się Inianym chustom, skórzanym fartuchom i zmęczonym, rozgrzanym winem twarzom. Gdyby wykazywał śmiałość także w stosunku do ludzi, może by podszedł bliżej. Nie odważył się jednak, pozostał skryty w ciemnościach.

Kiedy już napatrzył się niemal do syta, z ramienia poderwał mu się Aleksander i zatoczywszy szerokie koło nad ogniskiem, powrócił na swoje miejsce.

Na zgromadzonej służbie wywarło to piorunujące wrażenie. Jedyne ludzie z orszaku poselskiego nie zareagowali, śmiali się z przesądnych Niemców. Przecież to tylko sokół! Miejscowi z zamku przycichli, wielu się podniosło.

Wszyscy spoglądali w kierunku bramy.

Ilekróż coś takiego się zdarzało, był niezmiernie zaskoczony. Przy ognisku zapanowała napięta cisza, więc zdecydował, że najlepiej będzie się pokazać, skoro i tak już wiedzieli o jego obecności.

Wstąpił w krąg światła i z daleka zauważył, iż ci, którzy jeszcze byli w stanie utrzymać się na nogach, na jego widok wstają i składają ukłon.

– Dobry wieczór – odezwał się. Cóż on im powie, na Boga? – Nie przeszkadzajcie sobie... – zaczął, lecz zauważył, że go nie słuchają. Wszyscy wpatrywali się w sokoła na jego ramieniu. Ich twarze przysłaniał cień strachu; jeden z chłopców stajennych szepnął coś po kryjomu Włochom i teraz oni także robili wielkie oczy.

Powtórzył, żeby nie przerywali zabawy, że tylko wyszedł przejść się po uczcie. Lecz słowa, zda się, ulatywały wraz z dymem z ogniska, nie docierały do nich.

Poczuł zażenowanie. Gapili się z takimi minami, jakby się po nim czegoś spodziewali, jakby miał uczynić coś nieoczekiwanego.

Pomysł przyszedł nagle. Wolfgang szybkim ruchem posłał sokoła wysoko w mrok i kazał spaść z czeluści nocy prosto na ramię. W ciżbie rozległo się westchnienie; potem wszyscy zamarli w bezruchu. Wolfgang kazał ptakowi pokazywać sztuczki, wspinać mu się po ręce aż na ramię i przytulać łebek do szyi. Potem karmił sokoła pokrojonym w kostkę mięsem z mieszka, który zawsze nosił przy sobie.

Serce wciąż biło mu szybciej. Że też się odważył! To było jak nagłe otwarcie drzwi do innych światów. Zauroczenie trwało, drzwi stały otworem. Poprosił o coś do picia, właściwie tylko po to, by udowodnić samemu sobie, że ośmieli się przeprowadzić rzecz do końca.

Może dodało mu śmiałości wypite wcześniej wino, a może – tak otrzeźwiająco bliska obecność służby. Wydawali mu się prawie nadzy. Może... Tę myśl odrzucił, zanim ją sformułował do końca: on nie był samotny.

Ktoś wręczył mu nieśmiało brudny kufel piwa – pociągnął, mimo odrazy, tęgi tyk.

Wciąż nikt się nie odzywał. Teraz także Włosi wyglądali na zaniepokojonych. Wszyscy czujnie obserwowali jego każde, nawet najdrobniejsze poruszenie. Naraz zaczęły mu doskwierać wszystkie skupione na nim oczy oraz skrępowanie poddanych. To beznadziejne, zupełnie wbrew utartym zwyczajom – drzwi się zatrzasnęły.

Nie powinien odejść zbyt raptownie; spytał jakiegoś koniucha, jak się miewa czarna klacz z białą strzałką na czole; używał jej do polowania, ale ostatnio zachorowała. Kiedy chłopak wybąkał już kilka słów, wyprostował się, zaczekał, aż sokół usadowi się wygodniej na ramieniu, i odszedł tą samą drogą, którą przybył.

Za jego plecami ciągle panowała cisza, więc kiedy zniknął w mroku pod sklepieniem bramy, stanął i coraz ciszej przestępował z nogi na nogę; dopiero gdy jego kroki „zamarły”, na dolnym dziedzińcu rozległ się szum. Włosi pytali i pytali, a służba z zamku odpowiadała.

W ten sposób Wolfgang po raz pierwszy dowiedział się, co o nim mówią.

Ponoć ma na wieży sterty ksiąg o czarnej magii, objaśniali podnieceni służący. Ponoć potrafi przywdziać sokołe pióra i w postaci ptaka porywać dzieci i młode dziewczęta; nie macie pojęcia, jak potężnym jest czarnoksiężnikiem. Włosi wyglądali, jakby im się ukazał duch, a dziewczki kuchenne piszczwały z uciechy i ze strachu. Jeden za drugim opowiadali coraz dziksze historie – wreszcie Wolfgang uświadomił sobie, że nadał poczęstunkowi dla służby nowy wymiar i zatrwożony po cichu odszedł. Poprzedzał go sokół, beztrudnie polując na umykające myszy i szczury; czasami zanurkował jak błyskawica tuż przy ścianie, a po chwili znowu frunął w górę.

Burgrabia Fryderyk rozpoznał kroki zbliżające się powoli w ciemności od strony dolnego zamku. Stał bez ruchu na krytych schodach wiodących z głównego dziedzińca na górny zamek. Długo tu krążył oddychając świeżym powietrzem. Wino i rozpalające go uczucie sprawiły, że zatęsknił za ciszą i ochłodą.

Kroki były coraz głośniejsze, a wnet w blasku pochodni ujrzał chłopca. Wolfgang wspinał się powoli po niskich, ale głębokich stopniach – na jednym musiał stawiać dwa kroki. Stryj cofnął się lekko w mrok,

odczekał, aż chłopiec dojdzie do tego miejsca, i wyłonił się z ciemności tuż przed nim. Zniknął niepokój i wcześniejsze myśli. Teraz chciał tylko...

Nie wiedział dobrze, czego chciał. Zobaczyć go? Porozmawiać? Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz rozmawiali, nawet nie pamięta, jak dawno to było. W półmroku uderzyła go ponownie niezwykła uroda Wolfganga.

– Dobry wieczór, stryju. – Chłopiec skinął głową i uśmiechnął się krótko, ujrawszy przed sobą wysoką postać.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Fryderyk przymknął powieki i to nadało jego twarzy łagodny wyraz.

– Dobry wieczór, bratanku – odparł wreszcie.

Długo stali zwróceni bez słowa ku sobie, chłopiec o stopień niżej.

Wolfgang przypatrywał się burgrabiemu. Najwyraźniej Fryderyk wytrzeźwiał już nieco. Wyglądał na zmęczonego, wzbudzał współczucie.

Drugi raz tego wieczoru opadła maska i Wolfgang dostrzegł naraz, jaki stryj jest naprawdę. W świetle pochodni odkrył go na nowo. Maska opadła, lecz Wolfgang znowu nie był pewien, czy on sam mu ją kiedyś założył, czy też stryj z własnej woli się za nią ukrył; a teraz zrzucił...

Miał trzydzieści lat – już nie młodzieniec, ale jeszcze nie naznaczony piętnem starości. Był blady, a może tylko tak się wydawało w mroku. Ani gruby, ani chudy, średniej budowy, dość wysoki. Włosy miał jasne, lekko falujące, oczy niebieskie, nos prosty. Trudno było stwierdzić, czy jest silny. Wolfgang nigdy nie widział go w zbroi ani podczas ćwiczeń rycerskich; odnosił jednak wrażenie, że ojciec, graf Henryk, przewyższał brata siłą i urodą. Właściwie nie miał możliwości porównania; ojciec wyjechał już tak dawno temu... lecz bracia chyba nie byli do siebie bardzo podobni. Po prostu dwaj mężczyźni w sile wieku, jasnowłosi, jasnooccy... Jednak od ojca biło mocne, płomienne czerwone światło, natomiast stryj świecił ciemnoniebieskim, chłodnym blaskiem. Wolfgang rozważał przez chwilę tę myśl.

– Nie przypominasz mojego ojca – wyrzekł wreszcie. Burgrabia Fryderyk spojrzał nań przeciągle, nim od powiedział.

– Za to ty, owszem. Trochę. Henryka za młodu.

Potem już nie padło ani jedno słowo. Burgrabia, wciąż stojąc stopień wyżej, wpatrywał się z góry w Wolfganga, który poczuł w piersi dziwne napięcie. Żeby się od niego uwolnić – dość miał atrakcji na dzisiejszy wieczór – ruszył w górę i mijając stryja życzył mu dobrej nocy. Burgrabia Fryderyk chwycił go jednak za rękę. Teraz stali dużo bliżej siebie, twarzą w twarz, Wolfgang o stopień wyżej. Stryj objął go za szyję, przyciągnął delikatnie i pocałował w usta.

Jaki on ma kruchy kark, pomyślał burgrabia Fryderyk, przesuując dłonią w kierunku ucha bratanka. Znowu go pocałował, tym razem mocniej.

Chłopiec stał niezdecydowany, z opuszczonymi rękami. Oczy mu błyszczały, oddychał szybko. Gdy zaś stryj przyciągnął go jeszcze bliżej, uchwycił się mocno jego ramion, a potem zamknął powieki i poddał mu się całkowicie. Miał wrażenie, że leci bezwładnie w tył.

Nagle coś spadło z góry, z mroku, i rozdzieliło ich z krzykiem. Na ramieniu Wolfganga wylądował rozpędzony sokół.

Stali wciąż blisko i wpatrywali się w siebie, jakby zaskoczeni. Obaj ciężko oddychali.

Naraz odwrócili się, jak na komendę, i spieszenie rozeszli, każdy w swoją stronę.

Tego wieczora Wolfgang długo na poddaszu rozmawiał z sokołami. Zauważył u siebie tę umiejętność wkrótce po otrzymaniu Feniksa i zaczął się w niej ćwiczyć.

Jak zwykle najwięcej miały do opowiadania ptaki. Mówiły o locie nurkowym i o ściganiu się w powietrzu, aż mu się kręciło w głowie. Wspominały o zauważonych tropach, o myszołowie, żyjącym dalej na północy, i o tym, że dziś w nocy znów chwyci mróz.

Wysłuchał cierpliwie, co mają do powiedzenia, a potem rozpoczął własną relację. Nie umiał jednak znaleźć odpowiednich obrazów. Próbował wyrazić, co czuł na dziedzińcu dolnego zamku przy ognisku, a zwłaszcza podczas spotkania na schodach. Stryj go pocałował – Wolfgang był zdumiony i zażenowany. Starał się przekazać to ptakom, ale nie rozumiały. W sokolej mowie brakuje określeń na takie stany duszy. Rozmowy z ptakami dotyczą gwiazd i wiatru. Wszelkie żywe istoty na ziemi oglądane z góry – to tylko

kropeczki, drobinki. Pod tym względem Wolfgang stanowił dla sokołów wyjątek, ponieważ potrafił się z nimi porozumieć i zamieszkał tak wysoko. Poza tym był do nich w pewien sposób podobny, orientował się nieco w kwestiach powietrza i nieba, przestrzeni i pustki. Natomiast nie chciały słuchać o stryju i poczęstunku dla służby. Swymi przeżyciami nie mógł podzielić się z nikim.

Długo za to rozmawiali o stojącej na progu zimie.

– Śnieg – mówił jeden z ptaków – śnieg.

– Mróz – odparł drugi, chyba Bezimienny.

Czy to naprawdę był cichy szept czy może obraz? Wolfgang wspólnie z ptakami poszybował w głąb wizji nadciągającego śniegu. Przyzwyczał się już do tych doznań, więc pozwolił się wprowadzić do wnętrza malowanych przez sokoły zimowych scen, nieomal czuł uścisk mrozu.

Potem Serafin wspominał o pewnej zajęcej rodzinie koło wielkiego dębu; wiecie, rzeka tworzy tam zakole i jest bardziej zielona niż gdzie indziej. Pozostałe przytaknęły; one także znały tę rodzinę.

– Do wiosny – powiedział Wolfgang i ogarnął ich powiew rozgrzanego słońcem kwietniowego powietrza – na wiosnę tam zapolujemy.

Tej nocy długo trwały wspólne wiosenne łowy.

Wolfgang ocknął się nad ranem z uczuciem, że jest mu gorąco. Za oknem lśnił blady księżyc. Była prawie pełnia.

Na poły śpiący, usiadł na łożu. Nic dziwnego, że się zgrzał – poszedł spać w ubraniu, wrócił z poddasza bardzo późno. Rozebrał się więc i ponownie wpełzł pod skóry, gdy wtem przypomniał sobie wydarzenia minionego wieczora i z miejsca oprzytomniał.

Wstał, otulił się opończę i siadł przy kominku. Gdzieś tam między osmalonymi głowniami tlił się jeszcze żar. W mroku przeżywał wszystko od nowa: spotkanie ze służbą przy ognisku, pocałunki brane przez stryja...

Co naprawdę zaszło między nim a stryjem? Obejmował go przecież i dawniej, całował w policzek, kiedy był małym chłopcem – ale to?

Nie potrafił znaleźć ani odpowiedzi, ani ukojenia; ciągle powracało przeszywające, porażające strachem wrażenie, że pada w tył, w silne ramiona dorosłego, a stryj pocałunkami pozbawia go woli. Na myśl o tym ogarnęło go drżenie, zrobiło mu się gorąco i zakręciło w głowie. Długo siedział pozwalając, by uczucia zalewały go falami. Na nowo pojął, że tego sokoły nigdy nie zdołają zrozumieć.

Po raz pierwszy od dawna poczuł się kompletnie samotny. A noc wokół wieży była głęboka, gwiaździsta i pusta.

W ciągu następnych dni Wolfgang i jego stryj unikali się nadzwyczaj starannie. Burgrabia Fryderyk nie potrafił jednak zapomnieć wrażenia, gdy chłopiec w jego objęciach stał się bezwolny. Często i długo rozmyślał o bratanku i bracie. Nocami przypominał wystrzelony z procy kamień i nie mógł odzyskać spokoju. A w pamięci jak spadające gwiazdy sypały się sceny z wieczornego spotkania na schodach.

Zniknęły myśli o Dłoni i szatanie z wieży otoczonym ptakami przeznaczenia. Teraz, kiedy wspominał chłopca, pamiętał tylko jego urodę i uczucia budzące się, gdy go całował. W owych dniach nastąpiła w burgrabi Fryderyku tak całkowita przemiana, że nawet studiując rachunki i dokumenty myślał o Wolfgangu. Chociaż głowę wypełniała mu wysokość plonów, podatków i dziesięcin, przed oczyma miał, jakby wrytą na siatkówce, bladą, przezroczystą jego twarz. Pił dużo, sypiał mało.

II

Kilka dni później wysłannicy papiescy odjechali.

Burgrabia Fryderyk dyskretnie wypytał ich nieco na temat krucjaty. Posłowie nie chcieli powiedzieć nic konkretnego, ale i oni słyszeli te same wieści, że wyprawa się nie powiodła i została rozbita u bram Świętego Miasta. Kursowały nawet plotki o śmierci cesarza i o tym, że zanim umarł, wyparł się wiary.

Burgrabia Fryderyk nie wierzył w takie nowiny w odniesieniu do cesarza, bądź co bądź boskiego pomazańca, lecz nie podzielili się swymi wątpliwościami z papieskimi posłańcami, którzy wnet ruszyli dalej na południe.

Przed odjazdem przeprowadził dłuższą rozmowę z jednym z nich, młodym prałatem o imieniu Stefanus. Przespacerowali się wzdłuż zachodniego muru, wymieniając uwagi o wszystkim i o niczym, a także wspólnie milcząc.

Ów Stefanus sprawiał wrażenie wyciszonego i jakby uczciwszego od towarzyszy podróży. Różnił się od nich bardzo, a także niemało od snującego się bez celu i gadającego do siebie Sebastiana, starego błazna. Twarz miał Stefanus różowiutką, jakby świeżo umyta; bez śladu zarostu. Rysy trochę miękkie, brwi zupełnie jasne, prawie niewidoczne na tle skóry; oczy małe, ciemnoblękitne, a nos lekko zadarty. Natomiast wianuszek włosów okalający tonsurę zaskakiwał płomienistą rudością, zważywszy na spokojny charakter osoby, którą przyozdabiał.

Wcale nie byli do siebie podobni, Fryderyk jednak odnalazł w młodym duchownym coś z siebie. Tę samą twarz bez wyrazu, tę samą pustkę, którą odkrył w lustrze, gdy stał się dorosły. Zupełnie inaczej niż u chłopca – w nim każdy mógł zauważyć przebliski niezwykłych myśli. Burgrabiego Fryderyka uderzyło spostrzeżenie, iż Wolfgang w pewnym sensie już teraz jest bogatszy wewnętrznie, przewyższa go silniejszą indywidualnością.

Ta myśl była mu przykra i, świadomie czy nieświadomie, powoli skierował rozmowę na bratanka.

Stefanus wcale nie był temu niechętny, przeciwnie, on także zapamiętał ów przedziwny, nieobecny sposób zachowania i prowadzenia konwersacji. Wzbudziło to jego ciekawość.

Kiedy jednak burgrabia Fryderyk ostrożnie sformułował pytanie, czy ksiądz nie przypuszcza, iż może chłopiec nie jest całkiem zdrowy na umyśle, zdecydowanie potrząsnął głową. Może opętany? Nie, Stefanus tak nie uważał. Stefanus w ogóle był człowiekiem rozsądnym i rozważnym, niełatwo poddającym się wrażeniom i wyobrażeniom.

Natomiast sądził, że chłopiec chyba za często przebywa sam i pewnie z tej przyczyny zbyt oddala się od rzeczywistości oraz staje się małowówny. Burgrabia Fryderyk zgodził się, choć zauważył, że przecież trudno go do czegokolwiek zmuszać. Jest synem pana tego zamku, a poza tym za kilka miesięcy osiągnie dojrzałość.

– A gdyby tak dać mu nowego nauczyciela? – zaproponował Stefanus. Starego Sebastiana na pewno dobrze byłoby uwolnić od obowiązków. Burgrabia Fryderyk i z tym się zgodził, dodając, że już on i brat mieli Sebastiana za preceptora.

Prałat pozwolił sobie zaproponować jakiegoś benedyktyna albo może tym razem kogoś z nowego zakonu dominikanów, trochę bardziej otwartego i surowszego; odrobinę bardziej świeckiego. Ci minoryci są zapewne pełni najlepszych chęci, ale może zbyt oddaleni od życia i ustępliwi.

W tym momencie dotarli do miejsca, skąd widać było mur i Wieżę Północną. A tam, na jego szczycie, jak zwykle stał chłopiec otoczony krążącymi ptakami. Twarz zwrócił ku górze i towarzyszył wzrokiem jednemu z sokołów. Nie zauważył dwóch spacerujących po drugiej stronie podwórca.

Oni zaś znieruchomieli na chwilę, jak zaczarowani tym widokiem.

– Wielki Boże! – wymamrotał ksiądz.

Obserwowali, jak Wolfgang zawraca stadko sokołów i wzywa ptaki do siebie, jak podnosi jednego po drugim ku twarzy, a potem każe im znowu latać.

Obu rzuciło się w oczy, że teraz wygląda inaczej niż widziany w komnatach, między ludźmi. Robił wrażenie dużo starszego, bardziej dojrzałego – i było w nim coś niepokojąco zmysłowego, gdy przyjmował lądujące ptaki i puszczał je z powrotem w powietrze.

Na wszystkie anioły w niebie, jakież on jest piękny! – pomyślał stryj.

– Chodźmy – powiedział ksiądz, otrząsnąwszy się z zapatrzenia. – Wejźmy do niego na mury.

Szybkim krokiem wspiął się na schody wiodące na północną część murów. Burgrabia Fryderyk zatrzymał się na chwilę, nim podążył jego śladem. Chłopiec zauważył ich dopiero, kiedy przemierzali już spory kawałek drogi. Zrazu przyglądał się im obojętnie, lecz nagle wpił spojrzenie w stryja, który szedł kilka

kroków za obcym. Burgrabia stanął i spuścił wzrok na ciżmy Wolfganga. Wyżej nie ośmielił się podnieść oczu. Poczł, że na policzki wypływa mu rumieniec, i znowu wezbrały w nim wspomnienia z wieczornego spotkania na schodach. Nie potrafiłby się chyba teraz odezwać.

Prałat Stefanus także się zatrzymał, a ponieważ szedł pierwszy, nie spostrzegł, jak znacząco zmienił się wyraz twarzy burgrabiego Fryderyka.

Przyszedł tu na górę powodowany ciekawością, lecz teraz poczuł skrępowanie. Znajdował się na obcym terenie, miał wrażenie, że jest intruzem. Przeraziła go blada, napięta twarz, wobec której się znalazł, podobnie jak piękne skrzydlate drapieżniki. Nie, twarz chłopca nie była zamknięta ani obojętna, przeciwnie – pełna życia i mocy, tak promienna, że nieomal oślepiała. Oczy – czyste, klarowne i bystre jak u sokoła; usta miały stanowczy wyraz. Wszystko to sprawiło, że Stefanus poczuł się analizowany z pewnego rodzaju chłodną wzgardą. Młodzieniec mówił bez słów: Czego chcecie tu na górze? Co tu robicie?

Wolfgang wyciągnął w jego kierunku wąską dłoń i właśnie Stefanus miał ją uścisnąć, gdy uprzedził go któryś z sokołów, siadając na nadgarstku, tam gdzie naga skóra graniczy z koszulą.

Prałat na ogół umiał się znaleźć, teraz jednak ogarnęło go zażenowanie i nie wiedział, jak ma się zachować. Stał chwilę z wyciągniętą ręką, a potem ją opuścił.

Wtedy Wolfgang się uśmiechnął i księdzu przebiegł po plecach zimny dreszcz. W tym uśmiechu przebłyskiwała najgłębsza tajemnica wszechprzyrody, jakby chłopiec wszystko wiedział i wszystko rozumiał. Toteż prałat Stefanus, który Matkę Przyrodę i jej tajemnice wielce szanował, poczuł się obezwładniony i przejrany. Ostatecznie życzył tylko Wolfgangowi dobrego dnia.

– Witajcie, ojcie – odpowiedział chłopiec, wciąż jeszcze z uśmiechem, jednakże na zaciśniętych już wargach.

– Piękne macie ptaki, panie.

Młodzieniec skinął głową, lecz się nie odezwał.

– Ile ich jest?

– Cztery, jak widzicie, ojcie – już się nie uśmiechał, robił wrażenie podrażnionego.

– Używacie ich, panie, do łowów?

– Tak, kiedy tylko mogę. Wszystkie są dobrymi myśliwymi.

Zaskoczony ksiądz przyglądał się, jak chłopiec wyjmuje kawałki mięsa z małego skórzanego mieszka i pozwala ptakowi brać je dziobem z otwartej dłoni. Sokół zaś przechylał łebek do tyłu i przetykał kasek jednym ruchem krtani.

– Macie, panie, zadziwiająco dobrą rękę do ptaków – stwierdził Stefanus. – Nigdy czegoś podobnego nie oglądałem. Nie boicie się, że was poranią dziobami lub szponami?

W odpowiedzi chłopak pokazał mu wolną rękę; najpierw wierzch, a potem wnętrze dłoni. Na zewnętrznej stronie widoczne były drobniutkie zadraśnięcia od szponów, ale po wewnętrznej nie znalazła się ani jedna blizna. Wolfgang dłonie miał białe i szczupłe, bardzo proporcjonalne i pięknie uformowane. Spojrzenie duchownego powędrowało ku rękóm burgrabiego – zwrócił uwagę podczas wędrówki po zachodnim murze, że są równie piękne i szlachetne w formie. Zresztą mężczyzna i chłopiec, choć tak blisko spokrewnieni, nie byli do siebie podobni.

– Czy sokoły mają imiona? – zapytał Stefanus, by podtrzymać jakoś rozmowę.

– Nie wszystkie. Jeden wciąż jeszcze go nie otrzymał, nie znalazłem właściwego. – Wolfgang znowu się uśmiechnął, jakby posiadał jakąś straszną tajemnicę i nie chciał jej wyjawiać.

– Ach tak... – Ksiądz zamilkł.

Czuł się kompletnie pusty; słowa i myśli gdzieś uleciały. Wydawało mu się, że skryte w sercu obawa i strach narastają, dławiają go jak mroźny wiatr. Zrozumiał też lepiej burgrabiego, gdy ten wspominał wprost, że chłopiec, być może, jest opętany. Podeszedł ku blankom i przechylił się przez nie. Początkowo rzucił okiem na lasy i pola, a potem w dół. Nie powinien był tego czynić.

Wolfgang ze stryjem zobaczyli jedynie, że Stefanus zaczyna się chwiać i przytrzymuje się za występ muru, a potem przewraca w tył.

Przez chwilę burgrabia Fryderyk stał jak skamieniały, lecz zaraz rzucił się naprzód, pochwycił upadającego księdza i podprowadził do kamiennej ławki.

Prałat Stefanus był bardzo blady, a jego rysy sprawiały wrażenie jeszcze miększych. Oczy, przysłonięte w połowie powiekami, pociemniały, zrobiły się prawie czarne.

Wolfgang stał nieporuszony.

– Mam nadzieję, doprawdy... że mi wasze miłości wybaczą... – wymamrotał ksiądz, wodząc wzrokiem od Wolfganga do Fryderyka. – Nie jestem przyzwyczajony do takich wysokości. Rzadko wchodzę nawet na kościelną wieżę, jeśli mogę tego uniknąć.

Wtem zrobiło mu się niedobrze, osunął się na kolana i zymiotował. Dopiero teraz Wolfgang wykonał pierwszy ruch – odwrócił głowę.

Burgrabia Fryderyk nie wiedział, co robić. To zawsze zdarzało się tutaj, na północnym murze. Jakby gdzieś pod tymi kamieniami znajdowało się zamurowane tajemne przeznaczenie zamku. Na myśl o fatum jego duszę ogarnął mrok.

Podtrzymywał delikatnie księdza, gdy ten wymiotował, a teraz pomógł mu się podnieść i usiąść. Na oblicze Stefanusa powracały z wolna kolory.

– To doprawdy ogromna wysokość – wyjąkał, próbując się uśmiechnąć, gdy tylko odzyskał mowę.

Burgrabia dostrzegł jednak, że duchowny najwyraźniej się boi.

Wolfgang podniósł wreszcie sokoła do lotu i podszedł do nich. Twarz miał na powrót zamkniętą, wymienił krótko spojrzenia ze stryjem.

Na schodach, w drodze ku bezpiecznemu poziomowi zabudowań w cieniu murów, każdy ze swej strony wspierał Stefanusa. Nie dało się więc uniknąć zetknięcia rąk na brązowym habicie.

Burgrabia Fryderyk odniósł wrażenie, że dłonie chłopca są równie zimne, jak podmuchy wiatru na północnym murze.

Tego samego dnia, gdy odjechali wysłannicy papiescy, na Falkenburg zupełnie nieoczekiwanie przybył nowy gość.

Był to cesarski astrolog, człowiek z wysp na północy, ze Szkocji. Miał gęste rude włosy i brodę oraz dziwne, przewiercające na wskroś spojrzenie. Twarz pociągłą i kościstą, proporcjonalną jednak do potężnej postury i grzywy włosów. Ten godny uwagi mąż zwał się Michael – Michael Scotus – i był znany jako jeden z najbliższych zauszników cesarza.

Zaledwie kilka godzin upłynęło pomiędzy odjazdem posłów papieża i przybyciem Szkota. Spotkali się – objaśniacz gwiazd i duchowni – trochę na zachód od Falkenburga, lecz nie rozmawiali ze sobą ponad miarę; wszyscy bowiem wiedzieli, że między dworem cesarskim a Rzymem niedobrze się dzieje.

Wróżbita wiódł ze sobą w orszaku wielu zbrojnych oraz dwa juczne osły z czterema skrzyniami niezwykle kształtów, krytymi skórą i nabijanymi miedzianymi ćwiekami. Owe skrzynie ścigały na siebie uwagę wszystkich; nad grupką jezdnych unosiła się wypełniona milczeniem cisza.

Trzeba przyznać, iż burgrabia Fryderyk nie był zachwycony wizytą kolejnych gości tuż po pożegnaniu poprzednich, czuł się wyczerpany wydarzeniami ostatnich dni. Stefanus rozplątał się na odjeździe w przeprosinach, zapewniając burgrabiego najusilniej o swojej i Kościoła przyjaźni. O przypadłości na murach nie wspominał ani słowem, jakby nie miała miejsca, jednak Fryderyk spostrzegł, że wspomnienie słabości ukrył w głębi serca i długo jeszcze będzie je tam nosił. Cóż za wstyd dla chłopca, zamku – i jego, burgrabiego.

W istocie powziął coś w rodzaju przyjaźni w stosunku do Stefanusa i w cichości ducha postanowił, że wedle jego rady sprowadzi dla Wolfganga, gdy nadejdzie właściwy czas, nowego preceptora, benedyktyna. To już nie potrwa długo, stary franciszkanin brzydko kaszłał i prawie nie odzywał się inaczej niż szeptem.

Zapewnienia o przyjaźni Kościoła i papieża niezbyt interesowały burgrabiego. Będąc przedstawicielem starego szwabskiego rodu, zachował lojalność wobec Hohenstaufów. Jego dziad walczył u boku Henryka Lwa, a przez Fryderyka Barbarossę został obsypany zaszczytami.

Toteż, jako wierny wasal, burgrabia powinien był powitać zaufanego cesarza z radością. Z wielu jednak powodów nie podobała mu się ta wizyta. A najważniejszego z nich nie stanowiło zmęczenie, lecz fakt, iż gość był astrologiem. Dusza burgrabiego Fryderyka kurczyła się z bólu na wspomnienie wszystkiego, co wiązało się z przeznaczeniem. Nie przestawał więc pić.

Mimo to zadbał, by wróżbita został godnie przyjęty, by otrzymał paradne komnaty, a także by przyzwoicie ulokowano ludzi z jego orszaku.

O Wolfgangu próbował myśleć jak najmniej; jednak wciąż stawał mu przed oczyma obraz chłopca na schodach, a jego przyspieszony oddech brzmiał w uszach dzień i noc.

Wolfgang tymczasem z murów nad bramą obserwował, jak orszak astrologa pnie się wąską, krętą drogą, a potem wjeżdża na dziedziniec przed zamkiem. Patrzył z góry na ich pochylone karki. Jediną osobą, która podniosła głowę i zwróciła nań uwagę, był rudowłosy i rudobrody olbrzym w opończy koloru nieba, poplamionej grudkami zaschłego błota. Domyślił się, że w długiej podróży nie mieli szczęścia do pogody.

Kiedy mąż w błękitnej opończy podniósł wzrok, ich oczy na jedno mgnienie się spotkały, a rudowłosy skinął lekko głową, jakby rozpoznając Wolfganga; po czym jego oblicze skryło się pod sklepieniem bramy. Chłopiec poczuł zaciekawienie. Nic w ludziach z orszaku nie zdradzało ich profesji, nie byli to jednak kupcy ani najemni żołnierze. Zdecydował się zapytać stryja.

Po posiłku udał się do burgrabiego, do kancelarii, by się dowiedzieć, kim są obcy. Stryj odpowiedział krótko, wydawał się zażenowany. Lecz Wolfgang, zaspokoiwszy ciekawość, nie odszedł po prostu, jak by to uczynił kiedy indziej. Czuł, że pozostała między nimi jakaś nie załatwiona sprawa. Przyglądał się stryjowi studiującemu dokumenty. Przed nim na stole leżała zawieszona na łańcuchu pieczęć herbowa zamku. Chłopiec podniósł ją i obracał w palcach. Dopiero teraz stryj otwarcie nań spojrział.

– Za kilka miesięcy będzie twoja – odezwał się. – I co wtedy?

Wolfgang uśmiechnął się niepewnie i wzruszył ramionami; skąd ma wiedzieć. Na chwilę zapadła cisza.

Wzrok burgrabiego spoczął na czole chłopca, między brwiami. Wolfgang wyprostował się nagle i napotkał to spojrzenie. Fryderykowi zdawało się, że słabnie, że serce mu drętwieje, i ze wszystkich sił wpijał się w oczy chłopca, intensywnie teraz zielone i większe niż zazwyczaj.

Wolfganga zaś ogarnął na powrót ów nierzeczywisty nastrój z wieczornego spotkania na schodach. Bez żadnej przyczyny, nie wiedząc, co robi, podniósł się z krzesła i podszedł do stryja; stanął blisko, tuż. Burgrabia pogładził go po ręce, potem posadził sobie na kolanach, jak małe dziecko, i objął, jedną dłoń wsuwając mu pod uda.

Siedzieli tak chwilę bez ruchu. Świat wydał się nagle Wolfgangowi daleki i rozświetlony blaskiem. Po karku i plecach rozbiegły się delikatne igielki podniecenia.

A potem stryj nachylił się i pocałował go w usta. Przytulił mocniej, gładził po udach, wyżej i wyżej – i wnet Wolfgang wygiął się w łuk, rozchylił nogi. Oddychał teraz szybciej i pozwalał na wszystko bez sprzeciwu. Cały czas się całowali, coraz bardziej namiętnie, i żaden już nie rozróżniał, który z nich jest którym.

Raptem Fryderyk podniósł się i nie wypuszczając Wolfganga z objęć, przeszedł do swych komnat sąsiadujących z kancelarią. Chciał rozluźnić uścisk, by otworzyć drzwi, lecz tym razem chłopiec sam się mocniej przytulił. Kiedy wreszcie zdołał nacisnąć klamkę, zauważył, że ręka mu gwałtownie drży.

Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżył. Bywały wszak różne historie, a to ze stajennymi, a to z pewnym paziem – żaden z nich nie oddawał się jednak do tego stopnia bez zahamowań, i mimo to żaden z nich nie wywołał w nim wrażenia takiej niewinności i szczerości uczuć. Na mgnienie oka przypomniał sobie czarną Dłoń, ale zaraz odsunął tę myśl. Siłą uwolnił szyję z uścisku chłopięcych rąk i opuścił Wolfganga na łóżko. Bratanek spojrział nań wielkimi błyszczącymi oczyma. Usta miał półotwarte, a Fryderyk zauważył, że wilgotne wargi lekko drżą.

Może on rzeczywiście jest obłąkany, pomyślał, ściągając chłopcu buty ostrożnie, jakby był ze szkła. Potem rozpiął mu spodnie i powędrował pieszczącą dłońią w górę uda, aż dotarł do członka. W ubraniu opadł na łóżko i znów się całowali.

Wolfgang czuł jedynie, że pocałunki wysysają zeń oddech, że się powoli dusi i że mu dobrze, tak dobrze...

Gdzieś z daleka dobiegł odgłos stukania do drzwi. Stryj zerwał się na nogi, poprawił szaty i mocno przycisnął palec do ust na znak, że Wolfgang ma zachować ciszę. Potem wyszedł z alkowy, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Przekręcił klucz i na zgrzytanie zamka chłopiec oprzytomniał.

Oszołomiony podniósł się z łóżka, zaskoczony i zażenowany tym, co się stało. Już nieraz zdarzało mu się tracić na dłuższą chwilę świadomość; nigdy jednak w obecności innych ludzi. Jedyne pośród sokołów dawał się unieść potężnemu strumieniowi uczuć, tylko wtedy zatapiał się w nich całkowicie. Natomiast tych przeżyć nie rozumiał.

Spojrzał w dół, na swój członek, sterczący sztywno, jeszcze rozpalony i drżący; dotknął go i znów zauważył, że traci poczucie rzeczywistości. Opanował się więc i bezszelestnie wciągnął spodnie. Z kancelarii dobiegały słowa stryja rozmawiającego z jakimś mężczyzną, którego głosu nie rozpoznawał.

W komnacie panował półmrok, pachniało czystą, świeżo wyszorowaną podłogą i jałowcem, którego gałązkami ją posypano. Zapach ten przypominał Wolfgangowi dzieciństwo. Piętro niżej ktoś stukał obcasami po posadzce. Znał ten dźwięk; w przestronnych komnatach brzmiał tak samotnie i jednostajnie. On także przywodził na myśl dzieciństwo, czas przed...

Cichutko włożył buty i owinął się płaszczem. Serce w dalszym ciągu waliło mu w piersi. Wargi i nos miał zeszywniałe od zaschłej śliny. Męczyło go zamknięcie, ale starał się za wiele o tym nie myśleć; na pociechę wyglądał przez okno.

Na dziedzińcu dwóch stajennych podkuwało konia. Zwierzę rzucało się i wierzgało; nie chciało się poddać. Wolfgang zawsze uważał widok podkuwanych koni za paskudny. Obserwował zmagania ze współczuciem i obrzydzeniem.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk i odwrócił się. W drzwiach stał stryj, nie spuszczał z niego mrocznego spojrzenia szeroko rozwartych oczu.

Zbyt szeroko, szepnęło coś Wolfgangowi, zbyt szeroko...

Przecisnął się koło stryja i pospiesznie opuścił jego komnaty, cały czas czując na plecach wzrok dorosłego.

– Nie zapomnij o wieczornej uczcie na cześć astrologa – rzucił za nim stryj dziwnie zmęczonym głosem.

III

Burgrabiemu Fryderykowi zdawało się, że astrolog Michael bardzo uważnie śledzi wszystkie jego poczynania. Brązowe oczy jasnowidza wędrowały niespokojnie pomiędzy nim, jego małżonką a pustym miejscem u szczytu stołu.

Chłopiec nie przyszedł.

O Boże, co za dzień! Co za potworny dzień! Najpierw to zdarzenie na murach ze Stefanusem; wydawałoby się wieki temu. Potem – w kancelarii...

Na koniec jeszcze i to. Wolfgang, wedle jego własnych słów, zachorował i przez ojca Sebastiana przesłał wiadomość, że nie będzie obecny na uczcie. Burgrabia Fryderyk nie był na tyle tępy, by nie pojąć, że jedno się z drugim wiąże... jedno z drugim...

Trudno powiedzieć, by żałował tego, co się stało wcześniej owego dnia, gdy chłopiec pojawił się w kancelarii. Nie miał żadnych moralnych ani religijnych obiekcji co do takiego zachowania. Etyka i teologia nie należały do jego mocnych stron. Natomiast obraz tej sceny szarpał mu nerwy do granic wytrzymałości.

Nie chciał pić tego wieczoru zbyt wiele, bo jakaś czujność ze strony astrologa i jego ostre spojrzenie kazały mu się strzec. Niemniej z upływem godzin miał coraz bardziej w czubie. Kiedy już zaczął pić, trudno mu się było powstrzymać. W dodatku myśli odwracały jego uwagę od faktu, że wciąż sobie dolewa. Burgrabia Fryderyk pogrążył się w zadumie.

W całej tej sytuacji było mianowicie coś nie w porządku. Nie w porządku był sposób, w jaki mu chłopiec uległ, w jaki obejmował jego szyję, pozostawiając na karku drobne ślady zadrapań. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. A kiedy tak raptownie zniknął i czar przysł, natychmiast pojawiły się skojarzenia z przeznaczeniem i czarną Dłonią.

I oto – jak na ironię losu – na Falkenberg przybył człowiek, który się tymi sprawami zajmował, astrolog, objaśniacz gwiazd.

W tym momencie pani Eleonora zaczęła rozmowę o stryju burgrabiego Fryderyka, starym jasnowidzu, który został astrologiem na Sycylii, w ojczyźnie cesarza. Michael Scotus rozjaśnił się; dobrze znał starca, ale nie miał pojęcia, iż pochodzi on właśnie stąd, z Falkenborga. Chociaż, gdy się zastanowić, to przypomina sobie tę nazwę. Aż dziw, że wcześniej na to nie wpadł.

Burgrabia Fryderyk przyjrzał się podejrzliwie rumianej, fauniej twarzy, lecz Michael, który nagle zrobił się bardzo rozmowny, kontynuował z niezmałym spokojem:

– Pamiętam wiele jego historii o zamku w Szwabii, gdzie dorastał. Szczególnie – jak to się mówi po niemiecku? – zauroczyła mnie opowieść o Wieży Gwiazd.

– Wieża Gwiazd? – zdziwiła się pani Eleonora. – Przecież na Falkenburgu nigdy nie było żadnej Wieży Gwiazd, prawda, Fryderyku?

– Nie, nigdy nie mieliśmy wieży o takiej nazwie – odparł burgrabia, aż za dobrze wiedząc, o którą chodzi. – Starzec musiał chyba, hm, ubarwić nieco swoje opowiadanie o twierdzy. Falkenburg jest w istocie potężny i rozległy, mamy tu między innymi... – próbował właśnie skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, gdy Szkot go uprzedził.

– To nadzwyczaj dziwne! Od północnej strony powinna się tu znajdować wieża; ma to być ponoć najwyższa budowla na zamku. Starzec wspominał także, że widać stamtąd prawie cały nieboskłon. Chyba że to nie ona była owym punktem orientacyjnym, na który się kierowaliśmy przybywając tu dzisiaj... – uśmiechnął się chytrze, ukazując równe, długie, lekko żółtawe zęby.

– Och, rzeczywiście! – pani Eleonora klasnęła w dłonie. – Pewnie miał na myśli Wieżę Północną!

Dużo lepiej czuła się w towarzystwie tego gościa niż przy papieskich wysłannikach, którzy prawie nie potrafili mówić po niemiecku. Albo też nie chcieli. Jakkolwiek było, Szkot posługiwał się wyborym niemieckim, chociaż rolował z francuska „r” i pogrubiał z angielska „l”.

– Młody syn grafa, Wolfgang, tam teraz mieszka – wyjaśniła.

Tak mi właśnie powiedziano na dziedzińcu. – Astrolog skinął głową.

Pani Eleonora miała akurat wspomnieć coś o ptakach, lecz zachowała to dla siebie. Zerknęła na zapatrzonego w talerz małżonka. Nie mogła dostrzec wyrazu jego oczu, lecz pobladał bardzo wokół nosa i ust, skórę na wystających kościach policzkowych pokrywały drobne czerwone cętki. Zaciskał pod stołem pięści.

Szkot pozornie nie zwrócił uwagi na przerwę w rozmowie, tym samym tonem kontynuował: Z radością obejrzałby Wieżę Północną, jeszcze podczas obecnego tutaj pobytu. Był tak wielkim admiratorem starego jasnowidza – z dumą zaliczał się do jego przyjaciół – ma poza tym pewne obserwacje do przeprowadzenia. Więc gdyby tak mógł...

– Ależ oczywiście, przecież nic nie stoi na przeszkodzie! – odparła życzliwie pani Eleonora. – Któryś z pachołków was tam, panie, zawiedzie po uczenie.

Szkot pochylił głowę w ukłonie i z galanterią podziękował ruchem ręki.

W tej samej chwili burgrabia Fryderyk poczuł, że świat rozpada się na kawałki. Nic jednak nie rzekł, tylko dolał sobie wina. Miał wrażenie, że wokół niego rośnie ciemność, dostrzega w niej jedynie chłopca, sokoły i wieżę; chłopca, sokoły i wieżę... A Dłoń ponownie ścisza mu serce.

Gdy biesiada dobiegła końca, Szkot podziękował grzecznie za poczęstunek, a małżonka burgrabiego, wezwawszy pachołka ze straży, nakazała mu zaprowadzić astrologa na Wieżę Północną.

Sługa skłonił się i powiódł objaśniacza gwiazd po krążgankach i schodach. Postępując za wartownikiem, Szkot słuchał historii tego miejsca. W ciągu dnia zdążył się dopytać, gdzie mieszka Wolfgang, a teraz pachołek pogłębiał jego wiedzę.

Od kiedy w wieży osiadł starzec otoczony księgami i horoskopami, mówił, otaczała ją pewna aura nieufności. Potem wprawdzie przez kilka lat stała pusta, ale teraz wprowadziło się tam to młode grafiątko, Wolfgang, ze swoimi gusłami. Wedle słów knechta wieść o młodym czarnoksiężniku tak bardzo rozprzestrzeniła się w lennie, że ludzie wzdrygali się na sam widok wielkiego ptaka w locie. Wartownik, chłop już niemłody, miał jeszcze inne informacje o Wieży Północnej, na przykład że jej budowa trwała wyjątkowo długo i że była to szczególnie trudna, a nawet niebezpieczna robota, która kosztowała wiele istnień ludzkich. Jego pradziadek spadł z murów podczas budowy i nigdy nie odnaleziono ciała. Zapewne porwał je nurt. Nie była to jedyna ofiara, dodał pachoł, pojmie to każdy, kto ujrzy tę stromą skalną ścianę. Ponoć nigdy nie służyła jako baszta strażnicza, ktoś wspominał, że kiedyś był tu karcer, ale strażnik nie chciał dać temu wiary.

– W każdym razie... – kończył z ważną miną, gdy pokonywali ostatnie wąskie schody od strony zachodniego muru – w każdym razie wiąże się z nią niemało śmierci i cierpienia, a także czarnej magii. Sam nie poszedłbym tam po zapadnięciu zmroku, panie. Trza się mieć na baczności przed guślarzami.

Zaniepokojony popatrzył na potężnego Szkota z miną mówiącą: „Jeszcze można zawrócić” – lecz gość uśmiechnął się tylko i rzekł, że sam jest po trosze czarnoksiężnikiem.

– Słyszałem o tym, panie – przyznał knecht. – Wróżycie z gwiazd, prawda? – Michael skinął głową. – Czytacie w gwiazdach przeszłość i przyszłość oraz bieg ludzkiego losu, tedy powiedzcie mi czy to prawda, że kruczata się nie powiodła, że została rozbita w Syrii, a sam cesarz nie żyje? I że przed śmiercią przyjął wiarę pogańską?

Szkot popatrzył nań przeciągle. Długo przebywał poza południową Europą, ale czegoś takiego nie spodziewał się usłyszeć. Wspomniał władcę... i już na samą tę myśl wybuchnął gromkim, długim śmiechem, odchylając do tyłu głowę i pokazując wszystkie zęby.

Opuścił bez słowa zdumionego sługę, pokonał, wciąż śmiejąc się w głos, ostatnie schody i stanął na północnym murze. Wiał tutaj zimny wiatr, zapierał dech w piersiach. O nie, stary jasnowidz nic nie przesadził, opowiadając o wysokich, smaganych wichurą murach.

Szkot z trudem przywykł do ciemności za narożem. W odróżnieniu od innych, północnego muru nie oświetlała żadna pochodnia, zbyt było tu wietrznie. Tak więc, wspiąwszy się na jeszcze kilka stopni, musiał iść naprzód w skąpym świetle wygwieżdżonego nieba. W zasadzie przecież, pomyślał, na co dzień robi to samo. Była to krzepiąca myśl. Potem zaś jego oko spoczęło na wieży; zauważył, że zza szybek przeziernika wydobywa się słabe światełko.

Zatrzymał się na chwilę, by sprawdzić, czy dobrze ukrył papiery za pazuchą. Po czym poszedł dalej z uczuciem narastającego napięcia i prawdziwej ciekawości.

Dotarł do dębowych drzwi, zastukał. Trzy razy. Wydawało mu się, że w mdłym świetle padającym z okienka dostrzega jakiś ruch, potem odsunięto zasuwkę i drzwi się uchyliły.

Szkot zobaczył pobladłą twarz, tę samą, którą zauważył na murze nad bramą, gdy przed południem wjeżdżali na zamek.

– Czy pozwolicie mi wejść? – odezwał się, a chłopiec wpuścił go bez sprzeciwu do środka.

Rozejrzał się po komnacie oświetlonej zdradzającymi arabskie pochodzenie oliwnymi kagankami i wielkim ogniem z paleniska. Dopiero gdy ponownie obrócił się w stronę chłopca, zauważył siedzącego mu na ramieniu sokoła; przedtem skrywały go drzwi.

– Witajcie, oswajaczu sokołów – skłonił się lekko.

– Witajcie, objaśniaczu gwiazd.

Raptem Szkot uczynił coś, na co nikt dotąd się nie odważył. Wydobył spod szat skórę chleba, zbliżył się do zaskoczonego Wolfganga i podał ptakowi, który natychmiast pochwycił ją dziobem.

Chłopiec ze zdumieniem przypatrywał się zwalistemu, rudowłosemu mężczyźnie, który tak nagle objawił się w komnacie na wieży, zagadywał do sokoła i karmił go chlebem. Nie był pewien, jak ma się zachować, podejrzliwie czy otwarcie. Wtem obcy się uśmiechnął i Wolfgang pojął, że nie ma się czego obawiać. Prosił więc, by gość spoczął.

Zdarza się czasami, że gdy dwoje ludzi styka się z sobą po raz pierwszy, odnoszą wrażenie, jakby się już kiedyś gdzieś widzieli. To było właśnie takie spotkanie.

Przez dłuższy czas siedzieli przyglądając się sobie z uśmiechem, jak dwaj dawno rozdzieleni przyjaciele.

– Wiedziałeś, że przyjdę – rzekł wreszcie Szkot.

– Tak... – po namyśle Wolfgang stwierdził, że istotnie oczekiwał tego spotkania, chociaż nie poszedł wieczorem na dół.

– Widziałem cię na murach przed południem, kiedy wjeżdżaliśmy...

Aha, przed południem, tak; to było tuż przedtem, jak... Wolfgang przypomniał sobie to, co się wydarzyło w kancelarii. Astrolog zauważył, że chłopiec się zamyślił, ale nie dał po sobie nic poznać.

– Wtedy wcale nie byłeś chory – ciągnął. – Dlatego przyszedłem.

– Zgadza się. – Wolfgang skinął głową.

– Czy wiesz, że ta wieża należała kiedyś do twego stryjecznego dziada?

– Tak, obito mi się to o uszy.

– Twój stryjeczny dziad był wielkim człowiekiem, Wolfgangu. Niezwykłym.

Chłopiec ucieszył się, że Szkot tak bez żenady nazwał go po imieniu.

– Sławnym ze swych umiejętności na całą Rzeszę – kontynuował astrolog. – W pewnym sensie był moim poprzednikiem. Ja także mieszkam na Sycylii.

Wolfgang znowu skinął potakująco głową.

– Brat twojego dziada wiele opowiadał o Falkenburgu w ostatnich latach swego życia; niestety, zbyt krótko go znałem. Wspominał zwłaszcza tę wieżę i spędzane na niej noce. Tutaj powstało jego główne dzieło, a lata tu przeżyte chyba wiele dla niego znaczyły i wycisnęły na nim piętno. Doprawdy, szczególne uczucie, zobaczyć to miejsce na własne oczy – rozejrzył się po komnacie. – Rozumiesz, Wolfgangu, długie przebywanie pośród takiej otchłani powietrza i gwiazd, w pewnym sensie z dala od świata, pozostawia w człowieku niezatarty ślad. Widzę, że ty również masz to w sobie – dodał utkwivszy spojrzenie w zielonych, bezdennych oczach chłopca.

Zamilkł. Wolfgang przypominał mu kogoś, nie starego astrologa, kogoś innego – ale kogo?

– Po prostu mieszkam tutaj – odparł chłopiec lekko – razem z moimi sokołami.

– Tak. – Szkot skinął głową. – To dobrze.

– A inni żyją na dole.

– Tak było zawsze. – Wróżbita pojął, co chłopiec ma na myśli. Ci, którzy widzą, od wieków mieszkali na szczytach gór lub wież, czasami siadywali także na wysokich słupach na pustkowiu. Tak, nawet przebywając w ludzkiej masie znajdowali się wysoko i daleko ponad nią; w swoim świecie.

– Zapewne wiesz, Wolfgangu – ciągnął Szkot – że stawianie horoskopów nie jest łatwe. Znasz się chyba na mowie gwiazd?

– Raczej nie.

– No cóż – uśmiechnął się astrolog – musisz mi więc uwierzyć na słowo, że to praca trudna i wymagająca szczególnej dokładności. Oczywiście, jeśli się chce ją wykonać prawidłowo. Trzeba się znać na planetach, sferach, Słońcu i Księżycu, a także na układzie gwiazd stałych. Oprócz zaś dokładności i koncentracji należy jeszcze mieć zdolność widzenia. No i dobrze. – Michael zakastał i przysunął się bliżej ognia. – Trochę zaschło mi w ustach – wyjaśnił.

Podniósłszy się z karła, Wolfgang podsunął mu dzban piwa, chleb i obsuszoną kielbasę. Szkot się rozpromienił. Świetna przekąska po uczcie! Wyjął długi nóż, pokroił chleb i kielbasę; przez chwilę posilali się w milczeniu, popijając piwo. Co jakiś czas Wolfgang podtykał Bezimiennemu kawałek mięsa ze skórzanego mieszka.

– Utyje – zauważył Michael.

Wolfgang roześmiał się i żartobliwie pogroził sokołowi palcem. Ten widok natychmiast uświadomił astrologowi, kogo mu chłopiec przypomina. Nic jednak nie powiedział, tylko podjął wątek przerwanej rozmowy.

– Twój stryjeczny dziad nadzwyczaj dobrze znał niebo i doskonale wyczuwał, co w horoskopie jest ważne i znaczące. W dużej mierze dzięki obserwacjom przeprowadzanym z tych murów. Lepiej niż ktokolwiek inny znał zwłaszcza niebo Falkenburga, rozumiał wymowę gwiazd nad Falkenburgiem o każdej porze roku. Bo rozumiesz, Wolfgangu, przy układaniu horoskopu nie chodzi tylko o to, by znać się na gwiazdach... Trzeba jeszcze wiedzieć coś o miejscu urodzenia dziecka: jak jest położone, wysoko czy nisko; blisko wody i wilgoci, czy na suchym terenie... Brat twego dziada doskonale zaznajomił się z Falkenburgiem także pod tym względem. – Szkot zaczął żuć kolejną skibkę chleba, splukując kęsy łykami piwa.

– Czy astrologia to trudne rzemiosło?

– Nie, jeśli się człowiek na nim zna – zaśmiał się Michael Scotus. – To znaczy... – parsknął znowu – to znaczy z wyjątkiem tych sytuacji, gdy cesarz chce zorientować się w sprawach, na które jedynie Bóg Ojciec ma odpowiedź. Wiesz – ciągnął nie przestając się śmiać – pewnego razu, już kilka dobrych lat temu, przychodzi do mnie cesarz i powiada, że chciałby się dowiedzieć paru rzeczy. Świeżo wtedy objąłem urząd, a i cesarz był młodszy. Tak, tak, władca zaklinał mnie na mą miłość do wiedzy i na oddanie koronie, bym mu zdał sprawę z fundamentów i elementów ziemi, jak mianowicie została wyniesiona nad otchłanią, czy poza powietrzem i wodą istnieje coś jeszcze, jakaś podpora, która ją utrzymuje ponad czeluściami. Zastanawiał się też, na czym by się ta ziemską z kolei podpora wspierała; czy stoi samodzielnie, czy znowu za

fundamenty miałyby niebiosa. Chciał również wiedzieć, ile tych niebios naprawdę jest i kto którym włada: Aniołowie, Archaniołowie i tak dalej, aż do Cherubinów i Serafinów. Potem jeszcze chciał poznać dokładnie odległości między poszczególnymi niebiosami, jak wielkie były w nich różnice – i dużo innych rzeczy. Pytał nawet, co znajduje się za najdalszym niebem! Mój Boże, ileż ja się wtedy naczytałem i namęczyłem, żeby na którąkolwiek przynajmniej z tych kwestii znaleźć odpowiedź! Po tej właśnie historii nadał mi tytuł nadwornego filozofa. Wyobraź sobie, interesowało go również, dlaczego woda w oceanie jest tak słona, jak ten, nie przymierzając, ogryzek kiełbasy, natomiast w rzekach i jeziorach nie i nadaje się do picia. Takich spraw wyjaśnić nie umie nikt, a ja usiłowałem to uczynić. – Astrolog parsknął śmiechem. – Powiedział wtedy, że to są ważne pytania, na które jako cesarz rzymski powinien znać odpowiedź. W takich sytuacjach urząd nadwornego astrologa to, owszem, ciężki kawałek chleba. Cesarz bowiem jest bardziej świątły i żądny wiedzy, a także, być może, mądrzejszy niż jakikolwiek inny człowiek na ziemi.

Wolfgang śmiał się zadziwiony. Coraz bardziej podobał mu się ten rudzielec. Jakby razem z nim napłynęło do wieży ciepło – poczucie bezpieczeństwa, przypominające dawne czasy, przed... Wydawało się, że od Szkota wręcz bije łuna jasności.

– Tak, tak – ciągnął żartobliwym tonem Michael, skubiąc brodę – może powinienem to kiedyś spisać.

– Jaki jest właściwie cesarz?

– Cesarz? Jaki jest? – wróźbita zerknął na Wolfganga.

– Nie spotyka się na ogół podobnej energii i talentów skupionych w jednym człowieku. Interesuje się nie tylko losami królestwa i ingeruje w najdrobniejsze szczegóły. To mąż oddany nauce, corocznie wspiera wielkimi sumami szkołę medyczną w Salerno. Przed chwilą ci opowiedziałem, jak pożąda wiedzy i zgłębia trudne, zawiłe problemy. Poza tym... to zapewne szczególnie cię zaciekawia, jest znawcą ptasich obyczajów i mistrzem polowania z sokołami. Posiadał ogromną wiedzę na temat życia ptaków, a także innych spraw związanych ze światem zwierząt. Na Sycylii utrzymuje całą menażerię najdziwniejszych stworów ze wszystkich krain. I, jak wspomniałem, pyta o wszystko między niebem a ziemią, od cen na chleb w miastach po obuwie knechtów. Widzisz, Wolfgangu, sztuką nie jest znalezienie odpowiedzi, lecz postawienie właściwego w danej chwili pytania.

Chłopiec skinął głową i na chwilę zapadła cisza.

– Tak czy inaczej – przerwał ją astrolog – poznałem twego stryjecznego dziada na dworze. I fakt, że się tu zjawiłem, ma ścisły z tym związek. Czy wiesz zresztą, kiedy umarł?

– Brat mego dziada? Nie wiem.

– Wcale nie tak dawno. Na kilka lat przed śmiercią zrezygnował z funkcji nadwornego astrologa i ostatnie swe dni spędzał z dala od miasta i dworu, w willi nad brzegiem morza. W samotności, tak jak lubił. Odwiedzałem go możliwie często i spędziliśmy na wybrzeżu wiele pięknych wieczorów. Noce nad Morzem Śródziemnym mają głęboką czerń, a wygwieżdżone niebo odznacza się szczególną urodą. Rozprawialiśmy o różnościach, lecz starzec bardzo wiele uwagi poświęcał zamkowi, skąd pochodził jego ród, Falkenborgowi, i jego losowi, „przeznaczeniu”, jak to określał. W owym czasie byłem mniej doświadczony niż teraz i nie wiedziałem, że jakieś miejsce może, podobnie jak człowiek, mieć swoje przeznaczenie... Ale odbiegam od tego, o czym mówiliśmy. Aha, no więc jeszcze kiedy twój stryjeczny dziad mieszkał w zamku, sporządził był horoskopy dla bratanków, twego ojca i stryja. A i po przeprowadzce na południe – jak wiem, nastąpiła ona wnet po narodzinach twego stryja – starał się cały czas utrzymywać łączność z Falkenborgiem. Słał wiele listów, najpierw do brata, a potem do twego ojca, gdy ten odziedziczył lenno. Tak więc niewiele tygodni przed śmiercią otrzymał pismo od grafa na Falkenborgu, donoszące, że narodził mu się syn.

Zapadła cisza, słychać było jedynie trzaskanie ognia na kominku i trzepotanie skrzydeł na poddaszu.

– Ja – rzekł cicho chłopiec.

– Tak, ty – potwierdził Szkot z powagą. – Ojciec podał w liście dokładny moment twego przyjścia na świat; sądzę, że chciał mieć horoskop sporządzony dla ciebie przez stryja, podobnie jak niegdyś powstał jego własny. Kiedy ostatni raz odwiedziłem starca, zakończył właśnie obliczenia i spisywanie wykładni. Był już wtedy dość osłabiony, jednak Falkenborgowie zajmowali jego myśli do ostatniej chwili. Dobrze pamiętam tamten wieczór, jeden z pierwszych cieplejszych owego roku. Stary wróż leżał w łożu, które wyniesiono na taras. Oddychał ciężko, ze świstem i widziałem, że jego koniec się zbliża. Był wiekowy, miał, jak sądzę, ponad siedemdziesiąt lat. Na desce przy twierdzonej do łoża zobaczyłem rozpostartą robotę. Namawiałem go do odpoczynku, wszak nie powinien się przemęczać, lecz tylko potrząsnął głową i skinął na mnie przyzywająco. Kiedy siadłem bliżej, zaczął mi tłumaczyć. Zajęło to wiele czasu, bo miał trudności w

mówieniu, a zależało mu jak zawsze na dokładności i wyjaśnieniu każdego szczegółu. Cały czas jednak odnosiłem wrażenie, że jest dlań osobliwie ważne, by mi wszystko skrupulatnie przekazać. Po wykonanej pracy widać było, jak bardzo mu leżała na sercu. Sporządził bowiem horoskop – twój, jak się okazało – a zrobił to gruntownie i rzetelnie. Z wielu zaś powodów był zaniepokojony tym, czego się w nim doszukał, zwłaszcza w zestawieniu z horoskopem twego stryja... Rozumiesz, Wolfgangu, w astrologii jest coś, co nazywamy progresjami. Za pomocą tych obliczeń możemy się dowiedzieć, co się z daną osobą będzie działo w kolejnych latach życia. Twój stryjeczny dziad dokonał tych wyliczeń w twoim horoskopie – a także w horoskopie twego stryja. Wywnioskował z nich, że na Falkenburgów może spaść wielkie nieszczęście czternastej zimy twego życia. Tej zimy.

Długą chwilę patrzyli sobie w oczy, a Wolfgang poczuł, że mu się kręci w głowie.

– Tamtego wieczoru prosił mnie, usilnie mnie prosił, bym cię przestrzegł, zanim nadejdzie ta chwila. Właściwie o niczym innym nie mówił. Więcej już go nie widziałem. Od tej pory przez lata ciążyła mi myśl, że powinienem spełnić ostatnie życzenie starca. Czuł się tak związany z rodem i zamkiem... Falkenberg teraz sprawia wrażenie trochę opuszczonego, ale za jego czasów musiało tu być zgoła inaczej... Dlatego... – Szkot wyjął zza pazuchy zrolowany dokument. – Oto horoskopy.

Podał je Wolfgangowi, który sztywnymi palcami rozwinął pergaminy. Przed oczyma stanął mu – wyraźnie, jak wykuty w kamieniu – stary człowiek znad słonego morza w dalekiej południowej stronie, który przed czternastoma laty przewidział... coś. Chłopcu wydało się to strasznie odległe w czasie; przez plecy przebiegł mu dreszcz podziwu, a może raczej lekkiej obawy. Świat pociemniał; przeistoczył się w czarny, bezświatlny mrok.

Pergaminy były wypełnione pismem i rysunkami. Kwadraty, tajemne znaki i figury geometryczne zatańczyły mu w oczach. Horoskopy liczyły wiele stron, przeglądał je dotykając z szacunkiem grubych arkuszy.

– Co one mówią? – spytał.

– Dużo – odparł Szkot z lekkim uśmiechem, nachylając się ku niemu. – Bardzo dużo. Zanim wyruszyłem w podróż, która mnie tutaj przywiodła, dokładnie je zbadałem. Są precyzyjne, drobiazgowo wyliczone i wiarygodnie objaśnione. Ale co powiadają... No cóż, horoskop mówi o duszy i wyglądzie zewnętrznym, o zdarzeniach w życiu człowieka i o jego charakterze. O nałogach i przypuszczalnych słabościach, lecz także o jego sile i zaletach. Zbyt wiele czasu zajęłoby omawianie tego z tobą szczegółowo. Tamci już się zapewne zastanawiają, co ja tu porabiam. Nie mogę długo zostać.

Wolfgang spojrział nań pytająco.

– Przyszedłem, żeby cię ostrzec – wyjaśnił Szkot i już się nie uśmiechał.

Sokół, Bezimienny, poruszył się na ramieniu chłopca. W kominku osunęło się przepalone polano.

– Może wyjdziemy na dwór i popatrzymy w gwiazdy? – zaproponował astrolog. – Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

Wróżbita i sokolnik stali na murach pod osłoną wieży, wpatrując się w ciemność. W głębi u ich stóp w świetle gwiazd i księżycy pobłyskiwała matowym granatem rzeka.

– Jakże pięknie jest tu na górze – rzekł cicho Michael.

Wolfgang skinął ku zachodowi.

– Tam poluję.

W miejscu, gdzie stał las, ciemność wydawała się jakby czarniejsza. Szkot kiwnął głową. Wskazał niebo w górze.

– A ja tam – rzekł. – Na losy i zdarzenia. Czymże innym jest wszak życie, jak nie wielkimi, długimi łowami. Wieczną pogonią za własnym przeznaczeniem, za doskonałym spełnieniem. Człowiek poluje na coś nieokreślone go... na samego siebie. Jak sokoły na pardwy i zające.

Otulił się szczelniej opończą.

– Czy ja umrę? – spytał Wolfgang nie patrząc w jego stronę.

– Wszyscy kiedyś umrzemy – odparł astrolog ze smutkiem.

– A ty? Czy wiesz, kiedy umrzesz?

– Nie wszystkim jest dane poznanie wykładni własnego horoskopu. Twój stryjeczny dziad i inni objaśnili go dla mnie przed laty. Właściwie wolałbym niezbyt wiele o tym wiedzieć.

– I co ci powiedzieli?

– Że dużo podróżowałem i będę to w dalszym ciągu czynił. I że powinienem się strzec wielkiego zagrożenia od wody w pięćdziesiątym drugim roku życia. I jeszcze wiele innych rzeczy.

– Zagrożenie od wody? Co to znaczy?

– Nie wiem. Pewnie tyle, że się utopię. Może utonę podczas katastrofy statku. Nikt tego nie wie.

Cisza, która zapadła, była ciężka od pytań.

– Widzisz, Wolfgangu – ciągnął Szkot – człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Ludzie tym się różnią od zwierząt, że do pewnego stopnia potrafią wyzwolić się od przeznaczenia, podczas gdy zwierzęta podążają ku niemu na oślep, nie stawiając oporu. Jak zając, który drżąc przygląda się, sparaliżowany strachem, gdy sokół rozrywa jego towarzysza na strzępy. Nie odbiegnie, nie ucieknie, zupełnie bezwolny, aż wreszcie przyjdzie kolej na niego.

– A co się zdarzy tutaj, na Falkenborgu?

– Horoskop powiada, że zarówno ty, jak i twój stryj będziecie narażeni na wielkie niebezpieczeństwo z powietrza.

Nawet w słabym świetle gwiazd astrolog dostrzegł, że chłopiec mocno pobladł.

– Wolfgangu, czy zdarza ci się czasami bez specjalnego powodu odczuwać lęk?

– Tak – odpowiedź padła niemal szeptem. – Bywa, że boję się wszystkiego, szczególnie ciemności.

– I mimo to mieszkasz tu na wieży?

– Tak – odszepnął znowu. – Tylko jednego lękam się bardziej. Gorszi od ciemności są ludzie.

Szkot pokiwał głową w zamyśleniu.

– Odczuwam strach, objaśniaczu gwiazd – mówił dalej chłopiec – innego jeszcze rodzaju. Tu na górze, z sokołami przebywałem dotąd jakby we śnie. To było czekanie. Oczekiwanie na cokolwiek, na niewiadome.

Astrolog przysunął się bliżej i położył mu rękę na ramieniu.

– Czy ostrzeżesz także stryja Fryderyka? – spytał Wolfgang.

– Nie – odparł cicho Michael.

– Dlaczego?

– To kwestia oceny. Od momentu przybycia tutaj miałem wrażenie, że powinienem rozmawiać z tobą. Przynajmniej zaś najpierw z tobą. Coś w horoskopach, a także pewne cechy twojego stryja dały mi podstawę, by tak sądzić. Miałem nadzieję, że od ciebie dowiem się dlaczego.

Tak więc Wolfgang opowiedział o wieczornym spotkaniu na schodach i o tym, co zdarzyło się przed południem w kancelarii.

– Boję się, objaśniaczu gwiazd – zakończył.

Chciał jeszcze spytać, czy są po temu powody, ale słowa pozostały nie wypowiedziane. Astrolog także się nie odezwał, musiał się bowiem zastanowić nad wieloma sprawami.

Chwilę później weszli na powrót do wieży, gdzie Michael zasiadł wygodnie przy ogniu, by ponownie badać horoskopy. Nie podnosił wzroku znad pergaminów, a Wolfgang nie umiał z wyrazu twarzy odgadnąć jego myśli.

– Tak – mruknął na koniec. – Amor fati.

– Amor fati? Umiłowanie przeznaczenia?

– Tak, tyle mi przyszło do głowy: Pokochaj swój los. Bierz go, jaki jest, w miarę jak się objawia. Spełnij swe przeznaczenie. Nie wiem, czy mogę cokolwiek twierdzić z absolutną pewnością. Jak już mówiłem, duch ludzki nie podlega ślepo gwiazdom i przeznaczeniu. Nie ma nic pewnego, lecz zagrożenie istnieje naprawdę – rzekł stanowczo.

– Nie całkiem pojmuję... – zaczął Wolfgang.

– Żyjemy w niezwyklej epoce. Tak wiele się zdarza dziwów! Czy wiesz, że w Rzymie niedawno doszło do rozruchów i papież musiał salwować się ucieczką? Albo że Święte Miasto zostało zdobyte bez rozlewu krwi?

Wolfgang pokręcił w zdumieniu głową.

– W takich czasach chłopcze, ludzie się zmieniają. Między Wschodem a Zachodem nawiązała się cienka nitka porozumienia, pojednania. To także zasługa cesarza. Tak więc wszystko teraz podlega przemianom i nie jest już tak łatwo jak niegdyś czytać w gwiazdach.

– A co gwiazdy mówią o cesarzu?

– Ha! – wróż uśmiechnął się i pogładził po brodzie. – Gdybyśmy my, astrologowie, mieli rację, gdyby sprawdziły się nasze przewidywania, dawno by już nie żył. Czyhało na niego takie mnóstwo zagrożeń, i to ze strony wszystkich czterech żywiołów, że po prostu powinien być się ugiąć pod jedną z tych okoliczności. Jednakowoż ten sam horoskop wskazuje, że duch cesarza jest wyjątkowo silny, podobnie jak jego umysł. W o wiele większym też stopniu władca uniezależnił się od swego losu. Bo ma silną wolę, jak ty.

Wolfgang spojrział zaskoczony na rudego Szkota.

– Tak, tak – ciągnął tamten. – Dobrze słyszałeś. Ty także jesteś silny duchem, Wolfgangu. Można tego ducha pobudzić, by cię uwolnił od przeznaczonych ci zagrożeń. Z twego horoskopu daje się to wyraźnie odczytać. Natomiast o twym stryju nie wiem doprawdy, co mógłbym powiedzieć. Jedno jest pewne: wygrasz, jeśli zdołasz się uwolnić od grożącego ci nieszczęścia. Nawet niebezpieczeństwo i ból – może zwłaszcza one – bywają niejednokrotnie błogosławieństwem.

Twarz Szkota zastygła, podniósł się z karła.

– Zostawiam ci te horoskopy. Sądzę, że tutaj jest ich miejsce. Przepisałem je sobie – dodał i odwrócił się do wyjścia.

– Zaczekaj! – zawołał Wolfgang.

Tyle jeszcze pozostało do wyjaśnienia, tyle pytań bez odpowiedzi... Nagle zląkł się, że gość zniknie równie niespodziewanie, jak się pojawił.

– Słucham? – spytał przyjaźnie Szkot.

Wolfgang spoglądał nań przez chwilę wzrokiem za szczonego zwierzątka, a wróżbita zwrócił uwagę, jak bardzo zbiegły mu wargi.

– Wrócisz tu jeszcze? – odezwał się chłopiec cichutko.

To tylko zdołał z siebie wykrztusić. Michael raptem poczuł wielki żal. On także wysoko cenił sobie to spotkanie.

– Niestety – odparł. – Chyba nie. Ale może za kilka lat ty mógłbyś przyjechać do mnie na Sycylię? – uśmiechnął się, jakby skrywając jakąś tajemnicę. – Zaczynam teraz czterdziesty ósmy rok życia. Może zdążysz dorosnąć i odwiedzić mnie na dworze, zanim utonę? – zaśmiał się głośno.

– Dobrze.

– Wiesz, gdzie mnie szukać. – Astrolog otworzył drzwi. – A ja wiem, gdzie znaleźć ciebie, Wolfgangu grafie Falk. Miło było cię poznać; przez te wszystkie lata często zastanawiałem się, jaki jest ten chłopiec, dla którego starzec sporządził horoskop. Zdołałem ci się nieco przyjrzeć, lecz... Tak czy owak, było mi przyjemnie – skłonił się lekko, a Wolfgang odprowadził go do drzwi.

Stał w nich długo, spoglądając w ślad za potężnym mężem, aż tamten skręcił za róg i zszedł po schodach.

Później chłopiec zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i zapatrzył w ogień. Jego oczy były zupełnie czarne, jak ciemność pomiędzy gwiazdami.

Szkot zszedł po schodach; strażnik czekał w tym samym miejscu.

– Długoście tam byli, panie.

– Dość długo. Zaprowadź mnie do komnat.

Wrócili znaną drogą, po schodach i krużgankach.

– Widzieliście, panie, duchy? – odważył się spytać strażnik. – Czarnoksiężskie sztuki? Może zjawy?

– Jakie duchy? – Michael robił wrażenie nieobecnego.

" Tam na górze straszy – stwierdził stanowczo knecht. – Mój brat widział na własne oczy! Pan Wolfgang spotyka się co noc z duchami! To prawda!

Astrolog zatrzymał się i zmarszczył brwi.

– Straszy? – odparł ze smutnym uśmiechem. – Nie. Jeszcze nie.

III. ŚNIEŻYCA

I

Stojący na murach Wolfgang podążał wzrokiem za małą grupką jeźdźców. Obserwował, jak mozolnie pokonują stromą drogę po zamkowym zboczach, by wydostać się na główny trakt. Wkrótce zniknęli za zagajnikiem.

Czuł się w jakiś sposób podobny do owego silnego, niezwykłego Szkota. Obaj spoglądali na wszystko z góry, z perspektywy nieba. Michael, objaśniacz gwiazd, wydawał mu się sam po trosze gwiazdą – daleką od ziemi i błyszczącą czerwonozłotym światłem.

Stał przez chwilę, zapatrzony w punkt, w którym zniknął astrolog, a potem wszedł do wieży, gdzie czekał już pater Sebastian z księgami.

Michael Scotus kiwał się na końskim grzbiecie. Nie zwrócił uwagi na to, że cichutko, drobnymi płatkami zaczął sypać śnieg.

Astrolog nad niejednym głęboko się zastanawiał.

Ten młody człowiek, z którym spotkał się w wieży minionego wieczoru, był doprawdy niepośledni. W istocie, niezwykła latorośl ludzkiego rodu.

Horoskop chłopca także na to wskazywał. Pominąwszy bowiem owo niebezpieczeństwo, grożące tej zimy, przepowiednia dawała rokowania wyjątkowe, wręcz błyskotliwe. Mogła oznaczać wielkie zwycięstwa i władzę. Jeśliby więc całkowicie zawierzyć gwiazdom, chłopak jest wprost stworzony do panowania. Planety znajdowały się w niezwykłym w stosunku do siebie układzie, z Marsem i Jowiszem w dziesiątym domu. Co prawda mniej ważne ciało niebieskie, Księżyc – położony niekorzystnie w ósmym domu – zapowiadał nerwowość, niepokój umysłu, może nawet melancholię, jednak mógł w późniejszych latach przynieść zyski i zdobycze poprzez śmierć innych. Wedle doświadczenia Michaela za każdy przychylny aspekt płaci się nieprzychylnym. A Wolfgang potrafił być zarówno niełatwy do prowadzenia, jak i nieszczerze przyjaźnie nastawiony do innych ludzi; tyle astrolog zdążył zaobserwować. Miał w sobie jednak załączki cech niezwykłych.

Szkota dziwiło wszakże, iż chłopiec sprawiał wrażenie aż tak zalęknionego i nieśmiałego. Chociaż... Saturn, wróżący wielkie nieszczęście, zajmował niedobrą pozycję w trzecim domu i świadczył o niechęci do oficjalnych wystąpień i chłodnym stosunku do ludzi. Astrolog zaobserwował jednakże, jak Wolfgang

obchodzi się z sokołami; nie było w tym ani śladu nerwowości czy melancholii, przeciwnie, postępował władczo i zdecydowanie.

Michaela Scotusa ponownie uderzyło, jak bardzo chłopiec przypomina mu pewnego, absolutnie szczególnego męża. Wprawdzie minęło już wiele lat od czasu, gdy ten, kogo miał na myśli, wykazywał tak wyraźnie podobieństwo do Wolfganga, jednak skojarzenie z Fryderykiem Drugim, cesarzem z Bożej łaski, władcą Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, królem Jerozolimy i Sycylii, wydawało się niezwykle silne. Cesarz także otaczał się łowczymi sokołami i czynił to już od lat dziecięcych. Michael dobrze pamiętał, jak bardzo podobny do młodego Falkenburga był Fryderyk Drugi w tamtym okresie. Próbował pisać księgę o życiu i zachowaniu sokołów, o sztuce używania ich do łowów, a także o tajnikach ich lotu.

Monarcha potrafił również tak samo z dystansu, acz przenikliwie, obserwować wydarzenia, miewał tak samo pobladłą twarz i okazywał taki sam upór.

Astrolog wzdrygnął się lekko. Jeśli uda się zapobiec nieszczęściu, które czeka chłopca tej zimy – a miał taką nadzieję – niecodzienna pisana mu jest przyszłość. Wszystko zależało jednak od tego, czy Wolfgang zdoła stopniowo przesunąć swą siłę oddziaływania z sokołów na ludzi. Szkot z doświadczenia wiedział, że żelaznej woli towarzyszy zwykle niezgłębiona bezwolność. Pokonanie jej zaś jest kwestią zwycięstwa nad samym sobą. Miał także świadomość, iż cesarz poświęcił temu wiele trudu.

Otrząsnął się, na ile mógł, z zadumy, a wtedy zauważył, że zaczął padać śnieg. Nadeszła zima.

I znowu oddał się myślom, tym razem na temat pory roku, której pierwsze zwiastuny właśnie sypnęły z nieba. Wszystko mogło się wydarzyć owej czternastej zimy życia Wolfganga, gwiazdy nie podawały jednoznacznego rozwiązania. To zaś sprawiło, że nie było mu lekko na duszy. Z drugiej jednak strony, oddalając się na południe, odczuwał z wielu powodów ulgę. Wypełnił obietnicę daną starcowi, miał czyste sumienie. Chłopiec został ostrzeżony, jak o to przed blisko czternastoma laty prosił brat jego dziada.

W tej podróży Michael wydawał się sobie w pewnym sensie wysłannikiem gwiazd i tajemnych mocy. Ciężko mu było zwiastować tę nowinę, ale uczynił to sumiennie. Spełnił nałożony nań obowiązek.

Powrócił myślami do tego, czym się już dawniej, z własnych pobudek zajmował. Jakie to mianowicie miało znaczenie dla kolei losu, czy ten, kogo to dotyczyło, znał niektóre przyszłe wydarzenia? Na ile taka wiedza mogła wpływać na decyzje, na zmiany postępowania? Czy w rezultacie tego wpływu los obracał się na lepsze, czy na gorsze? Wreszcie – na ile takie zmiany były z góry założone?

Jaką wymowę w rozgrywce losu na Falkenburgu ma fakt, że on, wróżbita, pojawił się ze swym posłaniem w tym właśnie momencie? Michael bowiem w najmniejszym stopniu nie wątpił, że tam toczy się jakaś gra. Wszystko następuje według z góry ukartowanego planu.

Kto jednak ustala takie plany? Kto w ogóle programuje takie gry?

Wolfgang wyglądał przez okno. Płatki śniegu sypały teraz gęsto; za kilka godzin cały świat pokryje się bielą.

Najszybciej jak mógł, zakończył lekcję łaciny z ojcem Sebastianem, po czym przebrał się w strój myśliwski i kazał łowczemu oraz dwóm pachołkom przygotować się do drogi.

Następnie posłał do stryja z wiadomością, że korzystając ze świeżego śniegu, na którym dobrze będzie widać tropy, wyrusza na polowanie. Nie czekał na odpowiedź, od razu sprowadził sokoły na dół. Otoczony szumem skrzydeł pojawił się na głównym dziedzińcu, gdzie towarzyszący mu ludzie dosiedli już koni. Psów na łowy nie brał, zwierzynę dla sokołów wypłaszali pachołkowie.

Kiedy wreszcie ruszyli, ziemia znikła już pod cienką warstwą śniegu. Łowczy Bernhard, wierny towarzysz Wolfganga podczas polowań, liczył na to, że część zwierzyny nie zdążyła jeszcze zmienić okrywy na zimową, a na śnieżnej pokrywie wszystkie tropy będą wyraźne jak bryłki czarnego węgla.

Skierowali się na zachód; Wolfgang poczuł w duszy ulgę; radował się mogąc opuścić Falkenburg oraz mrok, który nań tam czyhał.

Z okna jednej z baszt stryj podążał spojrzeniem za galopującym w dół po stoku smukłym chłopcem i krążącymi nad nim ptakami. Nie potrafił uporządkować myśli, lecz jego serce, w którym zawitała nagła czułość, znowu coraz mocniej ścisnęła czarna Dłoń.

IV. GOŁĘBICA

I

Zaledwie ujrzała na polanie grupkę jezdnych, pojęła, że zbliża się niebezpieczeństwo. W mroźnym powietrzu z nozdrzy koni szła para; po ozdobnych siodłach i czaprakach można było poznać, że jeźdźcy przybywają z zamku. Wylękniona zebrała spódnicę w garść i pędem wracała do zagrody, oglądając się od czasu do czasu przez ramię. Obcy nie podążyli jej śladem. Widziała, jak nie ruszając się z miejsca żywo o czymś rozprawiają. Było ich czterech.

Łowy dotąd nie zaliczały się do udanych. Trzeci już dzień spędzali w lesie, bezskutecznie uganiając się za zdobyczą. Sokołom marzyło się zabijanie. Wolfgang czuł, że niepokój ptaków udziela się i jemu; jakiś pociąg do... czegoś.

Śnieg nie przestawał padać i pola pokryły się już dość grubą jego warstwą. Mróz trochę ustąpił, ale wiatr wiał z jednakową wciąż siłą. Ani sokoły, ani konie nie lubiły takiej pogody.

Bernhard jeszcze raz spojrzął pytająco na Wolfganga.

– Panie, wszyscy jesteśmy zmęczeni – powtórzył. – Pozwól, byśmy wrócili na Falkenberg. Nic już nie upolujemy.

Syn grafa nie odpowiadał łowczemu, jedynie lustrował go, jak miał w zwyczaju, nieobecny spojrzeniem.

W przeciwieństwie do wszystkich innych Bernharda takie zachowanie nie płoszyło ani nie drażniło. Znał Wolfganga od małego; sam go nauczył polować z sokołami, gdy przed kilku laty dostał Feniksa. Doskonale rozróżniał fochy i humory chłopca, toteż nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Odwrotnie, pod wieloma względami dobrze rozumiał jego postęпки.

Lecz teraz nawet Bernhardowa cierpliwość była na wyczerpaniu.

Obaj pachołkowie do tej pory milczeli, nie biorąc udziału w wymianie zdań – wola młodego pana także dla nich stanowiła prawo. Dyskusję z Wolfgangiem pozostawili łowczemu. Nagle jeden z nich wszakże postanowił przyłączyć się do przekonywania.

– Panie... – zaczął.

Zarówno sam Wolfgang, jak i Bernhard spojrzeli zdumieni na gołowąsa, który tak nieoczekiwanie wtrącił się do ich rozmowy. Wzrok łowczego wyrażał dodatkowo wyrzut; młody pan zawsze z trudem dawał się do czegośkolwiek nagiąć, przerywanie nie pomoże mu w tym zadaniu.

– Panie! – powtórnie wykrztusił młodzieniec, przełykając z trudem ślinę. – Mam w chacie chorą żonę i małe dziecko... spadł śnieg... chciałbym wrócić do domu.

– Prawdę mówi, panie! – poparł go drugi pacholek. – Jego kobieta jest bardzo chora... a u mnie krowa lada chwila się ocieli. Łowczy ma rację – wskazał Bernharda, który zakłopotany spuścił wzrok – wróćmy do domu, z całym szacunkiem, panie – dodał zezując na końską grzywę.

Wolfgang wodził chłodnym wzrokiem od jednego do drugiego.

– Taka jest też i moja rada, panie – rzekł Bernhard po krótkim milczeniu. – Po prawdzie nie mam chorej żony ani krowy – wzruszył ramionami – dzieci, jakby kto pytał, także nie mam i mógłbym wam towarzyszyć w lesie całymi dniami, ale uważam, że się nam tu już nie poszczęści. Wiatr jest zmienny, zawiewa tropy, nie daje się zbliżyć do zwierzyny. A nawet jeśli ją wytropimy, zwietrzy nas i uskoczy. Strzeże się wychodzić na otwarty teren, więc i sokoły jej nie dopadną. Zważywszy na to wszystko, zaklinam was, panie, byście powzięli myśl o powrocie do domu.

Na ułamek sekundy Wolfgang z całą mocą wbił weń wzrok. Zaraz się jednak opamiętał, i Bernhard pojął, co teraz nastąpi, jeszcze zanim chłopiec przemówił.

– W porządku. Wy dwaj... – obojętnym ruchem ręki skinął w stronę pacholeków – wróćcie do domu. Łowczy pozostanie ze mną w lesie jeszcze kilka dni.

Obaj młodzieńcy spuścili oczy.

– Nie zaznam spokoju, a i sokoły także, póki czegoś nie złowimy – dodał ciszej Wolfgang, zwracając się do Bernharda.

– Niech i tak będzie, panie – wymamrotał łowczy. Żaden z tej czwórki nie zauważył postaci, która umykała przed nimi poprzez las.

Gdy Wolfgang i łowczy zostali sami, humor im się poprawił i ton rozmowy stał się trochę lżejszy. W gruncie rzeczy w lesie chłopak czuł się najlepiej samowtór z Bernhardem. Wyruszenie na łowy z ludźmi mało zwyczajnymi polowania przypominało pod wieloma względami chodzenie z kulą u nogi. Trzeba było ciągle mówić, wydawać rozkazy – marnowało się czas i płoszyło zwierzynę.

Inaczej rzecz się miała z łowczym Bernhardem. Jak daleko sięgał pamięcią, bywali razem na polowaniach. Jeszcze zanim dostał sokoły, uczestniczył w łowach u boku ojca i stryja – i zawsze towarzyszył im Bernhard. Toteż przyzwyczaili się do siebie, wiedzieli, co który myśli i jak się zachowa, nie tracili zbędnych słów.

Taka również była ich przyjaźń – prawie bez słów. Jeśli wieczorami rozmawiali, to głównie o sprawach codziennych albo o polowaniu, czasami też łowczy coś opowiadał lub śpiewał.

Bernhard, człek dobrze po pięćdziesiątce, lecz wciąż silny i sprawny, strzelał celniej i czystiej niż ktokolwiek inny w majątku. Mieszkał w miasteczku u stóp zamku i zażywał rozlicznych łask panów na Falkenborgu – miał tytuł grafowskiego łowczego; był wysoko ceniony zarówno przez Henryka i jego brata, jak i obecnie przez młodego Wolfganga. Nie do pomyslenia, by łowy mogły się odbyć bez niego. Spokojny, ale stanowczy, usłużny, choć bez pokory, lepiej niż inni znał się na zwierzu i lesie; no i strzelał, jak już była mowa, najcelniej.

Teraz także miał ze sobą łuk, chociaż rzadko się nim posługiwał podczas polowań z sokołami; wziął go raczej z czystego przyzwyczajenia.

Bernhard znał niezwykłą, zdawałoby się wrodzoną łatwość, z jaką Wolfgang panował nad ptakami – i nie obawiał się w najmniejszym stopniu ani jej, ani samego chłopca. W gruncie rzeczy byli do siebie trochę podobni, obaj cisi i skłonni do zamyślenia; obu uszczęśliwiała polowanie. Bernharda pociągał sposób bycia Wolfganga i na odwrót. Znali las i zwierzynę, mieli w sobie ów spokój, jaki daje częste przebywanie w tym otoczeniu.

To Bernhard wyszkolił Wolfganga w sztuce polowania z łukiem oraz z sokołami i obserwował, jak malec dorastając staje się zapalonym i utalentowanym myśliwym.

Zaczęło się ściemniać, nadchodził wieczór, rozbili więc obóz. Wolfgang poszedł po opał, a łowczy miał odgarnąć śnieg i oporządzić konie.

Sokoły krążyły nad małą polaną. Wolfgang wiedział, że wróca, gdy zapłonie ognisko, być może nawet z upolowaną własnymi siłami zdobyczą.

Jedno rzeczywiście zadziwiało łowczego: pewność chłopca, że puszczone wolno drapieżne ptaki do niego powrócą. Wielokrotnie już jednak to widywał, nie okazał więc zaskoczenia, gdy Wolfgang podniósł sokoły w powietrze, a sam ruszył po chrust.

Łowczy podejrzewał w głębi duszy, co jest właściwym powodem Wolfgangowej komitywy z sokołami, choć do rzadkości należało, by ktoś potrafił porozumiewać się ze zwierzętami. Za młodu nie wierzył w opowiadanie ojca o pewnej kobiecie z Donauwörth, która ponoć знаła ich mowę. Teraz wiedział lepiej. Na własne oczy oglądał sokoły i chłopca pograżonych przez długie chwile we wspólnocie ciszy, jakby się między nimi coś jednak odbywało, jak gdyby bezgłośnie rozmawiali. Stanowili piękny widok. Bernhard sam siebie czasami przyłapywał na tym, że ich obserwuje, choć powinien się zająć jakąś robotą. Obraz ten dziwnie go wzruszał; z całego też serca zazdrościł Wolfgangowi owego błogosławionego daru. Zapewne to on sprawił, że chłopiec stał się takim mistrzem w polowaniu z sokołami, że ptaki tak łatwo go słuchały. Być może, stąd się brała również jego nieśmiałość – nie potrafił u ludzi osiągnąć tego, co bez trudu przychodziło mu ze zwierzętami.

Powrócił właśnie z naręczem chrustu i Bernhard rozpałił ogień. Potem zasiedli przy nim wygodnie i podzielili się jedzeniem, które im pozostało – resztkami zająca upolowanego poprzedniego dnia. Wolfgang przywołał sokoły i wnet wylądowały, siadając mu na ramionach albo na gałęziach drzewa za plecami. Od czasu do czasu jeden z tych na drzewie zamieniał się miejscem z którymś na ramieniu. Co chwila chłopiec podsuwał im kawałki mięsa z własnej części zająca. Łykały je łapczywie.

– Jutro wczesnym rankiem rozdzielimy się na dwa dni i każdy pójdzie w swoją stronę – powiedział Wolfgang patrząc na łowczego. – Po pierwsze, musimy zdobyć coś do jedzenia, po drugie, smutno jest wracać z łowów bez zdobyczy. Może tobie z łukiem uda się to, co mnie się nie powiodło z sokołami?

– Może tak – odparł Bernhard, żując mięso – może i nie. W każdym razie warto spróbować.

Potem wspólnym wysiłkiem postawili szałas. Śnieg znowu przestał padać, a i wiatr znacznie zelżał.

– Spotkamy się więc w tym miejscu, o tym samym czasie następnego wieczora po jutrzejszym – ustalili Bernhard, a chłopiec potwierdził skinieniem głowy. – Jedyne, czego się trochę obawiam, to pogoda – dodał łowczy. – Ale chyba poradzimy z nią sobie, nawet w pojedynkę.

– Też tak sądzę – zakończył Wolfgang.

Nie rozmawiali już więcej; ułożyli się na posłaniach i zaraz zasnęli.

Tej nocy Wolfgangowi śnił się wielki sokół, który pochwyił go mocno w szpony i przygniatał do ziemi. Udręka była tym większa, że ptak bardzo przypominał Bezimiennego.

Prześladowała chłopca ta scena, bezsensowna i niedorzeczna, jak majaczenie chorego; nie potrafił się od niej uwolnić i w ślepym strachu rzucał się na wszystkie strony na posłaniu.

Spośród całej czwórki z wielu względów polubił najbardziej właśnie Bezimiennego i wiedział, że ptak także jego akceptuje. Dlatego pojawienie się faworyta w koszmarze było szczególnie bolesne.

Sokół unieruchamiał go potężnymi szponami, a ponad głową olbrzymiego ptaszyska widniała twarz astrologa Michaela – wielka, czerwona, zupełnie odmienna od poznanej niedawnego wieczoru w wieży. Już nie przyjazna i uśmiechnięta, lecz wychudła i pełna powagi. Oczy nie lśniły własnym blaskiem, zamieniły się w dwa lustra wody, dwie studnie.

– Wolfgangu! – wołał wielkim głosem objaśniacz gwiazd. – Wolfgangu! Wolfgangu! – powtarzał.

A sokół wbijał szpony w ciało chłopca, bez przestanku, z całej siły... Wolfgang rozejrzył się i dostrzegł, że leży w śniegu, czerwonym od własnej, tryskającej strumieniem krwi. Lecz tam, gdzie wypływała ona spomiędzy szponów monstrum, nie miała barwy purpury; była żółtoszara, przezroczysta, nienormalna. Chłopcu, cały czas świadomemu, że śni, zbierało się na mdłości. Dopiero na śniegu krew stawała się jaskrawoczerwona.

Czuł klucie w potylicy i podbrzuszu, lecz nie potrafił uwolnić się od koszmaru.

– Niebezpieczeństwo z powietrza! Z powietrza! – grzmiał Michael.

Wtem Szkot zniknął i Wolfgang nad sobą, ponad dziobem sokoła olbrzyma, ujrzał twarz stryja. Zrazu burgrabia uśmiechał się – zmęczonym, zamyślonym uśmiechem, tak jak w kancelarii. Nagle na jego rysy nasunął się jakiś cień i sprawił, że stały się ohydne.

Z daleka dobiegł Wolfganga bardzo jasny, dziewczęcy głos. Powoli przybliżał się i wkrótce chłopiec rozróżniał słowa. Brzmiało to jak: „mój, mój, mój”. Nie mógł dostrzec dziewczyny, jedynie przeczuwał gdzieś jej obecność; niemniej ten głos niósł ukojenie. Lecz zaledwie Wolfgang spojrział na wyływającą między szponami sokoła swoją nienaturalną krew, znowu robiło mu się słabo, wszystko pogrążyło się w mroku – i obudził się płacząc jak dziecko.

– Panie Wolfgangu!

W szalasię panowała ciemność i cisza, tylko echa snu wstrząsały nim, aż zanosił się tłumionym szlochem i z trudem chwycił powietrze. Resztki sennego koszmaru oplątały go jak linki w sidłach ptasznika; ciężko się było z nich uwolnić.

– Wolfgangu! – słyszał znów wołanie Michaela w ciemności. – Z powietrza!

Chwilami wydawało mu się, że widzi swą odrażającą krew.

– Panie Wolfgangu! – głos łowczego zabrzmiał bardzo blisko, więc świat się powoli uspokoił, przestał wirować i na powrót stał się rzeczywisty.

Wolfgang płakał wciąż jeszcze, zanosił się krótkim, słabnącym szlochem, zaciskając zęby na derce.

– Chorzyście, panie?

Nie był zrazu w stanie odpowiedzieć.

– Chorzyście? – poczuł na ramieniu dłoń łowczego.

– Nie – wyjąkał. – Miałem tylko zły sen.

– Wyjdźcie na chwilę w noc, panie, popatrzcie na las, pomówcie z sokołami. A potem połóżcie się, będziecie spać spokojnie – poradził łagodnie Bernhard.

Chłopiec podniósł się ocierając łzy i wyszedł na rozświetloną gwiazdami polanę.

Długo stał przed szałasem. Pogoda się poprawiła, ale na wschodzie czaiły się śniegowe chmury. Sokoły spały przycupnięte na jednej gałęzi. Podszedł do nich, obudził Bezimiennego. Ptak poruszył skrzydłami i spojrział nań zdziwionym wzrokiem.

– Zły sen – powiedział Wolfgang bez słów.

– Spać – odparł sokół i opisał tropy, o których śnił, zanim go chłopiec obudził.

– Jakże ci właściwie na imię, Bezimienny?

– Nie pytaj mnie, nie pytaj – w uszach Wolfganga zabrzmiał jakby szept.

Sokół mrugnął powiekami i zasnął, nim chłopiec dotarł do szałasu.

Następnego dnia, jak ustalili, każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Wolfgang zatoczył wielki łuk ku północy i przeszukał las w kierunku wzgórz. Niewiele znalazł i postanowił się rozejrzeć dalej. Dlatego na chybił trafił wybrał drogę wiodącą na południe i puścił sokoły wolno. Może same odkryją zwierzynę.

Ujechał już spory kawałek, gdy gdzieś między drzewami usłyszał głosy. Rozmawiało dwóch mężczyzn i Wolfgang pchnął konia w tamtym kierunku. Natknął się na nich w gęstwinie. Byli pieszo. Z daleka młodszy z nich wydawał się bardzo wysoki i silny, miał kruczoczarne włosy i brodę. Między drzewami panował półmrok, toteż ci dwaj go nie rozpoznali i zatrzymali.

– Co tu robisz? – Podniesiona ostrzegawczo siekiera, ton surowy i nakazujący.

– Poluję – odpowiedział Wolfgang.

– Tu nie wolno polować.

– To mój las – odparł chłodno chłopiec.

Nagła niepewność w oczach, siekiera opadła. Starszy z mężczyzn zbliżył się, by spojrzeć w twarz ukrytą pod kapturem.

– Kim jesteś? Nie widzę już tak dobrze jak dawniej...

– Wolfgang von Falkenburg – odrzekł odsuwając kaptur.

– Ojcie! – syknął młodszy, cofając się gwałtownie. – Ojcie! Poznaję go! Paniczu! Myśmy strażnikami waszego lasu! – Ściągnął czapkę i pokłonił się chłopcu; stary także złożył sztywny ukłon.

Wolfgang usłyszał nadlatujące sokoły, a mając świeżo w pamięci spotkanie z zamkową służbą przy ognisku, postanowił załatwić sprawę krótko. Starczy tego dobrego, pomyślał.

– Wybaczenie nam, panie; mam nadzieję... – zaczął znowu młodszy, a Wolfgang zwrócił uwagę, że jego głos był ciemny jak pnie pobliskich drzew.

– Dosyć! – przerwał. – Macie moje przebaczenie. Jesteście dobrymi strażnikami lasów Falkenborga.

Mężczyźni pochylili się w kolejnym ukłonie. Z gałęzi sypnął świeży śnieg.

Wolfgang zwlekał jeszcze chwilę, a potem obrócił konia i zanim padły następne słowa, odjechał.

W dalszym ciągu kierował się na południe. Spotkanie w cieniu drzew napełniło go smutkiem, przypomniało własne problemy i zamek z ukrytą w nim ciemnością. Od razu też osłabła uskrzydlająca go świadomość wolności i swobody, która zawsze towarzyszyła jego wyprawom z sokołami do lasu.

Z wielu względów lubił, gdy wszyscy stosowali się do jego rozkazów – był do tego przyzwyczajony – jednak miał wrażenie, że to stosowne na zamku, lecz nie tutaj, na łonie Bożej natury. Nie podobało mu się też, że głosy ludzi wypełniających jego polecenia mroczyły ze strachu lub smutku, jak to miało miejsce przed chwilą. To również przywodziło na myśl zamkową ciemność, kazało mu się strzec i odzierać z wolności.

Dawno już minęła pora obiadu i Wolfgang poczuł głód. Zaraz uświadomił sobie, że nie ma czym rozpalic ognia. Krzesiwo zostawił chyba w szałasie; a może zabrał je ze sobą łowczy. Chłopiec westchnął zawstydzony swą lekkomyślnością. Nie uśmiechało mu się jedzenie surowego mięsa, toteż uradował się, gdy ujrzał położoną na wyrębie niedaleko gościńca małą zagrodę.

Zatrzymał konia na skraju lasu i ściągnął na ziemię sokoły.

A więc tu także znajdowało się coś, co było jego własnością. Albo własnością ojca – na jedno wychodzi. Nigdy tutaj przedtem nie trafił.

Wspomnienie grafa Henryka natarło nań ze zdwojoną siłą. Żył ojciec jeszcze, czy też zginął gdzieś tam w obcych krajach, wśród Saracenów? Astrolog nie wspominał ani słowem o krucjacie, a on czym innym miał wtedy zajętą głowę.

Pogodził się z myślą, że ojciec zniknął na zawsze, rozpląnął się w ciemnościach otaczających Falkenborg wraz z całym znanym mu światem. Tak było najwygodniej, to go uspokajało. Teraz jednak znowu pojawiły się wątpliwości. Mieli rok Pański 1229. Graf Henryk wyjechał w 1225, a może później. Wolfgang tego nie pamiętał; dzieciństwo – okres przed otrzymaniem sokołów – sprawiało wrażenie ulotnego snu. Natomiast listy od ojca, o ile wiedział, przestały nadchodzić wkrótce po śmierci matki.

Postanowił je przeczytać po powrocie na Falkenborg. Wiedział, gdzie się znajdowały – w szkatule w sali rycerskiej. Może mimo wszystko powinien był częściej schodzić z wieży i przebywać na dole, wśród zabudowań? Ten pomysł wcale mu się nie podobał, ilekroć bowiem podejmował taką próbę, kończyło się na tym, że chory ze strachu ładował w łóżku; po prostu źle znosił ludzi. Czasami marzył, by być ptakiem – wówczas zerwałby z nimi zupełnie.

Otrząsnął się wszakże z tych myśli i nie schodząc z konia, wodził wzrokiem po stoku, łagodnie opadającym ku sadybie.

Niewielka zagroda robiła wrażenie niezłe utrzymanej. Któż mógł tu mieszkać, tak daleko od ludzi? Zdawało mu się, że na podwórzu rozpoznaje kobietę lub dziewczynę, która rozsypuje coś z fartucha na ziemię. Z tej odległości nie potrafił dojrzeć, czym się dokładnie zajmuje.

Podjechał bliżej i nagle poczuł ostry głód.

I on, i Bezimienny równocześnie dostrzegli karmione przez dziewczynę gołębie. Sokół, który tego dnia nic nie upolował, strzelił w niebo niczym błyskawica, w okamgnieniu znalazł się wysoko pod chmurami, wywinął salto w powietrzu i jak kamień spadł pośród białe i szare gołębie na podwórzu.

Wolfgang z chłodnym spokojem przyglądał się nic nie przeczuwającej dziewczynie, która za chwilę poderwie się przerażona i uciekając rozsypie w popłochu wszystkie okruchy z fartuszka.

Chyba z trudem mi tu przyjdzie uzyskać coś do jedzenia, pomyślał. Ptak obrócił się w powietrzu i już był w dole, a dziewczyna – dokładnie jak Wolfgang przewidział – rzuciła się do ucieczki. Gołębie uniosły się nad podwórkiem, jak płatki śniegu pofrunęły na wszystkie strony.

Wtedy Bezimienny rozpostarł skrzydła i zataczając niskie koła z czymś połyskującym bielą w szponach zawrócił do Wolfganga.

Dziewczyna zauważyła jeźdźca dopiero teraz. Zbliżał się ku niej, wyjechawszy na spotkanie sokoła, który wylądował na łęku siodła, nie wypuszczając ze szponów zdobyczy. Była to biała jak śnieg gołębica – ciemnoczerwone, gorące krople jej krwi wywołały w chłopcu dreszcz grozy.

Rzucił okiem na dziewczynę. Stała wciąż na podwórku z rękami uniesionymi jak w rozpacz. Podjechawszy bliżej, dostrzegł, że płacze.

Zsiadł z konia i skierował się w jej stronę. Opuściła głowę, jakby nie chcąc na niego patrzeć.

Włosy miała niemal białe; nie jak śnieg, były bardziej złotawe w odcieniu – jak bladożółte niebo nad zamkiem we wczesne letnie poranki, gdy budził go śpiew ptaków.

Jej oczy jednak – gdy w końcu podniosła wzrok – miały kolor mroźnego zimowego nieba. Wbiła je weń z taką siłą, że zadrżał. Twarde i złe lśniły pod czarnymi brwiami. Po policzku spływała samotna łza.

– Słuchaj... – zaczął ostrożnie.

– Czy to twój sokół? – przerwała mu.

– Tak, i trzy pozostałe.

– Brakuje zwierzyny w lesie, że musisz polować na gołębice?!

– Posłuchaj... – zaczął od nowa, nie wiedząc właściwie, co ma jej powiedzieć.

– Uch! – ze złości zatupała na ośnieżonej ziemi, zacisnęła pięści. – Uuch! Mogłabym cię...!

A potem niespodzianie wybuchnęła płaczem.

Wolfgang stał niezdecydowany – cóż miał, na dobrą sprawę, teraz uczynić? Pod wpływem impulsu otarł palcem kilka toczących się po policzkach łez. Podniosła powieki.

– Ja tego nie chciałem – powiedział cicho. – Poderwał się do lotu, zanim się zorientowałem. Obawiam się, że twoje gołębice rozproszyły się teraz po całej okolicy – zakręciło mu się w głowie.

– Wróć! – stwierdziła z pewnością w głosie. – Zawsze tu wracają – uśmiechnęła się blado.

– Zatem nie ma o co ronić łez. – Otarł z jej policzka jeszcze jedną.

– Racja...

Na kilka chwil zapadła cisza. Wolfgang poczuł, że znowu staje się bezbronny i oddala od rzeczywistości, jak tamtego przedpołudnia w zamkowej kancelarii...

– Jak ci na imię, dziewczyno?

– Zuzanna. Zuzanna Schwarz.

– Schwarz? Czarna? Nie pasuje do ciebie to nazwisko. Wszak jesteś jasnowłosa, niemal biała.

– A ciebie jak zowią?

– Wolfgang.

– To też do ciebie nie pasuje! – po raz pierwszy się roześmiała, a w jego uszach zabrzmiało to jak ptasi trel.

– Wilk! Jaki tam wilk? – ciągnęła. – Bardziej już przypominasz... no tak, sokoła!

– Posłuchaj – uśmiechnął się nieśmiało – ja naprawdę nie chciałem... tej gołębicy – wyznał szczerze.

– Popatrz, popatrz! Co ty powiesz? Sokole jeden!

Wolfgang zaniemówił. Jeszcze nikt nigdy się tak do niego nie odezwał. Absolutnie nigdy. Uśmiechała się wyzywająco. Przez chwilę czuł się wytrącony z równowagi, ale zaraz oddał zaczepkę.

– Ejże, powoli, moja gołąbko!

– Twoja? Przecież ptak był mój! – zażartowała nie spuszczając zeń oczu.

– No... – zaczął zmienionym głosem – nie, mój, mój, mój...

Dziewczyna zaśmiała się perliście.

– Twój? No wiesz co! – z udawanym oburzeniem pogroziła mu palcem tuż przed nosem. Delikatnie dotknęła jego policzka. – Nawet o tym nie myśl. Ja mogę być tylko moim własnym gołębkiem! – znowu parsknęła śmiechem.

– Mój, mój, mój, mój! – naśladowała brzmienie jego głosu.

Na mgnienie oka poczuł, nie wiadomo dlaczego, ukłucie lęku.

– Mój, mój! – dziewczyna zanosila się od śmiechu.

Wolfgang stał jak skamieniały.

Raptem coś go załaskotało w gardle, a po chwili i on się śmiał. Najpierw bezgłośnie, potem aż do łez. Nie przestawał się zaśmiewać, a dziewczyna obserwowała go cały czas z tym samym półuśmiechem na wargach.

Na koniec odkaszlnął i przetarł dłonią oczy. Śmiech tkwił w nim jeszcze gdzieś w środku, jak perlące się bąbelki, każdej chwili gotowe wydostać się na nowo.

– Już, myśliwcze? Skończyłeś? – spytała.

Musiało to więc trwać dobrą chwilę.

– Tak, myślę, że tak – chichot wciąż jednak bulgotał w nim i szemrał jak woda w strumyku.

– Pokaż mi swoje sokoły – poprosiła nagle.

– One tego nie lubią – odparł z wahaniem.

– Wiem! Ale ja umiem postępować z ptakami – zapewniła z powagą.

Wolfgang nie wiedząc czemu uwierzył dziewczynie; przyniósł najłagodniejszego, Feniksa. Sokół usadowił mu się na wyciągniętym ramieniu i tak podeszli do Zuzanny.

– Jaki piękny! – zawołała i bez obawy pogłaskała pióra.

A potem nastąpiło coś, czego by się nigdy nie spodziewał. Zaczęła z ptakiem rozmawiać! Porozumiewała się z nim! Czuł, jak wylewają się z niej bezdźwięczne słowa, wiedział, co sokół jej odpowiada... Na moment zabrakło mu tchu.

Teraz z kolei on odezwał się do niej w ptasiej mowie. Ponieważ jednak w tym języku można się komunikować jedynie za pomocą uczuć i obrazów, zaległa między nimi cisza. Mówili o sobie...

I równocześnie zamilkli. Wolfgang poczuł, że ogarnia go ciepło i kręci mu się w głowie. Dziewczyna uśmiechnęła się znowu, głębokim uśmiechem zrozumienia.

I oto już się znali.

– O Mateńko! – zakrzyknęła stara zerkając przez okienko. – O Matko Przenajświętsza! Anno! – ruchem ręki przywołała synową zajęętą krojeniem mięsa. – Obcy w obejściu, a twoja córka na podwórzu wdzięczy się do niego!

Młodsza podeszła i wyrzała wraz z teściową.

– Już tam się wdzięczy...

Zapatrzeni w siebie dziewczyna i chłopiec na dworze zastygli bez ruchu. Równocześnie kobiety dostrzegły sokoły.

– Panie Boże, zmiłuj się nad nami! – przestraszyła się stara. – Może to upiór!

– Chyba nie, matko. To tylko myśliwy.

– Patrz! – stara wskazała za okno.

Na dworze córka, jak zauważyła młodsza z niewiast, podniosła dłoń i dotknęła policzka przybysza. W następnej chwili babka wypadła z chaty.

– Dokąd pędzisz?! – krzyknęła za nią synowa i zaraz też pobiegła na podwórko. Było ślisko, spieszyła podtrzymać starą.

– Hej! Wy tam! – wołała babka, grożąc pięścią młodym.

Odwrócili się oboje, dziewczyna poskoczyła z szerokim uśmiechem.

– Mamy gościa! – rzuciła zdyszana.

Jaka ona blada, pomyślała matka, ale nie odezwała się słowem. Chwyciły babkę pod ręce i już we trójkę z godnością podeszły do Wolfganga.

– Pokój z wami, szlachetne niewiasty – rzekł pochylając głowę w ukłonie.

– Święci Pańscy! Cóż nas tak tytułujesz, chłopcze! – prychnęła stara.

– Milczcie, matko! Wygląda na to, że mamy wysoko urodzonego gościa – syknęła młodsza. – Jak cię zowią, młody panie? – obrzuciła go chłodnym i taksującym wzrokiem.

– Wolfgang von Falkenburg – odwzajemnił się łagodnym spojrzeniem.

Stara natychmiast przestała szyderczo chichotać.

– Ach tak... – stwierdziła matka dziewczyny, poczym zapadła cisza.

Nawet Zuzanna spowaźniała.

Wolfgang widział, że przez jej głowę przebiega naraz wiele myśli, jakby nagle sobie coś przypomniała i uświadomiła.

– Ach tak... – powtórzyła jej matka i uśmiechnęła się niepewnie. Następnie dygnęła głęboko, a za nią niezdarne babka.

Stara dała znak dziewczynie, by i ona się pokłoniła, więc zdziwiona uczyniła, co jej kazano. Zaraz też podniosła wzrok i utkwiała go w oczach chłopca. On zaś miał wrażenie, że widzi jej uśmiech, choć usta ani drgnęły.

– Czy macie, pani, w domu coś do jedzenia? Albo piec, gdzie można by uwarzyć mięso? – gestem wskazał konia z przytroczoną do juków zdobyczą.

– Nakarmimy was, panie – odparła matka dziewczyny – jeśli nie pogardzicie tym, czym możemy usłużyć. – Uśmiechnęła się znowu blade, a Wolfgang dostrzegł nagle, że jest mocno wychudzona.

– Potrzebuję jedynie ognia, kociołka i może trochę soli – rzekł. – Za chleb, ma się rozumieć, zapłacę.

Skierowali się ku chacie, przodem stara, za nią matka dziewczyny, a z tyłu Wolfgang i Zuzanna, wiodąca za uzdę konia. Na łęku przysiadły sokoły. Bezimienny właśnie skończył się posilać; krew i białe pióra przylgnęły do skóry uprzęży.

Sokoły usadowiły się w izbie na belce pod poczerniałym od sadzy sufitem. A więc, pomyślał Wolfgang, tak mieszkają chłopci.

Chata była maleńka, wielkości lepianki, i składała się z dwóch izb. Tu, gdzie wszedł, znajdował się stół, wokół niego zydle i ławy; kilka półek na miski wisiało na ścianach, za którymi kryły się dwie alkowy z posłaniami. Na krótszej ze ścian umieszczono krzyż i obrazek Matki Boskiej. Belki pod sufitem dały miejsce na jeszcze jedno legowisko. Kilka skór przykrywało podłogę, potężne koźle rogi górowały nad wejściem.

Drzwi do drugiej izby były zamknięte, więc Wolfgang nie widział, jak jest urządzona.

Anna, matka Zuzanny, wyjęła kociołek i postawiła na ogniu; potem bez słowa pomogła Wolfgangowi sprawić i podzielić zajęcia. Babka dorzuciła kilka warzyw i szczyptę soli. Ugotowały spory sagan zupy gęstej i pożywnej. Dla jednego było jej za dużo, więc Wolfgang zaprosił kobiety do stołu.

Przez chwilę posilali się w milczeniu. Przyglądał się uważnie pozostałym i czasami wyławiał spojrzenie lub bezgłośnie słowo Zuzanny.

– A więc – zaczął – jak się żyje w głębi lasu?

– Dzięki, panie, nieźle – mruknęła Anna, spuszczać oczy.

Przełamał chleb na cztery części i podał każdej po kawałku. Zwrócił uwagę, że były dziwnie skrępowane; wydawało mu się, że ma to coś wspólnego z postawionym właśnie pytaniem.

– Czym się zajmują wasi mężowie? – spytał znowu.

– Mój gospodaruje tutaj i wypełnia swoje zobowiązania wobec... wobec pana na zamku. – Anna zamilkła.

– O jakież to zobowiązania chodzi?

– O... – jej skrępowanie rzucało się w oczy – różne. Jest gajowym. I spełnia jeszcze... inne zadania.

Wolfgang skojarzył, że niedawno w leśnym ostępie spotkał ojca i dziadka Zuzanny.

– Czy mieszka tu ktoś poza wami?

– Tak – tym razem odpowiedziała babka, mlaszcząc bezzębnyimi dżiąsłami. – Mój Gottfried. Pełnił straż w lesie, zanim jego robotę przejął syn. Teraz mu... tylko pomaga – zakończyła pomrukiem, siorbiąc zupę.

Było w tej oddalonej od ludzi sadybie coś, co Wolfganga dziwiło, co nie do końca rozumiał. Żałował, że nie wie więcej na temat, kto i gdzie w jego włościach mieszka i czym się zajmuje. Musiał przecież wielokrotnie bywać w pobliżu, lecz łowczy nigdy mu nie wspomniał, że w tej okolicy znajdują się ludzkie siedliska.

Zaprzestał wypytywania o zagrodę i jej mieszkańców. Gdy ktoś chce mieć tajemnice, niech je zachowa dla siebie.

Skończył jeść, odsunął miskę i położył na stole kilka monet.

– Dziękuję – powiedział. – Ależ się najadłem.

Długo siedzieli w milczeniu przy stole. Chłopiec zastanawiał się, jak by tu było pod nieobecność obcych. Wyobrażał sobie, że babka snułaby opowieści, a stary, którego spotkał w lesie, wspominałby dawne czasy; wspólnie by śpiewali, żartowali i rozmawiali.

– Wasz mąż jest teraz w lesie? – spytał Annę.

– Tak, razem z ojcem – odrzekła i zamilkła.

Cisza pokryła izbę jak warstwa śniegu. Wolfgang podniósł się, czując, że powinien już sobie pójść. Rzucił Zuzannie długie, tęskne spojrzenie i raptem zrobiło mu się bezgranicznie smutno. Uśmiechnęła się do niego i wysłała cały strumień obrazów i dźwięków. Rozpaliły mu rumieńcem policzki, więc czym prędzej im się wyrwał.

– Żegnajcie – rzekł – dzięki za gościnę.

Właśnie miał zabrać spod sufitu ptaki, gdy babka nagle wskazała okno.

– Spójrzcie! Co za pogoda! – zawołała.

– Rzeczywiście – odezwała się matka Zuzanny. – Nie możecie, panie, teraz wyruszyć. Idzie zadymka. Sądzę, że przed nocą tu będzie.

Wyjrzał przez okienko. Przed ścianą domostwa wirowały wielkie płaty śniegu; świat nagle poszarzał.

– Miejmy nadzieję, że Gottfried i Rupert dotrą do domu przed zmrokiem – powiedziała babka ponuro.

– Och, znają drogę, na pewno nie pobłądzą – odparła Anna. – Obawiam się, panie, że będziecie musieli zostać tu na noc – dodała zwracając się do chłopca. – Za godzinę zrobi się ciemno, a w lesie są wilki.

– Dobrze, zostanę. – Wolfgang ucieszył się, że nie opuści chaty.

– W takim razie trzeba wam będzie się zadowolić moim i Ruperta postaniem – skinęła w kierunku drzwiczek w ścianie.

Chłopiec stanowczo potrząsnął głową twierdząc, że może przenocować w stajni. Niemało go zdziwiło, że dopiero prawie pod przymusem mu na to pozwoliły. Wszak mając tyle do roboty, tłumaczył, bardziej niż on potrzebowały wypoczynku. Prawda zaś była taka, że lubił sypiać na sianie razem ze zwierzętami, natomiast nie znosił nocowania w obcej pościeli.

Posiedzieli jeszcze małą chwilę, podczas gdy na dworze coraz gęściej wirowały płatki śniegu i szybko robiło się szaro.

Wolfgang przypatrywał się Annie, jej ściągniętej twarzy z głębokimi cieniami na czole i pod oczyma. Włosy miała równie ciemne jak mąż, jeśli dobrze zapamiętał po krótkim spotkaniu w lesie. Nie można było właściwie powiedzieć, by córka, urodziwa i jasnowłosa, czymkolwiek ją przypominała.

Matkę cechował dodatkowo pewien rys powagi i zdecydowania wokół oczu i ust. Odnosiło się jednak wrażenie, że potrafi się także radośnie śmiać, o ile znajdzie po temu wystarczający powód.

Pogrążył się w myślach i w pewnym momencie poczuł pokorę wobec chłopów, którzy rozproszeni po włościach nie tracili w znoju i ciężkich czasach otuchy – tylko po to, by ujrzeć, jak większość plonów ich pracy wędruje na Falkenberg. Stanął mu w pamięci ów wieczór, gdy obserwował zamkową służbę na zewnętrznym dziedzińcu – teraz lepiej zdał sobie sprawę z tego, co wówczas czuł.

Wtem pomyślał o sokołach; poderwał się i nakarmił je resztkami mięsa. Babka śledziła wzrokiem jego poczynania.

– Macie, panie, dobrą rękę do ptaków. Prawie tak dobrą jak nasza Zuzanna.

Co ta stara powiedziała? Prawie tak dobrą? Opanował rozbawienie.

– Doprawdy? – rzekł tylko.

– Możecie mi wierzyć, panie. Całymi dniami chodzi teraz koło gołębi. Braknie jej towarzystwa tutaj, w... tak z dala od ludzi.

– Zapewne – jego oczy cały czas spoczywały na Zuzannie.

Odpowiedziała mu spojrzeniem; w sercu odnalazła ogromną, niezwykłą czułość dla tego obcego chłopca. Pojawił się tak raptownie i nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba! Nagle odsłonił się jakiś, dotąd starannie ukryty, zakamarek jej duszy. Wpatrzyła się w zielone oczy... Do tego potrafił rozmawiać z ptakami! Nie spodziewała się kiedykolwiek napotkać kogoś, kto na równi z nią posiadałby tę umiejętność.

Tymczasem ktoś taki siedział właśnie tu w izbie, przy stole, i w dodatku był panem jej i całego lenna. Tym, którego nienawidził ojciec; tym, w którego rękach, gdy przyjdzie co do czego, spocznie cała władza Falkenburgów. Powinna mu była mieć za złe. Lecz on jeden ze wszystkich potrafił rozmawiać z ptakami... Słyszała, co o nim opowiadano, gdy z rzadka odwiedzała miasteczko, w którym ojciec sprawował swą funkcję. Słyszała, że młody pan jest zły – prawdziwy diabeł w ludzkiej skórze, że przywdziawszy sokole pióra porywa młode dziewczyny, że uprawia czary. Kiedy w okolicy zniknęło dziecko, wszyscy od razu znali przyczynę – owego właśnie dnia pokazał się na niebie olbrzymi sokół... Gdyby nie łączyła ich wspólna mowa i gdyby nie miało miejsca to, co się wydarzyło wcześniej na podwórzu, i ona bałaby się go w tej chwili.

No, ale skoro znał bezdźwięczną mowę, nie mógł oddawać się czarnej magii. Nie tak poza tym wyobrażała sobie młodego pana z zamku, z wyglądu i z zachowania. Myślała, że jest wyższy, bardziej zarozumiały, w jakiś sposób uosabia zło.

Na pierwszy rzut oka wydawał się przystojny, choć inaczej niż chłopcy z miasteczka i okolicznych gospodarstw – zwaliści i kanciaci w ruchach. Różnił się też całkowicie od zgrabnych, choć solidnej budowy knechtów i strażników – była w nim jakaś miękkość łagodnego smutku, sprawiał wrażenie niesłychanie lekkiego. Ze wszystkim przypominał ptaka; ta myśl się jej spodobała.

Miał zupełnie gładkie policzki, był taki młody. Czy od niej młodszy? Niechby nawet! Oto siedział tu, w izbie, i patrzył na nią. Gdyby jej ktoś dzień wcześniej powiedział, co nastąpi dziś po południu, potraktowałaby to jak dobry żart. Czy to zresztą nie jego widziała w lesie wczorajszego ranka, razem z małym orszakiem? Nielicho się wówczas przestraszyła.

Teraz jednak gościł w jej rodzinnej chacie. Zuzannie robiło się coraz bardziej gorąco.

II

Po jakimś czasie usłyszeli na dworze ludzkie głosy, a za chwilę otworzyły się drzwi i do środka weszli dwaj mężczyźni. Młodszy, ciemnobrody, rozejrzał się po izbie a gdy zobaczył Wolfganga, pochmurniał. Anna podniosła się, z ławy.

– Mamy wysoko urodzonego gościa, Rupercie.

– Witajcie, panie – wyrzekł przez zaciśnięte zęby, postąpiwszy kilka kroków w jego stronę.

– Witajcie, gajowy Rupercie. – Wolfgang uśmiechnął się do mężczyzny przyjaźnie, lecz mroczny cień przysłaniający twarz tamtego nie zniknął.

Widok potężnej postaci o mocarnych ramionach i czarnych jak węgle oczach sprawił, że chłopiec poczuł się nieswojo i niepewnie.

Rupert Schwarz siadł w pobliżu ognia i począł ściągać z siebie mokre odzienie.

– Co was tu przywiodło, panie? – spytał nie patrząc na Wolfganga.

– Ogień i kociętek do przygotowania stawy. A zostałem ze względu na śnieżycę.

– Hm!

– Mam nadzieję, że do jutrzejszego ranka ustąpi.

– Hm! – Rupert powiesił skarpety i ciżmy do suszenia nad ogniem, a babka uczyniła to samo z ubraniami swego męża. – Upolowaliście co, panie?

– Niewiele. Kilka zajęcy, kanię i... i to wszystko.

– Trudno teraz, panie, w tej okolicy o zwierzynę – odezwał się stary. – Bardzo trudno – zakasał. – Wygląda na to, że tej zimy poszła bardziej ku zachodowi, choć nie rozumiem dlaczego. W lecie aż tak źle nie było.

Czarnobrody kręcił się niespokojnie. Wolfgang przeczuwał, że to jego obecność tak na niego działa.

– Gdzie zamyślacie spać? – spytał Schwarz wbijając w chłopca twarde spojrzenie.

– W stajni.

Tamten zerknął na żonę i najwyraźniej zamierzał coś powiedzieć.

– Nie, nie możecie mi w tym przeszkodzić – uprzedził go chłopak. – Wy, mistrzu Rupercie, macie swoją robotę, musicie wypocząć, nie chcę zajmować waszego łoża.

Ledwo wyrzekł te słowa, Schwarz spojrział nań, nie wiadomo dlaczego, dzikim, płonącym niemal szaleństwem wzrokiem i zacisnął wielkie pięści. Nie odezwał się jednak, tylko mocno zagryzł wargi. Wolfgang zdziwił się, co mogło wywołać taką reakcję, lecz nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– A jak sobie radzicie z pracą, mistrzu Rupercie? – spytał tylko po to, żeby coś powiedzieć. – Wielu macie tutaj kłusowników?

– Nie – odparł strażnik lasu, nie patrząc na Wolfganga. – Niewielu. A praca?... Praca idzie... dobrze.

Chłopak wolałby widzieć jego oczy, gdy to mówił, ale Schwarz odwrócił teraz twarz w drugą stronę. Ręce zacisnął w pięści tak mocno, że zupełnie zbieleły. Na chwilę Wolfganga ogarnął strach, lecz zdołał go od siebie odsunąć.

– Wasza żona wspomniała, że wykonujecie jeszcze inne zadania dla Falkenborga – odezwał się, nie przywiązując większej wagi do pytania. – Na czym one polegają?

Natychmiast pożałował tych słów, czarnobrody bowiem zwrócił ku niemu twarz i tym razem mógł mu zajrzeć w oczy. Zesztywniał z przerażenia.

W następnej chwili Schwarz poderwał się na nogi.

– Dosyć! – ryknął grożąc chłopcu pięścią. – Starczy już! – powtórzył, dużo ciszej i z większą zawziętością, która zmroziła krew w żyłach Wolfganga. – Sądzicie, że ja – syczał wychylony do przodu, podsuwając pięść pod nos chłopaka – który przez lata sumiennie, choć z ciężkim sercem wykonywałem nałożone na mnie obowiązki, więc sądzicie, że teraz także będę siedział cicho i patrzył, jak upokarzacie moją rodzinę?! Tak są-dzi-cie? Na Boga... Zabiję cię! – ostatnie słowa padły tak cicho i z taką nienawiścią, że Wolfgang nie umiał już zachować jasności umysłu.

Odkroczył w tył, potknął się i runął jak długi, przewracając coś po drodze. Czarnobrody już pochylał się nad nim, wielką pięścią pochwycił go za szaty i uniósł w górę. Chłopiec zarejestrował jak przez mgłę, że pozostali także poderwali się z miejsc. Zuzanna zatkała ręką usta.

– Na Boga!... Tak! Zabiję cię... za wszystkie cierpienia, które ściągnął na nas Falkenborg. Za to, że moja córka nie może spokojnie przejść ulicami miasteczka! Za to, że pierzchają przed nami jak przed zarazą, gdziekolwiek się pojawimy jak lenno długie i szerokie! Niech Bóg się zmiłuje nad mą duszą, ale...

Cisnął chłopakiem o ścianę jak szmacianą lalką. Wolfgangowi pociemniało w oczach, nogi odmówiły mu posłuszeństwa; porwała go niemoc i przerażenie. Olbrzym mógł z nim uczynić, cokolwiek zechce. Chłopca zaś dręczyła myśl, że zostanie zabity, nie dowiedziawszy się nawet za co. Brodacz chwycił go za szyję obiema rękami jak w imadło.

– Rupert! – krzyknęła Anna tonem twardym i rozkazującym. – Rupert! – Szarpnęła go za ramię i na chwilę ucisk wokół szyi zelżał.

Zaraz jednak mąż ją odepchnął na bok i ponowił atak. Ktoś szlochał. Wolfgangiem zawładnęła potężna fala trwogi, nie potrafił już jasno myśleć, próbował na oślep dosięgnąć ciosem przeciwnika, lecz bez powodzenia.

– Rupert! – znowu wmieszała się żona. – Chcesz po raz drugi zostać mordercą?! Rupert... – teraz i ona płakała, usiłując na nowo oderwać ręce męża od szyi gościa.

Schwarz był jednak jak skała; jeszcze silniej ścisnął Wolfganga, który zapadł się w ciemność i poczuł wszechogarniający lęk. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie nocnego koszmaru. O, czemuż nie potraktował go jak ostrzeżenia i nie zawrócił w porę na zamek! Nogi się pod nim ugięły i w jednym lodowatym przeblysku świadomości zrozumiał, że to koniec...

Nagle powietrze przeciął bezgłośny krzyk i przed zamkniętymi oczyma Wolfganga coś – sam nie wiedział co zaczęło się dziać. Wołanie się powtórzyło i pojął, że Zuzanna wezwała sokoły! Cała czwórka rzuciła się na Ruperta; chwyt wokół szyi osłabł i wnet Wolfgang był wolny. Zachwiał się, przechylił do przodu, nie utrzymał równowagi i runął na ziemię przed palenisko. Leżał bez ruchu dobrą chwilę, wreszcie uniósł głowę.

Mocarny gajowy z całej siły przyciskał ręce do twarzy, a sokoły szarpały go szponami i dziobami, szukając dostępu do oczu.

Widok był tak nierzeczywisty... Wolfgang zrazu nie mógł pojąć, że to najprawdziwsza prawda i że po ramionach mężczyzny spływa najzupełniej realna ludzka krew.

– Dość! Dość! – krzyczał oszalały z przerażenia Schwarz.

– Wróć! – ile sił w obolałym gardle zawołał chłopak.

Wstał. Sokoły porzuciły łup i pofrunęły przez izbę na jego ramiona. Robiło mu się słabo; czuł mdłości.

Schwarz stał wciąż bez ruchu, osłaniając oczy dłońmi. Potem je opuścił i począł się im przyglądać w zdumieniu. Nagle wybuchnął płaczem. Z ran na szyi i ramionach płynęła krew; zawodził i wył jak szaleniec; wstrząsany szlochem zatoczył się i padł na ławę.

Wolfgang nic nie rozumiał. Sokoły w dalszym ciągu siedziały mu na ramionach i rękach, czujnie śledząc każdy ruch. Dzioby miały okrwawione, a i na piórach zasychały krople krwi. Chłopiec nigdy dotąd nie był świadkiem ataku sokołów na człowieka; nawet nie wiedział, że jest to możliwe. Orłom się ponoć coś takiego zdarza, a jak powiadali, widok jest wtedy straszny. Teraz ujrzał to na własne oczy.

Popatrzył z wdzięcznością na Zuzannę. Zbliżyła się i delikatnie wzięła go za rękę. Nikt tego nie zauważył, bo pozostali pochylali się nad Schwarzem, który jeszcze nie doszedł do siebie. Była aż biała na twarzy, oczy miała wielkie i pociemniałe, a dłoń lodowatą; Wolfgang czuł, jak dziewczyna drży. Sam jeszcze zachowywał spokój.

Wtem on także zaczął się trząść, tak silnie, że musiał się oprzeć o ścianę. Po policzkach popłynęły mu łzy, oddech stał się nierówny i przeszedł w szloch.

Jego ręka cały czas spoczywała w jej dłoni. Wolną położyła mu na ramieniu, gładząc delikatnie i uspokajająco.

Przez chwilę walczył ze sobą, lecz wkrótce osunął się na ziemię tuż przy ścianie i zaniósł tak gwałtownym płaczem, że momentami tracił dech. Dziewczyna zaś, kucnąwszy, nieustannie gładziła go po plecach i karku. Sokoły odfrunęły z powrotem na belkę, tylko Feniks przeniósł się na ramię Zuzanny.

Niedługo przebywali we własnym, samotnym świecie, wnet podeszła babka i uklękła niezgrabnie obok dziewczyny. Bez zmużenia oka przyjęła obecność sokoła na jej ramieniu – tyle się wydarzyło naraz, że nie bardzo pojmowała, gdzie zaczyna się i kończy rzeczywistość.

– Co z wami, młody panie? – spytała głosem, jak się Wolfgangowi wydało, ciężkim od łez.

Podniósł się nieco, podparłszy rękami i powoli odnalazł spokojniejszy rytm oddechu.

– Dziękuję. Nic takiego... – Jeszcze wstrząsany suchym szlochem, wstał chwiejnie.

Gajowy już także stanął na nogi. Pustym wzrokiem wodził niezdecydowanie od Wolfganga do Zuzanny. A gdy na ramieniu dziewczyny dostrzegł sokoła, znów ukrył twarz w dłoniach.

– Boże święty! – wyszeptał. – Najświętszy Boże!

W izbie było teraz zupełnie cicho.

– Wybaczcie mu, panie. – Stary usiadł ciężko na ławie, mamrocząc jakby do siebie, żałośliwie, błagalnie. Jego pomarszczona twarz ściągnęła się bólem. – Wybaczcie mu. Opuśćcie... Tyle go już nieszczęść spotkało... Przebaczenie, bo on... bo nie wiedział, co czyni. Panie, to mój jedyny syn, choć gwałtownik z niego wielki i grzesznik... Bez niego nie...

Płacz starca odbił się w duszy Wolfganga dziwnym echem.

Jakiś czas słyhać było jedynie szloch i nerwowe drapanie szponów u powały. Chłopak uświadomił sobie, że chyba mieszkańcy chaty mieli coś więcej do ukrycia.

– Chcę wiedzieć tylko jedno – rzekł w końcu, jak mógł najspokojniej – jednego nie rozumiem. Odpowiedz mi, gajowy Rupercie, dlaczego napadłeś na mnie, dlaczego próbowałeś mnie zabić?

Schwarz odjął ręce od twarzy i spojrzął na Wolfganga. Całą gębę miał pomazaną krwią, a oczy pełne łez. Lecz kiedy przemówił, zapłonęły żywym ogniem.

– Nie powiecie chyba, panie, że nie jest wam znana przyczyna... – ściszył głos do szeptu – że nie rozumiecie?

– Nie rozumiem – odparł Wolfgang krzyżując ręce na piersiach.

– O Matko Boska! – Schwarz westchnął ciężko. – Co ja uczyniłem najlepszego?!

– Wytłumacz mi to, gajowy Rupercie – powtórzył chłopiec, podchodząc krok bliżej.

– Czyżby nie było wam wiadomo, że w waszych włościach katem?

Wolfgang wzdygnął się. A więc tak się rzeczy miały...

– Nie – odparł. – Naprawdę nie wiedziałem.

– Tam wiszą narzędzia. – Brodacz wskazał zamknięte drzwi. – W tamtej izbie.

Znów zapadła cisza, tylko starzec mruczał coś bez związku.

– Zawsze łatwo wpadałem w złość – ciągnął Rupert z rezygnacją w głosie. – A kiedyś, przed wielu laty, podczas bijatyki w miasteczku zabiłem cześnika grafa Henryka. Co prawda to on mnie obraził, ale zabiłem z pełną świadomością, przyznaję, choć w gniewie. Los chciał, że stary hycel właśnie umarł i nie znalazł się nikt na jego miejsce. Zamiast więc ukarać ścięciem głowy, graf Henryk skazał mnie na ścinanie głów innym; musiałem się wynieść z miasteczka aż tutaj, do Hyclej Zagrody. Nie było mi lekko, oj nie. Bóg świadkiem, że nie mało ludzi posłali Falkenburgowie na śmierć przez te lata, gdy sprawowałem funkcję katowskiego mistrza. A ilekroć wznosiłem miecz lub topór, by przeciąć nić czyjegoś życia, byłem aż chory z odrazy; nie chciałem tego czynić. Nie wspomnę już o innych obowiązkach, które na mnie nałożono, jako to piętnowanie rozżarzoną żelazem i wszelkiego rodzaju tortury. Szczególnie ciężko bywa, gdy zbierze się tłum gapiów, co to krzyczą, wyją i tłoczą się wokół miejsca kaźni. Jeszcze gorzej, oczywiście, kiedy skazany ma być poćwiartowany bądź gotowany żywcem albo rozrywany końmi. Tym wszystkim ja muszę się zająć, a ludzie unikają mnie przez to jak zarazy, choć wykonuję jedynie powierzone mi zadanie. I za każdym razem, kiedy odbieram komuś życie, gorzko żałuję zabójstwa, którego niegdyś dokonałem. Wolałbym raczej sam leżeć z głową na pieńku, choć to durne myśli. A co najgorsze ze wszystkiego... – zamilkł i spojrzał na Zuzannę. – Moja córka nie przejdzie swobodnie przez miasteczko, rodzice i Anna także. Ludzie obrzucają ich grudkami błota, szydzą i dopuszczają się czynów, o których nawet nie chcę wspominać. Mnie nie odważą się tknąć, mnie się boją, ale moją rodzinę... o, im nie oszczędzają żadnych okropności...!

Wolfgang poczuł, że Zuzanna zaciska mocno palce na jego dłoni.

– ...Toteż przez wszystkie te lata, z każdym przeklętym rokiem coraz bardziej nienawidziłem zamku i jego pana. Najpierw waszego ojca, którego już nie ma w kraju, potem waszego stryja, a na końcu was, panie. Bo wyroki i rozkazy ich wykonania przypieczętowane były zawsze herbem Falkenburga. I stamtąd otrzymywałem zapłatę za moją... krwawicę. – Rupert spuścił wzrok, westchnął. – Teraz się to wreszcie skończy. Teraz ostatecznie wydałem sam na siebie wyrok śmierci. O jedno tylko proszę, panie. Nie dajcie zmarnieć mojej rodzinie. Oni na to nie zasłużyli... Na Boga, żadną miarą nie zasłużyli! Potrząsnął głową i spojrzał na swoje dłonie.

– Tak – ciągnął – moje ręce plami krew, i to nie tylko teraz, moja własna. Lecz spełniałem jedynie wolę Falkenburgów, panie, byłem narzędziem do wykonywania waszych rozkazów, dłonią kierowaną poleceniami waszej władzy. Dłużej już jednak nie mogę. Na świętego Mikołaja wyznaczono w miasteczku egzekucję, przybędzie więc jeszcze jedna głowa do ścięcia. – Przeciągnął ręką po swej szyi.

W żaden sposób nie potrafił odgadnąć myśli ukrytych za nieobecny spojrzeniem zielonych oczu chłopca. Dostrzegł, że Zuzanna trzyma Wolfganga za rękę. Wniosek wydał mu się zbyt trudny do zrozumienia, więc zamknął oczy.

– Rupercie Schwarzu – rzekł Wolfgang. – Coście uczynili mnie, zostaje wam wybaczone. Odpuszczam wam także winę za popełniony mord, albowiem odpokutowaliście z nawiązką. Dotyczy to zarówno was, mistrzu Rupercie, jak i waszej rodziny. Toteż uwalniam was z urzędu mistrza katowskiego z dniem święta Trzech Króli. Po tej dacie możecie czynić wedle chęci.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuł przedziwny zawrót głowy. Po raz pierwszy ogłaszał swoją wolę komuś innemu poza zamkową służbą; zdumiewające, jak pewnie jego usta formowały odpowiednie zdania. Na wieczór Trzech Króli przypadały jego urodziny; sądził, iż moment osiągnięcia dojrzałości dobrze się nadaje na takie ułaskawienie.

W izbie zrobiło się jeszcze ciszej. Nikt się nie poruszył, nie padło ani jedno słowo. Jedyne starzec przestał płakać.

Kat jak wielki drapieźnik poderwał się z ławy, padł przed Wolfgangiem na kolana i ucałował jego prawicę.

Cały czas panowało milczenie, jakby żadne z nich do końca nie ogarniało tego, co się wydarzyło. Chłopiec także niezupełnie to pojmował. Natomiast dziwiła i upajała go sytuacja, w której jednym słowem był w stanie zmienić życie i losy innych. Policzki mu spłonęły rumieńcem; nie odezwał się już, tylko dał Rupertowi znak do powstania. Tymczasem jednak osunęła się na kolana jego żona, i tak klękali przed nim jedno po drugim, a na ostatku Zuzanna.

Wolfgang oddychał ciężko, patrząc na pochylone w hołdzie głowy. To było coś nowego, niezwykłego; smakował uczucie, jakie wzbudzało; wnet jednak opanował emocje i wezwał wszystkich, by powstali.

Wkrótce też ułożyli się na spoczynek. Nikt nie odczuwał potrzeby rozmowy, świętowania czy okazywania radości; wyczerpało ich przerażenie i gwałtowność wydarzeń.

W stajni Wolfgang pozwolił sokołom usadowić się wysoko na belce pod dachem, a sam zagrzebał się w sianie. Otulił się nim szczelnie i wnet zasnął.

Obudziła go świadomość, że ktoś dotyka jego policzka. Od razu też wiedział kto.

W drugiej dłoni trzymała łożówkę; w jej świetle twarz i ramiona dziewczyny lśniły złotą poświatą. Była boso, odziana tylko w koszulę. Zdmuchnęła świeczkę i odstawiła ją na deskę. W bladym poblasku docierającym przez uchylone wrota dostrzegał zarysy postaci. Przestało padać, wśród poszarpanych chmur niosących śnieg przeświecały gwiazdy.

Bez słowa wsunęła się pod siano i przytuliła do Wolfganga.

– Zimno – szepnęła.

W istocie, ręce miała lodowate, więc ogrzewał je oddechem.

– Żebyś nie zachorowała – odezwał się cicho.

– Teraz już nie zachoruję.

Leżeli tak bez ruchu, przytuleni, aż stopniowo zrobiło im się cieplej.

Objęła go i ucałowała w usta. Znowu ogarnęło go znane już uczucie słabości. Lecz jeśli stryj był w swym postępowaniu nieokiełznany jak płomienny żar, dziewczyna – delikatna i łagodna – sprawiała wrażenie rosy.

Gdzieś w głębi stajni parsknął koń. Leżeli cisi, zwróceniu ku sobie. Wydawało mu się, że skroś tych doznań coś do niego mówi, więc jej odpowiadał. Dostrzegał oczy dziewczyny, tuż obok swej twarzy, jak dwie mrugające gwiazdki w ciemnościach.

– Odjedziesz jutro? – spytała.

– Tak.

Nic nie rzekła, zauważył tylko, że posmutniała.

– Ale wrócę – zapewnił, bo, prawdę powiedziawszy, jemu też zrobiło się smutno.

– Możesz mnie zabrać ze sobą? – Gładziła go po włosach i tuliła jak ulubioną lalkę.

– Nie – odparł. – Nie przypuszczam.

– Dlaczego?

– Bo...

Trudno to było wytłumaczyć. W końcu mu się jednak w jakiś sposób udało; opowiedział o ojcu, śmierci matki, stryju i stryjnicy, o astrologu ze Szkocji i jego przestrojach. Przyznał też, że lęka się stryja, choć nie wyjaśnił powodu.

– Dziwne! – odezwała się, gdy skończył. – Myślałam, że jesteś naprawdę panem na zamku.

– Nie, do Trzech Króli nie jestem.

W ciemnościach skinęła głową ze zrozumieniem, potem zaś objęła go ramionami.

– Powiedz coś więcej o Wieży Sokołów! – poprosiła, a Wolfgang uśmiechnął się słysząc, jaką jej nazwę nadała. – Opowiedz! Często przyglądałam się jej z daleka i zawsze chciałam wiedzieć, jak tam jest w środku i jaki jest ten, kto tam mieszka.

Więc opowiadał jej o dniach i nocach spędzanych samotnie, jedynie w towarzystwie sokołów. O tym, że z jego okna widać niebo i tylko niebo; nic innego przez ten mały otwór nie dostrzeżesz. Czasami bywa matowo czerwone, kiedy indziej białe, a nieraz – zwłaszcza w lecie – ma pewien odcień zieleni, który go w nie wyjaśniony sposób pociąga bardziej niż wszystkie inne kolory.

– Mogłabym tam kiedyś przyjść?

Skinął przyzwalająco głową i znów przez chwilę leżeli w ciszy.

– Wiesz? – odezwała się wreszcie. – Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Zrozumiał, o co jej chodzi; znowu gładziła go po włosach, a on poczuł się jak dziecko.

– Jak to dobrze, że nie pożywiłem się w lesie surowym mięsem, że głód przywiódł mnie aż tutaj.

– Ale się na ciebie zezłościłam za tę gołębicę! – uśmiechnęła się do wspomnienia. – Taka byłam wściekła! Mam to po ojcu – dodała poważniejąc.

– Opowiedz o... o ojcu i...

– ...o tym, jak to jest być katowską córką?

– Właśnie – potwierdził Wolfgang z uczuciem wdzięczności, sam nie potrafiłby wypowiedzieć tego słowa.

– No więc posłuchaj uważnie – powiedziała w języku ptaków i pochyliła się nad nim.

A potem razem znaleźli się w tej samej scenie.

Najpierw ujrzał drogę, gościniec tuż przed miejską bramą. Po obu stronach szeregiem stali ludzie. Tą drogą szedł wspólnie z nią, a niektórzy ciskali za nimi czymś jeszcze oprócz słów. Oboje płakali.

Potem nagle znaleźli się wśród tłumu. Pośrodku stał blady Schwarz, a u jego stóp, na pieńku, złożył głowę jakiś człowiek. Kat machnął toporem, a następnie podniósł nieforemną bryłę, by wszyscy widzieli. Rozległ się ryk gawiedzi. Ich dwoje tylko płakało, nikt bowiem nie zasłonił przed nimi widoku bezgłowego ciała i białej szyi, pompującej strumienie krwi na kamienie bruku. Wreszcie ktoś ich odprowadził na bok; za późno. W owym czasie byli jeszcze chyba dziećmi; zanosili się płaczem. Wokół tłum ryczał z uciechy.

Obraz ustąpił nowej scenie, na zawsze jednak utkwiał w pamięci – ukryte, mroczne i wszechmocne podłoże następnych wydarzeń; świadectwo potęgi i okrucieństwa.

Stali teraz we dwoje na ulicy w miasteczku. Ktoś, jakiś duży chłopak, unosił ją, wijącą się jak węgorz, ku pobliskiej bramie.

Wolfgang zapłakał po raz trzeci nad swoją straconą gołębicą, jedyną istotą ludzką, z którą mógł się porozumieć.

Obraz zniknął, a chłopiec wtulił się z całej siły w objęcia dziewczyny.

– Dość! – wydyszał.

Jej twarz także była mokra od łez.

Długo leżeli bez słowa w ciemnościach i razem odnaleźli spokój.

Wolfgang zdawał sobie sprawę, że ten dzień i ta noc go odmienia, gdyż przebywał wśród ludzi, o których nauczył się czegoś, co jednocześnie budziło obawę i zdziwienie. Doświadczył, jak to boli, gdy się jest katowską córką, choć w istocie gołębicą. Przez chwilę musnął myślą Michaela, objaśniającego gwiazd. To wszystko takie niepojęte...

Pogładził Zuzannę po plecach.

Obudził się po raz drugi, gdy dziewczyna się podniosła.

– Muszę już iść – szepnęła. – Tamci wnet wstaną.

Przypomniał sobie o czymś.

– Słuchaj – rzekł, kładąc dłoń na jej ręce – zabierz się z ojcem na Falkenberg na Mikołaja. Jak rozumiem, ma tam... sprawę do załatwienia. Możesz?

Zagryzła wargi, przełknęła głośno ślinę, a potem skinęła potakująco głową.

– Moja ty gołębico! – uśmiechnął się.

Dziewczyna zniknęła. W stajni zrobiło się zimno i mrocznie.

Rupert Schwarz ciągle jeszcze nie spał, gdy dotarli do jego uszu ciche powrotne kroki i szelest uchylanych drzwi. Zuzanna przekradła się przez izbę i wdrapała na górne posłanie.

Leżał bezsennie całą noc. Tyle się poprzedniego wieczoru wydarzyło, rany także nie dawały mu zasnąć. Spoczywał nieruchomo, tylko myślom pozwolił krążyć swobodnie. Cały czas powracały do córki, jego jasnej, promiennej dziewczynki o tak pięknie brzmiącym śmiechu. Próbował jej oszczędzić złych doświadczeń, których jednak wiele nagromadziło się przez lata. Mimo jego wysiłków wyrosła na poważną i zamkniętą w sobie. Rupert Schwarz z grozą wspominał ów straszny dzień dawno temu – dziewczynka miała wtedy chyba z osiem lat – gdy nieszczęśliwym zrzędzeniem losu stała się świadkiem egzekucji. Przestała się wówczas odzywać, zamilkła na z górą rok; nie mówiła, nie śmiała się, nie śpiewała. Słyszeli jedynie, jak płacze po nocach. Za dnia wędrowała po podwórku i lesie; wtedy też zaczęła karmić i oswajać gołębie. Właściwie nie było ich stać na rzucanie chleba ptakom, ale skoro to sprawiało jej uciechę... Nie przestawała zajmować się ptakami, kiedy ponownie przemówiła, a stało się to zupełnie nagle i niespodziewanie. W Hyclej Zagrodzie zapanowała ogromna radość. Zuzanna powoli ożywiła się i wracała do dawnego sposobu bycia. Jednak nie do końca.

Gdy zostawała sama, karmiła gołębie lub oporządzała bydło, twarz miała bladą i bez wyrazu. Ten rok milczenia ją odmienił i nie wszystkie zmiany ojcu się podobały.

Jeszcze później, jak chłopcy odkryli, czyją jest córką, nie dawali jej spokoju na gościńcu i ulicach miasteczka. Nie było granic łajdactwom, których się dopuszczali. Zbudowała wokół siebie mur z obojętności i zaczepności. Wyzywająco opierała ręce na biodrach i jakby uczestniczyła w zabawie, lecz potrafiła prędko uwolnić się od dręczycieli. Rupert wówczas w jej oczach widział lód – zimną, bezbrzeżną żądzę zemsty. Rozpoznawał w córce coś ze swej dawnej wojowniczości, tylko dużo trwalszej, dużo bardziej nieustępliwej.

Jedynie tu, w obejściu, ze swoimi gołębiami wydawała mu się szczęśliwa. Gdyby nie znał jej lepiej, sądziłby, że rozmawia z ptakami.

Nie, stanowczo się na niej nie rozeznawał, ale wciąż była jego najukochańszym skarbem. Słyszał, jak się wymyka na dwór. Za potrzebą, próbował sobie wmówić, ale tak naprawdę doskonale wiedział, dokąd idzie. Zapamiętał jej rękę w dłoni grafowskiego syna minionego, pełnego wzruszeń wieczoru. Widział, jak gładziła go po głowie. W innej sytuacji wpadłby w szal i popełnił zbrodnię.

Nie zareagował, bo spod wpróżymkniętych powiek dostrzegł wyraz jej twarzy przed wyjściem i po powrocie. Była taka radosna!

Gdy więc weszła do chaty, odwrócił się bezszelestnie w stronę żony; pozwolił sprawom toczyć się swoją koleją, decyzję pozostawił losowi.

Wolfgang wyruszył przed południem, pożegnawszy się z rodziną kata na podwórku. Dziwne to było rozstanie, twarze wyrażały wiele nie wypowiedzianych słów.

Od babki dostał na drogę skibkę chleba. Mistrz katowski Schwarz podszedł i uścisnął mu dłoń, stary i Anna także. A na końcu dziewczyna.

Potem dosiadł konia i odjechał; nie odwrócił się, by przestać ostatnie pozdrowienie, choć wiedział, że śledzą go wzrokiem, dopóki nie zniknie na skraju lasu.

Wjechał między drzewa i skierował się w stronę poprzedniego obozu.

Sokoły leciały przodem. Ich szybujące sylwetki kreśliły ciemne cienie na tle ośnieżonego lasu i nieba, równie teraz białego jak śnieg.

Z rozkazu Wolfganga od razu wrócili na Falkenberg. Łowczy nie pytał o powody. Żaden z nich niczego nie upolował...

V. NIEWINNY

I

Tuż przed świętym Mikołajem zmarł stary Sebastian. Ostatnie kilka dni spędził w łożu, blady, pokaszający, choć bez gorączki. Początkowo trochę jeszcze chodził i jadł, większość jednak czasu upływała mu na spokojnym leżeniu w pościeli.

Ustało przeto całkowicie nauczanie Wolfganga, lecz chłopiec odwiedzał mnicha codziennie z zastanawiającym oddaniem, którego starzec nigdy by się po nim nie spodziewał.

Kiedy tak siadywał przedpołudniową porą u łoża Sebastiana, franciszkaninowi wydawało się, że zauważa w nim jakąś zmianę. Nie, żeby się nagle zrobił rozmowny lub zaczął się w istotny sposób inaczej zachowywać, bo w gruncie rzeczy owe godziny wizyt obaj spędzali na milczącym zamyśleniu. Wolfgang wchodząc do izdebki mnicha czynił znak krzyża i zasiadał na karle przy posłaniu. Tam spędzał, ku wzruszeniu ojca Sebastiana, na ogół w zupełnej ciszy tyle czasu, ile zwykle trwała nauka. Siedział bez ruchu, patrząc w karty księgi trzymanej na kolanach lub w okno. Na pozór był taki jak przedtem.

A jednak po ostatniej wyprawie na łowy nastąpiła w nim jakaś przemiana; umierający mnich ją wyraźnie dostrzegał. Jakiś rys u nasady nosa, może jakiś cień wokół oczu i ust sprawiał, że twarz była inna, wyrażała więcej zdecydowania i silnej woli niż u chłopca, z którym miał do czynienia, nim nastąpiła zima.

Niewiele ze sobą rozmawiali; bywało jednak, że mnich prosił Wolfganga o przeczytanie jakiegoś fragmentu z Apokalipsy albo z Księgi Psalmów. Sam nie miał na to siły, a słuchanie dawało mu pociechę. W przerwach popatrywali obaj przez okienko na białe, pokryte chmurami niebo.

Wydawało się zresztą, że cała rzeczywistość w owych dniach jakby uległa przeobrażeniu. Od kiedy spadł śnieg, wszystko stało się lżejsze, bardziej niby świetliste, prawie przezroczyste – a czasami odnosił nawet wrażenie, że na tle niemal śnieżnobiałej pokrywy chmur dostrzega złotawe koła. Znikały natychmiast, gdy tylko zamrugał lub próbował skupić na nich wzrok, niemniej zjawisko to napełniało go nieodmiennie radosnym zdumieniem. Światło, jego zdaniem, także się odmieniło. Stało się silniejsze, jaśniejsze, chociaż chmury całymi dniami przesłaniały słońce. Po nocach śnił często o łąkach i wzgórzach Asyżu, po których wędrował kiedyś, w owe odległe, święte lata z samym Mistrzem. Był wtedy młody i silny, teraz zaś z niejakim zdziwieniem zauważał, że ręce, splecione beczynn timer na pierzynie, wydają mu się niezrozumiale spracowane i jakby trochę obce. Głos, teraz ochrypli i zdarty, także nie przypominał dawnego – jasnego i czystego jak dzwon, choć w uszach miał jeszcze jego właściwe brzmienie.

Ach, ileż się wówczas, w owe radosne dni, nagadał, naśmiał, a przede wszystkim naśpiewał! Potrafił jeszcze dziś dokładnie przywołać we wspomnieniach pewien szczególny wieczór, spędzony z Mistrzem i współbraćmi. Była ich wtedy zaledwie garstka, wszyscy przemarznięci i zniechęceni, a pogoda – wyjątkowo okropna. Grzmiało i błyskało, spienione rzeki toczyły wezbrane wody z gór. Nastrój więc panował, łagodnie mówiąc, mało radosny. Wtedy on, Sebastian, zaintonował wesołą piosenkę, jak to się zwykle czyniło w jego rodzinnych stronach, gdy ludzi ogarniało przygnębienie. Zanucił pierwszą lepszą melodię, jaka mu przyszła na myśl; z czasów gdy pobierał nauki w Padwie. Tekst ten był zupełnie nieszacowny i traktował o pewnym kardynale za pomocą słownictwa, jakiego się używa w odniesieniu do starej kobyły. Współbraciszkiwie przysłuchiwali się więc początkowo ze zdumieniem, a nawet lekką irytacją, lecz wtem sam Mistrz dołączył doń swym zużytym już, choć wciąż pięknym głosem. On także znał tę śpiewkę, co prawda z trochę innymi słowami, widocznie jednak była w owym czasie dość popularna, jeden za drugim bowiem podejmowali ją pozostali uczniowie. Na koniec śpiewali za Sebastianem wszystkie znane piosenki, aż burza i zły humor minęły.

Tego samego jeszcze roku przybył tu, do Niemiec.

Długo nie widział żadnego ze współbraci; dopiero dużo później spotkali się przy łożu śmierci Mistrza. Miało to miejsce prawie cztery lata temu, kiedy po raz pierwszy i ostatni powrócił do Włoch. Tę podróż także pamiętał bardzo dobrze. Stał zatopiony w modlitwie przed małą chatką na łące, gdy zdarzyło się coś niezwykłego. Z lepianki wyszedł właśnie ktoś ze spuszczoną głową, po policzkach spływały mu łzy. Wszyscy zgromadzeni wokół pojęli, że Mistrz nie żyje, że przyszedł braciszek Śmierć, i zaintonowali o nim hymn.

A kiedy tak otaczali śpiewem chatę, usłyszeli potężny szum tysięcy małych skrzydeł i nagle powietrze wypełniło się ptaszkami. Niezliczona rzesza skowronków wśród ogłuszających treli obsiadła dach chatynki oraz drzewa i krzewy wokoło. Tak, on zaś, Sebastian, pewnego deszczowego wieczoru sam niegdyś śpiewał wspólnie ze świętym mężem... Pater Sebastian znajdował w tych wspomnieniach radość; wydawało mu się, że obrazy minionych wydarzeń lśnią blaskiem jaśniejszym niż kiedykolwiek przedtem. Ledwie przymknął oczy, spływał nań potężny strumień scen ze szczęśliwych czasów. I kiedy je na powrót otwierał, świat nieruchomiał, zmrożony, obezwładniony śnieżnobiałym światłem z nieba. A przy łożu często siedział chłopiec i oparty brodę na dłoni, spoglądał w okno. Ciekawe, czy on także dziwował się podobnej anielim skrzydłom, nieskazitelnej bieli nieba albo owym złotawym kołom na tle chmur?

Od czasu do czasu próbował opowiadać o Asyżu, o Mistrzu i jego życiu. Były to sprawy, o których, jak teraz uważał, za mało rozmawiał zarówno z Wolfgangiem, jak i z jego ojcem czy stryjem. W zasadzie zawsze brakowało na nie czasu pomiędzy łaciną a matematyką i zaniedbał coś, co obecnie chciał naprawić. Głos i pamięć jednak zawodziły, gdy próbował formułować dłuższe zdania. Coraz bardziej dziwiło go też, na ile owe chropawe dźwięki różnią się od wewnętrznego głosu, który rozpoznawał jako własny, gdy leżąc w łożu na nowo przeżywał to, co się niegdyś zdarzyło. Długo rozprawiał w duchu z dawnymi kolegami ze szkoły w Padwie. Ciekawość, co się z nimi stało? Z Carlem o długim nosie albo z Luigim, który się nigdy nie mył. Luigi marzył, by zostać profesorem retoryki lub kaznodzieją, a Carlo mu kiedyś powiedział, że będzie czarny od brudu, zanim to nastąpi. Na to Luigi odparował, że z takim nosem Carlo nie ma nawet co śnić o dostępie do retoryki. A Giovanni, który nigdy nie miał pieniędzy, czy zdołał kiedyś ukończyć szkołę? Sebastian wiódł z nimi w łożu długie rozmowy, choć z jego ust nie padło ani słowo. Pod koniec nie odzywał się już prawie wcale; gdy chciał, by Wolfgang mu poczytał, wskazywał palcem Biblię. Chłopiec zaś zawsze odnajdywał coś, co się mnichowi podobało, co na nowo wywoływało owe przedziwne, złotawe wizje; dzwonnice, łuki, portale... wewnętrzny głos Sebastiana towarzyszył śpiewnym słowom chłopca i wtedy zdawało mu się, że nie jest tak źle ani z nim samym, ani z głosem – tym właściwym...

Mnich spędził tak wiele dni, gorączka to rosła, to spadała, ale nigdy nie była duża. Dostawał z kuchni gorący rosół – i chyba tylko to niosło mu cierpienie, bo przelykanie sprawiało ból, a temperatura posiłku powodowała dreszcze i uczucie zimna. Stopniowo przestał wstawać, nie opuszczał już łoża, na koniec nie miał nawet siły podnieść głowy.

Kilka razy próbował się modlić, ale modlitwy ulatywały jak dym i rozplywały się w nicości. Nie widział żadnego sensu w odmawianiu zdrowasiek i ojczenaszy, miał bowiem wrażenie, że jakąś przedziwną drogą został wcześniej uwolniony od grzechów, toteż słowa pacierza przestały mieć dlań jakiegokolwiek znaczenie.

Często też wracał myślą do swych pierwszych lat na Falkenburgu, gdy jako młody człowiek przybył tutaj, do mrocznych i zimnych Niemiec, by zamieszkać na skale jako nauczyciel dwóch chłopców, synów grafa. Uśmiechnął się w duchu. Tak bardzo się różnili, Henryk i Fryderyk, choć oczywiście pod wieloma względami, jak to bracia, wykazywali podobieństwa. Henryk był ciemnym blondynem, jakim jest też jego syn, a Fryderyk miał wtedy włosy zupełnie jasne; obaj urodziwi, aż przyjemnie spojrzeć, i obaj naprawdę złośliwi

figlarze. Henrykowi, dziedzicowi lenna, mnich nigdy nie zdołał wbić do głowy rozumu. Chłopak nauczył się czytać i pisać, znał Biblię, ale niewiele ponad to. Sebastian zastanawiał się, czy czasem nie był wtedy złym nauczycielem.

– Twój błąd, ojciec Sebastianie... – usłyszał głos i na tle okna ujrzał brata Piotra, grożącego mu żartobliwie palcem znad garnka zupy cebulowej – ...twój błąd polega na tym, że nie zachowujesz należytej powagi!

Niektórzy z braci się wtedy roześmiali, a Sebastian odmłodził na swoim posłaniu, zawstydzony. Kpili tylko dlatego, że się przebrał za kupca, poszedł do miasta i sprzedał trochę warzyw na rynku, bo tak bardzo potrzebowali pieniędzy!

Tak, uśmiali się z niego zdrowo – nigdy nie byłby porządnym członkiem zakonu żebraczego, jałmużnikiem z prawdziwego zdarzenia. Nie miał dziś żalu o ten śmiech, sam się do niego przyłączył. Tak więc dla odmiany został nauczycielem i spowiednikiem. Być może nawet złym, za młodu, kiedy właściwie powinien był sam się jeszcze szkolić. Synowie grafa prędko bowiem odkryli, że posiada tak nieodpowiednią dla nauczyciela cechę – brak należytej temu stanowisku powagi – i robili mu wiele osobliwych kawałów, którymi go w gruncie rzeczy niezmiernie rozbawiali.

Z czasem stał się może trochę uparty, zbyt wymagający i milkiwy, lecz nastąpiło to dopiero po śmierci starego grafa, gdy Henryk i Fryderyk dorosli, pożenili się i kiedy miały miejsce inne wydarzenia.

Młodszy, Fryderyk, w przeciwieństwie do brata był pojętny. Okazywał zrozumienie tak dla arytmetyki, jak dla sztuki pisania oraz wielu innych umiejętności przydatnych w zarządzaniu zamkiem i dobrami. W gruncie rzeczy to on, praktyczny i bystry w codziennych obowiązkach, początkowo bardziej nadawał się do rządzenia. Graf Henryk, wielkopański i chępliwy, był po trosze utracjuszem. Lubił muzykę i turnieje, śmiech i taniec – ot, jak rycerz. Fryderyk zachowywał ostrożność, a nawet lękliwą delikatność – także w rozpasaniu. Wolfgang przypominał ich obu, może nawet w jakiś niezrozumiały sposób bardziej Fryderyka – oczywiście z czasów dzieciństwa.

Gdy Sebastian wracał obecnie myślą do burgrabiego, wydawało mu się śmieszne, że kiedykolwiek się go bał, że obawiał się jego spojrzenia i owych dziwnych napadów śmiechu. Fryderyk był przecież tylko małym chłopcem, podobnie jak jego brat, a teraz Wolfgang. W dodatku miał najpiękniejszy sopran, jaki Sebastian słyszał w całym swoim życiu. Mnich cofnął się do swych młodych lat, szczęśliwy, że został nauczycielem, że ma duże dłonie, zwinne i ogorzałe – nie poszarzałe i pomarszczone – dłonie, które potrafią udźwignąć księgi i wysmagać różgą... no, może niezbyt często, jeśli dobrze pomyśleć.

Tak to Sebastian leżał wiele dni, a nikt się nie domyślał, że nadchodzi jego koniec; wszak i dawniej zimą i wczesną jesienią miewał gorączkę, jak to zwykle południowcy w surowym klimacie północy. Przez tyle lat jednak wytrwale i niezmiennie wypełniał swoje obowiązki, że zakrawało na czyste niepodobieństwo, by raptem miał umrzeć od lekko podwyższonej temperatury.

Nikt więc poza Wolfgangiem nie orientował się w sytuacji. Chłopiec widział w Sebastianie oznaki śmierci, rozpoznawał je wyraźnie, toteż odwiedzał starca przed południem w czasie przeznaczonym zwykle na naukę.

Polubił starego mnicha o pomarszczonej twarzy, choć sam dobrze nie rozumiał dlaczego. Nigdy wiele ze sobą nie rozmawiali, a często traktował go jak zarazę i wszystkie plagi egipskie razem wzięte, zwłaszcza w długie letnie przedpołudnia, gdy chciał czym prędzej wyruszyć na łowy, a musiał ślęczeć nad księgami.

Jednak właśnie ów fakt, że już go to nie będzie prześladowało, napawał Wolfganga smutkiem, nieledwie rozpaczą. Oto opuści go jeszcze jeden człowiek. Ze wzruszeniem myślał, iż nigdy już nie usłyszy, jak mnich mruczy uszczęśliwiony coś, co jak wiedział, było włoskimi słowami dziękczynienia, pomieszanymi z drobnymi przekleństwami, pochylając się nad dziwną potrawą z jajek, mąki i wody - makaronem. Nigdy więcej.

Pamiętał, że pater Sebastian uczył także ojca i stryja. Chciał go spytać o obu dawnych uczniów, o wiele spraw, nad którymi tak naprawdę nigdy się przedtem nie zastanawiał... lecz starzec już prawie nie mógł mówić i Wolfgang zrozumiał, że coś stracił bezpowrotnie.

W te dni, które spędzał przy mnichu, jego myśli często krążyły wokół Zuzanny, ale stopniowo zdominował je zaginiony ojciec, stryj i owo nieszczęście mające dotknąć zamek w czternastej zimie jego życia. Wkrótce myślał już tylko o tym.

W jakimś więc sensie długie godziny w izdebce Sebastiana stały się czasem spokojnego oczekiwania, cichego przygotowania i odpoczynku przed tym, co miało nadejść. Mnich także czekał...

Kiedy starzec drzemał, Wolfgang czytał skrycie fragmenty listów ojca, które przynosił schowane w księdze z poematem bohaterskim. Nie dostarczyły mu wskazówek o losach wyprawy krzyżowej. Były po niemiecku i po łacinie, skierowane bądź to do stryja, bądź do matki. Miał pewne trudności w zrozumieniu tego, co ojciec pisał – zwłaszcza po łacinie – i na początku sądził, że jego wiedza jest niewystarczająca, dopóki nie odkrył oczywistych błędów pisowni i nieprawidłowej odmiany i nie pojął, że ojciec nie umiał poprawnie pisać. Wtedy już poszło łatwiej.

Wszystkie listy do matki, po niemiecku, prawie bez wyjątku zawierały gorące wyznania miłości – tak gorące, że Wolfgang czasami musiał je czytać dwa lub trzy razy, by się upewnić, czy i tu także nie szwankuje ortografia. Każde pismo poza tym wypełniały zaklęcia, by czekała cierpliwie, bo przygotowania się przeciągają. Nawet po śmierci matki tak pisał i chłopiec rozumiał, że widocznie wiadomość o jej zgonie nigdy do ojca w chaosie poprzedzającym odplynięcie nie dotarła.

Z listów wywnioskował, że początek wyprawy opóźniał się wielokrotnie; najpierw w następstwie zarazy w obozie. Uległo jej wielu rycerzy, także sam cesarz. Ku przerażeniu Wolfganga ojciec doniósł, że i jego dotknęło skrzydło moru, lecz wyzdrowiał. Z powodu szerzącej się choroby wielu rycerzy wcześniej wyruszyło do Syrii albo w przestrachu wróciło do domu. Ojciec jednak napisał, iż z tej przyczyny nie wyrzeknie się swego powołania krzyżowca. Potem przyszła klątwa, rzucona na cesarza przez Ojca Świętego, Grzegorza Dziewiątego, która ogłaszała go winnym zarazy i opóźnienia.

„Każdy wszakże o tym wie – pisał ojciec – że nasz dobry cesarz i pan sam leżał złożony niemocą i że od zarazy stracił przyjaciela swego serdecznego, Panie świeć nad jego duszą, Jego Wysokość landgrafa Turyngii. Nikt tutaj nie może dać wiary, iżby Ojciec Święty nie mylił się w swych osądach.”

Była to druga próba, na jaką wystawiona została krucjata.

Nastąpiła teraz długa przerwa w listach od ojca – być może, jeden czy dwa zaginęły w drodze na północ – bo w kolejnym wspominał ni stąd, ni zowąd, iż tłuszcza wypędziła Ojca Świętego z pałacu w Rzymie i musiał się on schronić w miejscowości o nazwie Perugia. Wiadomość była zupełnie pozbawiona związku z innymi pismami. Wolfgang poczuł się zagubiony. Potem listy doniosły o trzeciej przeszkodzie.

Cesarzowa, Izabella z Brienne, urodziła syna, Konradyna^{*}, ale w dziesięć dni po porodzie zmarła, co także opóźniło wymarsz. Wreszcie, w czerwcu 1228 roku, ojciec zawiadomił, że rycerstwo ładuje się na statki w miejscowości zwanej Brindisi albo Brindusi – akurat w tym miejscu pismo było niewyraźne.

W listach do stryja znajdowało się wiele wskazówek na temat lenna i postępowania z chłopami, które Wolfgang, nigdy specjalnie nie zainteresowany włościami czy poddanymi, ku swemu zaskoczeniu chłonął łapczywie słowo po słowie.

Jednocześnie ojciec relacjonował niektóre zabawne obozowe zdarzenia, między innymi dotyczące cesarza. Opowiadał też, że cesarz trzymał wielką liczbę sokołów i był znawcą sztuki polowania z nimi. Zdaniem ojca cesarz to najniezwykleszy człowiek na ziemi; ludzie korzą się, pisał, przed monarchą, przed jego potężnym i niesłychanie przenikliwym umysłem, niezmierną wiedzą, a przede wszystkim przed jego mądrością. W orszaku cesarza znajduje się zawsze wielu uczonych mężów. Powiadają także, iż odkrył tajemnicę kamienia filozoficznego. Już teraz, donosił, obdarzają go mianem *Immutator Mundi* – zmieniającego świat – a wśród joannitów krąży wymrukiwane półgłosem słowo „*Antychryst*”, co nie odbiega daleko od zdania zwolenników papieża.

Wolfgang przerwał lekturę i pomyślał o Michaelu Szkocie, a potem o owym niezwykłym człowieku z wielkiej wyspy na Morzu Śródziemnym, który siłą swej woli potrafił ująć i podporządkować sobie cały świat. Gdzie teraz przebywa? I gdzie jest cała krucjata?

W jednym z listów ojciec wyrażał życzenie, by stryj, gdy nadejdzie czas, zakupił „*dla małego Wolfganga*” sokoła do polowań. Poza tym niewiele było w listach wzmianek o nim. Jedynie: „*Pozdrów serdecznie mego synka*”, albo jeszcze: „*Jak się miewa mój ukochany syn? Jak postępuje jego rozwój i kształcenie? Czy w dalszym ciągu unika ćwiczeń rycerskich?*”, i temu podobne rzeczy. Chłopiec nie znał wszakże odpowiedzi stryja, więc mógł jedynie zgadywać, co zawierały.

W czerwcu roku 1228 pisma z Brindisi lub Brindusi przestały przychodzić, z czego Wolfgang wyciągnął wniosek, iż w owym czasie krucjata rzeczywiście ruszyła.

* W rzeczywistości Konradyn urodził się w 1252 r.; był wnukiem Fryderyka II, synem Konrada IV, który po śmierci ojca próbował opanować Włochy i zmarł na atak febry w 1254 r.; przyp. tłum.

Ponownie ogarnęło go zdziwienie, że stryj nie starał się dowiedzieć czegoś więcej. Obecnie trzeba było długo czekać, nim dotrą do nich kolejne wiadomości ze świata, a częstokroć stanowiły je zaledwie luźne plotki.

Pogrążony w takich myślach, odczuwał czasami niepohamowaną chęć, by wybiec z komnatki chorego, wspiąć się na kręcone schody, stamtąd na mury i do wieży, do sokołów; gdzie nie istniał świat, jedynie niebo, światło i otchłań pod stopami.

Jednak zmuszał się do pozostania. Nieraz mignęła mu w pamięci twarz stryja, jego buchające żarem oczy. Straszny musiał w nim płonąć ogień. Wolfgang próbował pozbyć się tej wizji, ilekroć go nawiedzała, ale trudno to było osiągnąć. Miał jakieś niejasne, nieokreślone przeczucie; wydawało mu się, że dostrzega związki pomiędzy czającym się niebezpieczeństwem, obezwładniającymi ramionami stryja i samym Falkenborgiem. Dziwił się też, że burgrabia nie wykazywał zainteresowania wprowadzeniem go w obowiązki, które nań czekały po dośrobie do dojrzałości.

Co to właściwie oznacza? Fakt, że zawieszą mu klucze u pasa i pieczęć Falkenburgów na srebrnym łańcuchu na szyi – podobnie jak teraz nosi je stryj? Czy z dnia na dzień będzie zmuszony sam o wszystkim decydować? Czy burgrabia nagle przekaże w jego ręce całą odpowiedzialność? Ta myśl budziła sprzeciw, chłopiec znów zatęsknił za sokołami. Przemógł się jednak i drążył dalej. Rozumiał, jak źle jest przygotowany do tej roli; niedobrze się stało, iż stryj tak łatwo dał mu się wywinąć od ćwiczeń sprawnościowych. Nigdy też nie usłyszał ani słowa na temat zarządzania warownią i dobrami. Dawniej go to nie martwiło, ale teraz...

Twarcz stryja pojawiała mu się przed oczyma raz za razem.

A w duszy rosło przeczucie i niepokój, myśli coraz bardziej oddalały się od listów ojca i pogrążyły w obawie i zwątpieniu. Chętnie by z kimś na ten temat porozmawiał, lecz któż by mu pomógł? Do stryja żywił niechęć. Oczywiście, wcześniej poradziłby się mnicha, ale teraz było na to za późno. Pewnego przedpołudnia w izdebce Sebastiana wpadł na pomysł, by napisać do astrologa Michaela i zasięgnąć języka o krucjacie, a także poprosić o radę – lecz szybko zrezygnował. O tym, jak się do tego zabrać, wiedział równie mało jak o innych sprawach dotyczących realnego świata. Przypuszczał zresztą, że stryj musiałby zostać o wszystkim poinformowany i dać zgodę na wyjazd posłańca. Miał przy tym niemal przerażającą świadomość, że właśnie burgrabia nie powinien znać jego myśli.

Gdy przebywał w wieży, sokoły dostrzegały jego niepokój. Czuł się bezradny, ponieważ nie potrafił podzielić się strapieniem z ptakami ani ukryć przed nimi trosk. Wprawdzie nie miał złych snów i nie płakał, a jednak był bliski twogi.

Pewnego razu wczesnym przedpołudniem, tuż przed pojawieniem się Wolfganga, mnich nagłym ruchem siadł na posłaniu i pojął, że nadszedł jego czas.

Cały poranek podrzemywał półprzutomny; w nocy gorączka wzrosła i nadeszły męczące senne mary. Któraś z tych rozgrywających się na poły na jawie scen go otrzeźwiła i już wiedział, że jego koniec jest bliski.

W pełni przytomności, z chłodnym zdecydowaniem poruszył małym dzwoneczkiem, by wezwać służącą i polecić jej sprowadzenie Wolfganga oraz księdza. Przestraszona dziewczyna usłuchała bez słowa i zniknęła za drzwiami w ciszy, która otulała izdebkę. Mnich dumiał, gdzie też mogła się podziać; dla niego istniała już tylko rzeczywistość widziana z łoża i te jej skrawki, które dostrzegał przez uchylone drzwi. I rzecz jasna przez okno z widokiem na ośnieżone pola, na kopułę niezmiennie białego, dziewiczego nieba nad ziemią. Wszystko inne – zamek, mury krużganki i komnaty, służba i dobytek – wszystko to rozplynęło się w nicość, przestało istnieć.

Raptem u wezłowią pojawił się Wolfgang i rzeczy przybrały prawie zwykły obrót. Ponieważ posłano po księdza do miasteczka, chłopiec pojął, że mnich wkrótce odejdzie. Siadł z założonymi rękami, wyglądając kapłana; nie wiedział, czym się zająć. Wtem uprzytomnił sobie, że gdy będą sami, ojciec Sebastian może przecież umrzeć. Uderzyła go nieskończona cisza za drzwiami. Żadnych kroków...

Starzec znów leżał w gorączce, choć od czasu do czasu posyłał chłopcu uśmiech, jakby ulgi, że ktoś jest przy nim w tych trudnych chwilach. Nagle wskazał palcem Biblię, a Wolfganga opanował prawdziwy strach. Palce mu zdrętwiały i poczuł, że drży na całym ciele. Został sam na sam z umierającym; za drzwiami czaiła się cisza; ani ksiądz, ani służąca nie pojawiali się, by skruszyć ten lęk. Jakby o nich zapomniano. Zarazem jednak bał się wykonać jakikolwiek ruch, zadzwonić bądź podejść do drzwi i zawołać na służbę. Tracił grunt pod nogami, zapadał się w otchłań. Nie wytrzymam, myślał, ktoś musi wreszcie przyjść!

Mnich ponownie wskazał Biblię, więc chłopiec, otworzywszy księgę osłabłymi palcami, przeczytał fragment z Psalmów Dawida, czując pod powiekami łzy. Wnet jednak zdało mu się, że lada chwila nastąpi koniec, przeto z narastającym niezrozumiale płaczem zaczął wypowiadać półszepceniem tak dobrze znane słowa wyznania wiary:

– Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibilium omnium, et invisibilium.

Zaskoczony przysłuchiwał się własnemu głosowi; odbity od kamiennych ścian komnaty, brzmiał tak odległe i martwo; stał się tak niesamowicie ciemny i głęboki. Chłopca owiało nowe tchnienie lęku – na brzegu łoża, przysłuchując się jego czytaniu, siedział przybysz z zaświatów. Śmierć.

Starzec łowił słowa i próbował za nimi na wpół świadomie podążać. Znów jednak ogarnęło go niepoohamowane pragnienie, by wspominać Asyż, zielone łąki i owo muśnięcie najpełniejszej radości... Nigdy potem nie potrafił czuć się bezdennie nieszczęśliwy.

– Et incarnatus est de Spiritu Sancto ex Maria Virgine; et homo factus est...

Mnich otworzył oczy i ujrzał czytającego chłopca. Jego głowa rysowała się ostro na tle nieba za oknem. Teraz wreszcie w całej pełni, nie tylko kątem oka, ogarniał spojrzeniem owe złotawe koła. Cóż za cudowne to były budowle! Jakież wspaniałości! Kopuły! Łuki! Portale! Choć zapewne nie tak śliczne jak domy i chaty złotego Asyżu, jednak bardzo, bardzo piękne!

– Crucifixus etiam pro nobis; sub Pontio Pilato passus, et sepultus est. Et resurrexit tertia die, secundum Scripturas. Et ascendit in caelum...

Jakie to dziwne! Znowu śpiewał z Mistrzem Franciszkiem jak wówczas, w deszczu; ale teraz nie padało, świeciło jasne, wiosenne słońce, a ptaszęta na łąkach i w gajach, na skałach i w szczelinach murów wydobywały z gardziołek nie trele, lecz słowa, tak wyraźne, że słyszał je na własne uszy!

Znów ujrzał Wolfganga, tym razem z jeszcze większego, oddalenia, lekko zdziwiony, że chłopiec jest smutny i że na jego policzkach połyskują łzy. Czyż nie widzi, jak wokoło pięknie i jasno? Sebastian czuł się przepelniony ową falą złota z nieba; powinien coś powiedzieć, co by podniosło biedaka na duchu; potrzebował tego, malec wyrosły bez ojca i matki; może należało go częściej zwalniać z lekcji... świat jest przecież tak piękny! Odchrząknął...

– Skowronki... Wolfgangu... śpiewają na wiosnę – przerwał wyznanie wiary.

Chłopiec zerknął bystro w twarz mnicha; dostrzegł, jak oczy nieruchomieją, a spojrzenie się mąci. Pochylił głowę i dokończył prawie bezgłośnie:

– ...Et expecto resurrectionem mortuorum. Et vitam venturi saeculi. Amen.

W komnatce panowała zupełna cisza. Starzec umarł, Śmierci także już nie było. Wolfgang został sam...

Dopiero pół godziny później wróciła służebna, przemoczona i zziębnięta drogą przez zasy. W północnej części lenna ktoś także umierał; nie można było znaleźć żadnego księdza.

II

Po zgonie mnicha Wolfgang przemykał przez zamkowe korytarze i komnaty jak goniony zwierz. Twarz miał bladą i zamkniętą.

To wyjście naprzeciw śmierci w pojedynkę było trudniejsze, niż sobie wyobrażał; a i utrata starego mocno nim wstrząsnęła.

Pospieszny pogrzeb odbył się w kościele w miasteczku, on i stryj wzięli w nim udział, by oddać ostatnią posługę staremu preceptorowi, jako niemal jedyni żałobnicy; poza tym zdumiewająco prędko zapomniano na zamku o mnichu i wkrótce jego izdebki, uprzątnięte i wywietrzone, stały puste.

Wolfgang, który podczas długich godzin spędzanych u Sebastiana odnalazł spokój i ukojenie, czuł się teraz osaczony i zaszczuty. Miał wrażenie, że w jego duszy zbierają się rzeczywisty lęk i ciemność; dawno już tak silnie nie odbierał ich narastania.

Pewnego wieczoru mrok w sercu rozwinął się niby kwiat z pąka, więc, jak zawsze w takich wypadkach, musiał się położyć i uspokoić. Wszystkie problemy stały się z miejsca odległe i nieskomplikowane, a świat realny przestał mu się wydawać nieznośny czy trudny do zrozumienia – był jednoznacznie złowrogi. Nieczęsto płakał podczas napadów takiego nastroju; mrok wypełniał go niepodzielnie i długo trwało, nim ustąpił. Czasem trzy, cztery, w najgorszym wypadku pięć dni i nocy. Zawsze potem czuł się wyczerpany, choć na ogół wszystko przebiegało spokojnie. Tyle że odechciewało mu się żyć.

Zawsze cierpiał na osobiwe, przewlekłe mdłości, żołądek podchodził aż pod gardło; budziło to w nim lęk, gdyż brzydził się wymiotami. Rzadko do nich podczas owych ataków dochodziło, niemniej za każdym razem był święcie przekonany, że teraz właśnie mu się to przydarzy.

Trzy długie dni leżał na pościeli bez ruchu; ochmistrzyni przynosiła mu jedzenie, co przyjmował z wdzięcznością, aczkolwiek na ogół nie miał apetytu. Raz dziennie przymuszał się, by wstać i nakarmić sokoły. W taki mróz potrzebowały więcej pożywienia; dawał im więc martwe kurczaki, które leżały w zamkniętym koszu przed wejściem do wieży. Gdy wkładał tam rękę i grzebał wśród drobnych, zmarzłych opierzonych korpusów, zbierało mu się na mdłości. Czym prędzej wtykał każdemu z sokołów przynależny mu żółty kłębuszek, czując, że za moment zwymiotuje. Było to dość dziwne, bo zwykle nie przeszkadzało mu kontakt z martwymi zwierzętami. Tyle że teraz z natrętną wyrazistością docierało do niego, jak bardzo były martwe te dramatycznie otwarte dzióbki i ukryte pod tułowiem cienkie czerwone nóżki, wykręcone pod nienaturalnym kątem. Nie patrząc podawał karmę sokołom i nie zamieniwszy słowa z czwórką przyjaciół, wracał na postanie, jeszcze zanim zaczęły rozszarpać kurczaki.

Poza tym cały czas spędzał w łożu, wsłuchując się w ciszę, wiatr, słabe dźwięczenie dzwoneczków, drobne popiskiwanie i skrzeczenie, trzepot skrzydeł. Oczy miał na ogół zamknięte, bo wydawało mu się, że wilgotne mury wieży pokryte są, jak zwłoki, zimnym potem.

Dużo myślał o mnichu i krótkim zdaniu, które ów wyszeptał przed śmiercią – o skowronkach śpiewających z wiosną. Zawładnął nim nowy strach. Może już nigdy nie usłyszy skowronków? Wspomniał ostrzeżenie Szkota.

Pewnej nocy, kiedy było mu bardzo źle, wyjął horoskopy, po raz pierwszy od wizyty astrologa.

Przed oczyma zatańczyły cyfry i litery, symbole i figury geometryczne. Wydało mu się, że są jak wydany wyrok, a jego walka przypomina walenie głową w mur. Po wielokroć odkładał horoskopy na miejsce, lecz wciąż od nowa brał pergaminy do łoża i niestrudzenie je studiował. Rozpłakał się ponad zwyczaj gwałtownie; pytał nawet ojca i matkę, a także mnicha, dlaczego go opuścili, dlaczego nie zostali, by go strzec i otaczać opieką, ale nie chcieli odpowiedzieć. Astrolog również zjawił się tej nocy i mówił – jednak tylko o gwiazdach, ciałach niebieskich i przeznaczeniu. Wolfgang nie o tym chciał słuchać; wreszcie rozgniewał się i wypędził miłego skądinąd Szkota.

Nagłym ruchem uniósł się na pościeli i cisnął pergaminy w ogień. Na chwilę mu pomogło; gdy płomienie strzeliły w górę spopielając poskręcane, pożółkłe ze starości arkusze, świat przestał wirować, a doznania utraciły swą ostrość.

Lecz już w następnym momencie, wyrzawszy przez okno, przygasł znowu i znieruchomiał, płacząc z cichą rezygnacją i zaciskając zęby na okrywającej go wilczurze.

Za oknem bowiem górowało zastygłym blaskiem nieubłagane, gwiazdziste niebo nad Falkenborgiem.

Następnego ranka ochmistrzyni obudziła go wieścią, że nadszedł dzień świętego Mikołaja. Przypomniała, że dzisiaj chłopiec musi się pojawić na mszy w kościele i na obiedzie w paradnej sali.

Po jej wyjściu Wolfgang zmusił się, by sięść na łożu. Mało spał tej nocy. Przyjrzał się swym dłoniom, białym, z widocznymi czerwonymi odgnieceniami. Drżały nieznacznie. Skupienie wzroku na czymkolwiek sprawiało mu ból, czuł się jakby nieobecny i męczyły go narastające mdłości. A teraz musiał wstać.

Z wysiłkiem podniósł się i stanął na zimnej kamiennej posadzce. Ubrał się prędko, próbując jak najmniej myśleć o tym, co robi, i skoncentrować się na zachowaniu spokoju i jasności umysłu. Żeby tylko nie ogarnęło go drżenie! Nie wziął ze sobą żadnego sokoła, otulił się opończą i wyszedł.

Zaledwie ujrzał oślepiającą biel śniegu, odbitą od szarości kamiennych murów, zrozumiał, że z tym dniem sobie nie poradzi. Mimo to zdecydowanym krokiem podążył na dół.

Po raz pierwszy w takim stanie ducha próbował uczynić coś innego poza leżeniem bez ruchu na pościeli. Przeklinał swoją gwiazdę za owo uczucie bezradności...

Na dziedzińcu zderzył się ze stryjem.

Nie rozmawiali ze sobą ani nie przebywali nigdy samowtór od owego przedpołudnia w kancelarii. Wolfgang zaczął drzeć. Nie powinien był wstawać, nie podobało temu!

– Witaj, drogi bratanku – usłyszał słowa pozdrowienia. – Lepiej się dzisiaj czujesz?

Burgrabia przyjrzał się chłopcu. Był bladejszy niż dawniej, ale też dużo urodziwszy. Wolfgang nie odpowiedział, sprawiał wrażenie oszołomionego i przestraszonego.

Głęboki niepokój i poczucie bezsilności ogarnęły Fryderyka. Był świadom, że chłopiec często przeżywa mroczne okresy. Pamiętał ich wiele – od śmierci matki zdarzało się ich po kilka w ciągu roku. Teraz również niestety rozpoznał w jego oczach tamto napięcie, na siłę skupione spojrzenie – wydawało się, że gdyby wzmógł jeszcze wysiłek, jego twarz rozpadłaby się na kawałki. W burgrabi odezwało się współczucie – i tuż za nim przerażająca chęć do śmiechu; opanował się jednak i ujął Wolfganga delikatnie za ramię. Chłopiec nie stawiał oporu, był osłabiony i nie całkiem przytomny. Nie wygląda nawet na to, by chociaż chciał pojąć, że mi na nim zależy, pomyślał burgrabia. Przecież go pożądam! Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby... Zajrzał mu w oczy, lecz nie odważył się o tym napomknąć.

– Wolfgangu, posłuchaj mnie – rzekł po chwili z wahaniem. – Jutro w miasteczku odbędzie się egzekucja. Kat Schwarz...

Nie zdążył powiedzieć więcej, a miał zamiar go uprzedzić, by nie wybierał się przypadkiem następnego dnia do miasteczka. Schwarz to człowiek budzący strach, egzekucja zaś... no cóż, to nie widok dla chłopca. Wolfgang drgnął. Jak przez obłok mgły ujrzał oczy stryja. Nic już nie rozumiał. Egzekucja? Schwarz? Aha, Schwarz. Wyrwał się burgrabiemu i odszedł, wbijając wzrok w bruk dziedzińca, jak przedtem szary, mokry od śniegu i błota. Pomiędzy kamiennymi płytami dostrzegł ciemniejsze plamy. Początkowo nie skojarzył, co to jest, lecz potem rozpoznał krew. Płynęła szparami przez całą szerokość placu. Zmusił się, by iść dalej, choć poczuł ściskanie w gardle. Mimo woli skierował się ku stajniom. Miał coś powiedzieć stryjowi. Powinien był o czymś pamiętać... co to było? Zatrzymał się przy wrotach, niezdolny uczynić kroku z powodu mdłości i ogarniającego go wstydu. Właśnie wyprowadzano konia. Wielki czarny ogier zarżał głośno i cofnął się gwałtownie przed chłopcem. W tym momencie Wolfgang padł jak długi na płyty dziedzińca.

Łowczy, przed którym osunął się tak niespodziewanie na bruk, niewiele zrazu pojął. Ogier wciąż wierzgał; był uparty i narowisty, zapewne mógł wzbudzać obawę, lecz przecież Wolfgang jeździł na nim na łowy. Bernhardowi nie mieściło się to w głowie. Ukląkł przy chłopcu. Ktoś stanął obok – sam burgrabia Fryderyk – i razem podnieśli go z błota. Łowczy potarł z zakłopotaniem brodę; przestraszył się, twarz Wolfganga bowiem była blada jak śmierć. Nigdy go w takim stanie nie widział. Wargi zdawały się purpurowymi kroplami wobec bieli śniegu, a brwi i włosy nagle zrobiły się jakby ciemniejsze. Przypomniał sobie noc podczas ostatniego polowania, kiedy chłopiec nagle zaczął płakać; z miejsca stał się chłodny i rzeczowy. Wolfgang musi wrócić do komnat, jest chory. Podniósł wzrok. Kilku pachotków na murach przyglądało się zdarzeniu z zainteresowaniem, zza jakichś drzwi gapiło się parę dziewczek. To będzie woda na ich młyn.

– Pomóż mi – sapnął gniewnie burgrabia.

Obaj wnieśli chłopca na górę, do łoża.

Obudził się na własnym pościeliu na dźwięk słów ochmistrzyni. Mówiła, że do zamku przybył ktoś, kto chce się z nim zobaczyć.

– To dziewczka, panie. Stoi na dole, na pierwszym dziedzińcu. Nie chce odejść, a pachotkowie boją się do niej zbliżyć, bo... – zamilkła.

Spojrzała na chłopca, który uniósłszy się na łokciach, wpatrywał się w nią w pełni przytomnym, roziskrzonym wzrokiem.

– Wpuść ją – polecił. – Idź i przyprowadź ją tutaj.

Ochmistrzyni zacisnęła usta w gniewną wąską kreskę, ale wyszła, nie powiedziawszy słowa.

Przez okienko w wieży obserwował, jak brnie przez zasypany murze i znika.

Położył się ponownie i zamknął oczy. Po przebudzeniu zaczął od nowa drzeć, a pod powiekami miał ciągle obraz karego ogiera i krwi, choć teraz jakby w oddaleniu, nie tak dręcząco wyraźny.

Zapadł w drzemkę, obudził go powiew chłodu w komnacie. Ktoś wszedł.

Zuzanna wreszcie została doprowadzona przez krużganki i przejścia na murach na sam podniebny szczyt, na Wieżę Północną. Tylekroć spoglądała na nią z daleka... wprost trudno uwierzyć, że się znalazła w jej wnętrzu.

Teraz w towarzystwie opryskliwej kobiety, która ją tu przywiodła, stała pośrodku jednej z komnat w wieży, przemarznięta do szpiku kości od upartego wyczekiwania u bram zamku.

Wreszcie zauważyła Wolfganga, wyciągniętego z zamkniętymi oczyma na łożu. Postąpiła ku niemu krok, lecz nagle się zatrzymała. Był śmiertelnie blady, wyszczupłał. W komnacie panowała głęboka cisza, która jakby promieniowała od nieruchomego ciała na pościeli, a w powietrzu unosił się ostry, kwaskowaty odór drapieźnych ptaków.

– Czy on jest chory? – spytała.

Ochmistrzyni nie odpowiedziała, obdarzyła ją tylko pełnym zastanowienia spojrzeniem.

– Paniczu Wolfgangu – odezwała się głośno – przyszła katowska córka! – wypluła niemal te słowa z pogardą i opuściła komnatę. Zuzanna podążyła za nią wzrokiem, a gdy się ponownie odwróciła, Wolfgang miał otwarte oczy.

Ochmistrzyni była zawiedziona. Owszem, zdawała sobie sprawę, że w życiu panicza Wolfganga nadejdzie taka chwila, lecz mimo wszystko była zawiedziona.

Ta dziewczyna popsowała jej humor. Córka kata! Jak młody pan może uganiać się za hyclowską córką! Do tego jest jeszcze taki młody! Na pewno młodszy od niej! Zastanawiające. Wzdrygnęła się na myśl, że może już nawet ją posiadał. Nieprzyzwoitość. Chłopska córka – w porządku; służąca – jeszcze lepiej; ale nie córka hycła! Do zamkowych tajemnic należało także i to, że burgrabia Fryderyk od czasu do czasu znajdował upodobanie w chłopcach. Wiedziała o tym dobrze; no, jednak burgrabia uważał, kogo wybiera. Ale hyclówna...! Idąc przez dziedziniec do kuchni, wstydziła się w imieniu wszystkich Falkenburgów. Czują na sobie spojrzenia pacholków, wiedziała, że będą jeszcze więcej plotkowali i wydziwiali na temat chłopca.

Wietrzyła nieszczęście i wcale jej to nie poprawiało humoru.

Wolfgang zawsze ją martwił. Najbardziej od śmierci świętej pamięci pani i od kiedy dostał te drapieźniki, choć wcześniej także. Był zbyt wrażliwy, brał sobie wszystko do serca tak bardzo, że czasami nie potrafił dać sobie z tym rady. Gdy miał osiem, dziewięć lat, przestała nawet opowiadać bajki, bo płoszyły ją obco brzmiące, dziwaczne słowa, którymi je komentował.

Potem zaczęły się nocne ataki. Początkowo, kiedy był mały, niejako niby zapowiedź, miały postać niechęci do zasypiania. Musiała wówczas spędzać z nim przy świetle całe noce. Chłopiec sprawiał wrażenie, że boi się samego snu. Po śmierci pani owe napady koszmarów stały się dużo gorsze, ale też i rzadsze. Ostatnio zaledwie kilka razy w roku zdarzało się, że go nachodziły. Leżał wówczas jak kłoda, obojętny na wszystko – stanowiło to dla niej widok nie do zniesienia. No i nie życzył już sobie żadnego towarzystwa w nocy. Zawsze ją bolało, gdy musiała go opuszczać w najgorszym momencie. Długie dni był potem osłabiony i blady; wyraźnie też chudł przez takie noce.

Na Falkenburgu nikt o przypadłości chłopca nie wiedział, poza nią i burgrabią Fryderykiem. Stary mnich również znał tę tajemnicę, on jednak już nie żył... Od razu uświadomiła sobie, że Wolfgang pozostał sam przy Sebastianie w godzinie jego śmierci i że ten fakt zapewne miał coś wspólnego z ostatnim atakiem. Mrok, w którym się pogrążył, nigdy dotąd nie był tak głęboki.

Na dodatek ta dziewczyna... Ochmistrzyni pokręciła głową. Właściwie powinna była pójść z tym do burgrabiego Fryderyka, lecz wyjechał jeszcze wczesnym popołudniem i nie wróci przed upływem tygodnia. Tuż przed podróżą potwierdził tylko rozkaz przeprowadzenia nazajutrz egzekucji w miasteczku. Pod wieczór przybył kat i wzniesiono szafot. Wzdrygnęła się na wspomnienie Schwarza. Okropny człowiek. A jego córka znajduje się teraz w wieży, do której prawie nikt nie miał dostępu... Znowu pokręciła głową.

Odniósłszy tacę z wystygłym posiłkiem do kuchni, powędrowała ku swojej izdebce. Tam zasiadła do haftowania czepka. Wyszywając pracowicie różany wzór, pozwoliła myślom wić się swobodnie śladem gałązek i płatków, które powoli wyrastały spod jej palców. Nuciała cicho pradawną pieśń o Marii w ciernistych zaroślach i zapomniała, że myśli także potrafią ranić jak ciernie.

Przez dłuższy czas nie odzywali się do siebie. Zuzanna siedziała na brzegu pościeli, niekiedy pochylała się nad Wolfgangiem i gładziła go po włosach. Zwróciła uwagę, że chłopiec nie jest w stanie na dłużej skupić wzroku.

W kominku płonął potężny ogień, a jednak było jej zimno.

– Nareszcie przysłaś – rzekł Wolfgang ochryple. Nocne cierpienie zaczynało znowu brać górę.

– Tak – powiedziała – dotarłam tutaj. Jesteś chory?
– spytała po chwili.

– Nie – skłamał.

I znowu długo milczeli, Wolfgang stawał się coraz bledszy i zagryzał wargi. Zuzanna była bezradna.

– Widzisz tę drabinę? – odezwał się nagle. – Prowadzi na strych – wyjaśnił, gdy skinęła głową. – Gdybyś mogła... być tak dobra i wejść tam... sprowadzić sokoły... – Musiał zaczerpnąć powietrza; ten atak był dużo gorszy niż wszystkie dotychczasowe. – Przynieś je do mnie. I ten worek z kawałkami mięsa... ze stołu...

Podniosła się. Wolfgang poczuł na sobie jej szybkie, spłoszone spojrzenie i opadł z powrotem na poduszki. Zaciśnął zęby, by nie wybuchnąć płaczem. Dlaczego tak często musiał to przeżywać?!

Wróciła z sokołami. Delikatnie pomogła mu je nakarmić. Potem rozmawiał z nimi chwilę, głaskał lekko ich pióra i wtem Zuzanna dołączyła do rozmowy. Od razu wszystko wokół nich pojaśniało, jakby się otworzyło i rozgrzało. Zapomniała, że pachołkowie na dolnym dziedzińcu szydzili z niej i poszeptowali po kątach. Uśmiechnęła się, a chłopcu przyszło na myśl ich pierwsze spotkanie przed Hyclą Zagrodą.

Rozplakał się, po prostu z ulgi. Tym razem to ona ścierała mu palcem płynące po policzkach łzy.

Na takiej rozmowie mijał im czas. Niekiedy dodawali delikatne muśnięcie dłoni i uśmiech. Szybowali.

W ciągu tygodni, które potem nastąpiły, Zuzanna często przechodziła przez miasteczko w drodze na zamek. Straże wpuszczaly ją bez słowa i bez szyderstw, ale ich spojrzenie mówiło wszystko. W całym lennie plotkowano.

Ojciec, który po latach cieszył się na uwolnienie od strasznych obowiązków, pozwalał jej wędrować na zamek, jakby nie całkiem zdawał sobie sprawę z celu tych odwiedzin, chociaż i on wiedział, że ludzie gadają.

Natomiast matka wielokrotnie próbowała rozmawiać z Zuzanną o Wolfgangu. Także do jej uszu dotarły plotki i dobrze zapamiętała nowe wyzwiska, którymi obdarzano dziewczynę. Zuzanna jednak nie chciała słuchać, a kat nie zabraniał jej chodzić. Co kilka więc dni wybierała się w drogę na Falkenberg. A kiedy się stroiła, na jej twarzy pojawiał się wyraz rozmarzenia. I choć nie mówiła, dokąd idzie – wiedzieli.

Zazwyczaj wyruszała pod wieczór, przemykała w pobliżu innych zagród i nie szła prostą drogą przez miasteczko, lecz mijała je bokiem.

W dobrach bowiem wrzało od paskudnych gadek. Bardziej niż przedtem – teraz wszyscy już wiedzieli, że córka hycla odwiedza młodego czarnoksiężnika w Wieży Sokołów. Toteż Zuzanna unikała ludzi.

Wieża Sokołów – tę nazwę wypowiadano z grozą w głosie. Nikt w lennie nie patrzył przez palce na czary i czarną magię. Często się zdarzało, że mistrz Schwarz miał do czynienia z wiedźmami. Owe spektakle były zawsze mile widziane i przyciągały liczną publiczność. A teraz, na domiar wszystkiego, należało przypuszczać, że jego córka jest czarownicą.

Młodego Wolfganga z wieży nie dałoby się łatwo spalić na stosie. Nie mogli też otwarcie z niego szydzić i pomstować. Zresztą nie bywał nigdy w miasteczku. No a poza tym czy można bezkarnie rozsiewać pomówienia na temat młodego człowieka, który wkrótce miał zostać ich panem? Za katowską córką mogli wykrzykiwać do woli – w końcu czynili to zawsze. Stopniowo więc Zuzanna odkryła w sobie wyjątkowe zdolności do wynajdywania takich dróg na zamek, by nikt jej nie dostrzegł.

Wolfgang także zwrócił uwagę na ferment wśród chłopów i w miasteczku. Pewnego razu, gdy jechał na polowanie, ktoś rzucił kamieniem w Feniksa, na szczęście niecelnie. Ludzie odwracali się na jego widok albo zezowali złowróźnie w jego stronę, poszeptując między sobą.

Nie przejmował się tym bardziej niż dawniej, chociaż zauważywszy te reakcje, przestał obierać drogę śródkiem miasteczka.

O poranku, nim się na dobre rozjaśniło, Zuzanna odchodziła. Nie czuł się wtedy samotny; wydawało mu się jakby dziewczyna, choć nieobecna, wciąż z nim przebywała. Rozmawiał więc z sokołami i ćwiczył z nimi na murach w oczekiwaniu następnym odwiedzin.

Świat zewnętrzny znowu się oddalił, chłopak cieszył się że na powrót może spoglądać nań z góry. Tylko jeszcze od czasu do czasu wspominał ojca i przepowiednię astrologa – ale te myśli natychmiast ulatywały. Czuł się jak jeden z sokołów, zadowolony i spokojny.

Nie przeszkadzało mu teraz, że noce są ciemne i długie, a dni mroźne i szare.

III

Burgrabia Fryderyk wrócił na zamek kilka dni po świętym Mikołaju. Pojechał w gościnę na północ i tam znalazł Wolfgangowi nowego nauczyciela.

Podczas pobytu w gródku odkładał ten obowiązek do ostatniej chwili. Dobrze było móc zapomnieć na moment o zamku i chłopcu. Wreszcie nie dało się już dłużej zwlekać i w miejscowym klasztorze benedyktynów wynalazł jakiegoś braciszka. Na imię miał Innocenty-Niewinny – i zgodził się zająć kształceniem Wolfganga, na razie przez rok.

Burgrabia był zadowolony z wyboru. Innocenty miał trzydzieści lat i był bardzo szczupły – zdaniem Fryderyka wprost chudy. Sprawiał wrażenie rozsądnego i uczonego, choć w zupełnie odmienny sposób niż ojciec Sebastian; dużo bardziej surowy i zasadniczy, zaciskał szczęki z wyrazem zdecydowania. Dawny preceptor, stary, roztargniony, wydawał się Fryderykowi zbyt łagodny. Innocenty natomiast stał, jak można było mniemać, obiema nogami solidnie na ziemi.

Benedyktyn miał kruczoczarne włosy, szare oczy i twarz o ostrych rysach.

Burgrabia zdążył już porozmawiać z nim o chłopcu. W zasadzie, powiedział, jest trochę niezwykły i pod wieloma względami trudny. Nie wyjaśnił jednak dokładnie, co go w nim niepokoi, choć sugerował, że jest o co się martwić. Dodał także, żeby nie zrazić nauczyciela, że stary Sebastian zawsze podkreślał zalety umysłu Wolfganga.

Innocenty zaś, który wyglądał na zasobnego w wiedzę i jednocześnie zdolnego do czynu, wspomniał, iż miewał uprzednio opornych uczniów. Zadowolilo to wielce burgrabiego, który w ten sposób uspokojony mógł wracać na zamek.

Podczas podróży wspominał brata. Minął święty Mikołaj; teraz już żaden statek nie opuści portu w obawie przed zimowymi sztormami. Żadne też nowe wieści o krucjacie nie dotarły do burgrabiego. Kiedyś w Ulm, przed z górą rokiem, dowiedział się od jakiegoś obdartusa, że Henryk nie żyje albo jest ciężko ranny. Pachoł był jednak pijany i może nawet nie należał naprawdę do wojsk krzyża, jedynie podążał ich śladem.

Podczas pobytu na północy burgrabia Fryderyk próbował jak najmniej zastanawiać się nad bratem i jego synem; i nawet mu się to udało. Przygotowano wiele zajęć i rozrywek, można było zakosztować tylu cielesnych uciech. Na szczęście nie towarzyszyła mu żona. Teraz jednak, gdy coraz bardziej zbliżali się do Falkenborga, myśli o Wolfgangu, podobnie jak o bracie, ponownie go osaczały.

O jak dobrze, że wszech miar dobrze być panem siebie, bez ciężącej obecności grafa Henryka. Jeśli nie brać pod uwagę chłopca. Na Trzech Króli jednak...

Burgrabia Fryderyk wszak bardzo dobrze wiedział, że w dalszym ciągu to on rozkazywałby w dobrach i zarządzał nimi wedle własnego uznania, i że chłopiec by się w to, jak zresztą dotąd, nie mieszał. Jednak nie podobał mu się pomysł, by z każdym dokumentem, pod którym potrzebna była pieczęć, biegać do Wolfganga; by zasięgać jego rady i opinii oraz liczyć się czasami z odmową. A przecież stopniowo chłopak coraz częściej decydowałby sam...

To tak jakby pojawił się nowy graf Henryk. Burgrabiemu znowu stanęło przed oczyma podobieństwo Wolfganga do ojca – ich obraz zlewał się niemal w jedno.

Teraz, poza domem, oswoił się już z myślą o Dłoni. Prawie o niej zapomniał, jak się obłąskawia lub odpycha złe wspomnienia. Jednak w miarę jak się zbliżali do Falkenborga, coraz częściej przypominał sobie, że jest, czyha nań, gotowa w każdej chwili go pochwycić.

Z czasem uświadomił sobie, że Dłoń oznacza wybór: jeśli postąpi według jej podszeptów, Wolfgang umrze. Mógł go zabić bez trudu, przy pierwszej lepszej okazji. Nic łatwiejszego. Zabić nie tylko po to, aby zapewnić sobie władzę nad zamkiem i ziemią; także by pozbyć się z duszy owej Dłoni. To jedna możliwość.

Ale można też postąpić inaczej. Chłopiec jest urodziwy, a on go pożąda... I tego się właśnie najbardziej obawiał. Odnosił bowiem wrażenie, iż Wolfgang sprawuje nad nim władzę, nawet na odległość, z wyżyn swej

wieży. I tak wszystko powoli obracało się wokół chłopca, sokołów i wieży, również uczucia Fryderyka i pożądanie, myśli i sny. Zwłaszcza złe sny.

Pewnej nocy śnił, że kocha się z Wolfgangiem; we śnie chłopiec zachowywał się tak samo, jak owego przedpołudnia w kancelarii. Nieoczekiwanie jednak zaszła w nim zmiana. Burgrabia nachylił się właśnie, by go pocałować, i ujrzał, że ni stąd, ni zowąd chłopak ma bardzo jasne włosy i niebieskie oczy. Już nie był sobą, choć równocześnie nim pozostał. Wszystko w tym obcym było Wolfgangiem, zmieniła się jedynie twarz. Burgrabia już ją kiedyś widział – tylko nie pamiętał gdzie – i obudził się z lękiem.

Wybór. Więc w jednej chwili Fryderyk nie miał wątpliwości, że pozbawi bratanka życia, a w drugiej z równą pewnością wiedział, że nigdy tego nie uczyni.

Takim to wahaniom podlegały myśli i wola Fryderyka w powrotnej podróży z północy, a mnich Innocenty zapewne utwierdził się w przekonaniu, iż burgrabia jest człowiekiem wielce małomównym.

Może nowy preceptor wniesie coś nowego, znajdzie jakieś rozwiązanie? Pewien rys w osobowości mnicha pozwalał żywić taką nadzieję.

Zamordowanie chłopca – to byłaby obraza boska. Ostatnimi czasy jednak burgrabia Fryderyk dochodził do wniosku, że ktoś przecież musiał także dopuszczać się złych uczynków, by na ziemi w jakiś sposób została zachowana równowaga. Jego lepsze ja natychmiast odsuwało podobne myśli – nie można tak wystawiać na szwank własnego zbawienia. Jednak mimo to... mimo wszystko...

Ilekroć postanawiał zabić Wolfganga, wypełniał go ów niesamowity śmiech. Opanowywał się natychmiast, lecz mnich Innocenty zauważył kilka razy, jak przez jego oblicze przemyka zastanawiający, dziwny, jakby zastygły grymas.

A zaraz potem – kiedy oddalał tę myśl – robiło mu się mroczno na duszy. Nie zabić było dużo trudniej niż zabić.

To w tę, to w tamtą stronę odchylało się wahadło, w dzień i w nocy, we śnie i na jawie. Nie do wytrzymania.

Ledwo zajechali na zamek, burgrabia wezwał do siebie Wolfganga. Przyjął go w kancelarii bez świadków.

– Niech będzie pochwalony, chłopcze.

– Na wieki wieków, stryju. Witajcie na powrót w domu – przyjaźnie, lecz bez głębszego przekonania odparł Wolfgang.

– Przywiozłem ci nowego nauczyciela. Chciałbym, żebyś go jak najrychlej poznał. Nazywa się ojciec Innocenty; to wielce uczonego benedyktyn. Mówiono mi, że jest zdolnym matematykiem. A sztuka liczenia przyda ci się, gdy będziesz rządził zamkiem i włościami – powiedział dobrotliwie burgrabia.

Wolfgang zauważył, że stryj pobladł przy tym, a spojrzeniem uciekł w bok.

– Stryju – zaczął, bo nagle o czymś sobie przypomniał – jest taka sprawa... z dniem Trzech Króli uwolniłem od obowiązków kata Schwarza. Musisz rozejrzeć się za kimś, kto przejmie jego zadania.

Burgrabia Fryderyk nie wierzył własnym uszom.

– Co zrobiłeś?! – ryknął rozszalony.

– Zwolniłem Schwarza z funkcji kata z dniem osiągnięcia przeze mnie dojrzałości.

Fryderyk spojrzał nań z niedowierzaniem. Więc to tak! A niby miał bujać w obłokach! Mały dziwak, co to nie zajmuje się sprawami wykraczającymi poza obręb wieży!

– Nie pytaj dlaczego – dodał jeszcze chłopiec – po prostu tak chcę.

Burgrabia Fryderyk przełknął przygotowane zdanie. Tego już za wiele! Wolfgang patrzył nań dobrze znanym, obojętnym, jakby nieobecny spojrzeniem. Nie dało się odgadnąć, co za diabeł w nim siedzi.

– Noo... – zaczął wreszcie burgrabia. – No dobrze. W porządku. Zapewne dosyć odpokutowałeś...

Sytuacja się wiksłała. Chłopak jeszcze nie osiągnął dojrzałości, a już zaczyna podejmować decyzje – nawet nie pytając opiekuna o zdanie. Fryderykowi przypominał się jak żywy brat i odczuł to jako głęboką niesprawiedliwość.

Posyłając po bratanka, był pełen ciepłych uczuć, a w głębi duszy wzięła górę jego dobra, łagodna strona. Teraz jednak z nagłą zawładnął nim mrok – i Dłoń. Poczłł niemal niepohamowaną potrzebę, by chwycić Wolfganga za gardło i nie czekając na nic, wycisnąć zeń życie! Poszedł jednak po rozum do głowy,

rzucił kilka słów o podróży, na które ani on, ani Wolfgang w rzeczywistości nie zwrócili uwagi, i tak się rozstali. Kiedy chłopiec odszedł, Fryderyk długo analizował, co się właśnie stało. Wydało mu się, że z labiryntu, w którym się znalazł, nie ma wyjścia. Na koniec ukląkł i spróbował się modlić, lecz wydobył z siebie zaledwie kilka niezrozumiałych dźwięków. Zwątpienie i oszołomienie były zbyt silne, by potrafił jasno myśleć.

– Dosyć! – wyszeptał. – Kiedy to się wreszcie skończy?!

Wzbierał w nim szloch. Podniósł zaciśnięte pięści... A potem opuścił...

Wolfgang zszedł właśnie ze strychu, od sokołów i wślizgnął się do łóża, gdy usłyszał pukanie. Zaskoczony wstał, owinął się opończą i podszedł do drzwi. Przez chwilę miał nadzieję, że to może astrolog, bo w podobny sposób kiedyś się pojawił. Albo ojciec...

W progu stał stryj.

Wszedł i poprosił, by zamknął drzwi. Chłopiec zapalił światło i ruchem dłoni wskazał krzesło, lecz stryj nie usiadł, tylko rozejrzał się po wnętrzu.

Pelgające światelko kaganka rzucało długie ruchome cienie na białe ściany. Burgrabiego uderzyła panująca tu cisza, jakby się znajdował na szczycie góry.

Odwrócił się ku chłopcu, stojącemu na środku z pytaniem w oczach.

Właściwie przyszedł tutaj, by... no właśnie, po co się tu w gruncie rzeczy wybrał? By z nim porozmawiać? By znaleźć ucieczkę od dręczących myśli? Nie, gdy się głębiej zastanowił, doskonale zdawał sobie sprawę, w jakim rzeczywistym celu się tu zjawił. Podszedł bliżej, a w oczach Wolfganga odbiło się zdziwienie. Ostrożnie położył mu rękę na nagim ramieniu i przesunął nią w dół do nadgarstka. Chłopiec przełknął ślinę.

Znowu działo się z nim coś, czego nie pojmował. Ogarniało go z potężną siłą, wprawiało w popłoch, lecz jednocześnie napełniało swego rodzaju trwożną radością.

Wtem stryj pochylił się nad lampką i zdmuchnął płomień. Ponownie zbliżył się do bratanka.

Wolfgang czuł, że odpływa w mrok, że traci świadomość, i jeszcze zanim objęły go ramiona mężczyzny, osunął się w nie, osłabły i bezwolny. Zdawało mu się, że to sama ciemność wodzi dłońmi po jego ciele, i wszystko – od rozkoszy po życie i śmierć – spoczywa w jej ręku...

W kilka dni po opisanych wydarzeniach do Wieży Północnej wkroczył mnich Innocenty, by rozpocząć regularne lekcje.

Należał do ludzi, którzy potrafią zasięgnąć języka na temat czekających ich zadań i dokładnie zbadać teren, na którym przyjdzie im się poruszać. W krótkim okresie swojego pobytu na zamku przysłuchiwał się z niezwykłą uwagą wszystkiemu, co opowiadano o Wolfgangu i jego sokołach.

A to, co usłyszał, obudziło jego czujność.

Dlatego też z dużą podejrzliwością po raz pierwszy wspinał się na wieżę. I rzeczywiście – chłopiec siedział na karle pośrodku komnaty, a ptaszyska wokół niego jak na grzędzie, dwa na oparciu, jeden na skrzyni, a jeden na ramieniu. Ten ostatni dotykał niemal dziobem twarzy Wolfganga i mnich odniósł wrażenie, że wchodząc przerwał im rozmowę. Na chwilę poddał się najwyższemu zdumieniu, lecz zaraz twarz mu zobojętniała.

Właściwie domysły Innocentego nie były pozbawione racji. Przez ostatnie dni po wieczornej wizycie burgrabiego Wolfgang czuł się kompletnie wytracony z równowagi. Następnego poranka obudził się w łóżu, nie pojmując, gdzie się podział stryj. W mdłym świetle świtu było mu dziwnie na duszy; wspomniawszy słowa astrologa, że jego własne przeznaczenie skrzyżuje się tej zimy z losem Fryderyka. Od tamtej nocy towarzyszyła mu stale obawa, by więc uchronić się od samotności, wiele rozmawiał z sokołami.

Gdy mnich wszedł do komnaty z księgami pod pachą, podniósł wzrok i odesłał sokoła z ramienia.

– Witajcie, ojczy – pozdrowił gościa.

Z ciekawością przypatrywał się nowemu preceptorowi. Jaki też jest? Na ile różni się od ojca Sebastiana?

– Witajcie, paniczu Wolfgangu – mnich odwzajemnił powitanie i bez dalszych wstępów rozpoczął lekcję.

Bardzo odbiegała od oczekiwań chłopca. Jak się później okazało, Innocenty miał głowę zwłaszcza do dwóch przedmiotów. Jednym była teologia – żaden bowiem chrześcijanin nie powinien na tym polu wykazywać niewiedzy – drugim zaś arytmetyka. Mnich tresował Wolfganga w liczeniu, aż się chłopcu kręciło w głowie.

Do nauki o Biblii należała oczywiście łacina, jednak łacińskich i greckich poetów benedyktyn znał kiepsko, nie był też mocny w pisaniu.

Jeszcze jedna rzecz różniła nowego od ojca Sebastiana, a mianowicie dużo regularniejsze używanie trzciny. W pierwszych dniach ani słowem nie wspominał o chłoscie, lecz stopniowo ten dyscyplinujący zabieg pojawiał się coraz częściej.

Ojciec Innocenty posiadał pewne przyzwyczajenie, które pozwalało Wolfgangowi zauważyć, kiedy mnich zbliżał się do granic cierpliwości. W irytacji bowiem zaczynał gładzić palcami jednej ręki wnętrze drugiej. A potem sięgał po trzcinę.

Wolfgang nie lękał się wprawdzie jednego czy dwóch razy, zwłaszcza jeśli zawinił bujaniem w obłokach, ale ojciec Innocenty bił często i mocno. Wystarczył jeden mały błąd i mnich natychmiast zaczynał powolnym, delikatnym ruchem gładzić wnętrze dłoni. Przy następnym błędzie chłopak musiał się ukorzyć i w robotę szła trzcina. Nieraz się także zdarzało, że Innocenty wymierzał mu karę, chłoscząc po rękach. Wolfgang szybko się zorientował, że z opuchniętymi bądź poranionymi dłońmi miałby trudności z utrzymaniem sokołów, toteż po kilku próbach zabronił nauczycielowi na przyszłość takich praktyk.

Wtedy Innocenty po raz pierwszy wybuchnął gniewem. Zagroził, że pójdzie na skargę do burgrabiego Fryderyka, lecz pewny swego chłopak powtórzył zakaz, powołując się na swą pozycję. Mnich zaskrzeczał coś o bezczelności i zarozumiałości i ponownie wspominał burgrabiego. Wolfgang był na to głuchy. Wiedział, że nowy nauczyciel nie odważy się poskarżyć stryjowi. Ojciec Sebastian nigdy nie miał poważniejszych powodów do narzekania na jego postępy w nauce, toteż burgrabia Fryderyk zapewne nie miałoby się zdziwić, gdyby nowy preceptor po niespełna tygodniu zarzucał coś bratankowi. I skończyło się chłostanie po rękach.

Mnich zachował jednak urazę do Wolfganga, karząc go jeszcze częściej i dotkliwiej niż dotychczas, na co chłopak godził się bez mrugnięcia okiem; nie skarżył się. Był wprawdzie wrażliwy na ból, ale nauczył się już bronić przed nim, tak jak przed zimnem, i potrafił odebrać chłostę nie pokazując nic po sobie. Preceptora natomiast złościło, że jego uczeń przyjmuje razy bez jęku i nie błaga o zmiłowanie. Podobnie działały nań opanowanie i obojętność Wolfganga. Gdy Innocenty zjawiał się na lekcję, chłopiec robił, co do niego należało: czytał na głos, rozwiązywał zadania i odpowiadał na pytania grzecznie, lecz chłodno. Lecz jeśli tylko mnich zechciał porozmawiać na temat nie związany z nauką, na przykład o sokołach – co mu szczególnie leżało na sercu – chłopak stawał się głuchy i niemy. A przecież Innocenty miał również być jego spowiednikiem! Nie, stanowczo coś tu nie było w porządku!

Im bardziej więc milczący robił się Wolfgang, tym bardziej Innocenty go nie znosił; ptaków, oczywiście, także. Doszedł do wniosku, że ludzie mieli rację. W zażyłości chłopca z sokołami czuło się coś nadnaturalnego, coś z magii. Stopniowo poświęcał takim myślom coraz więcej czasu – był bowiem mężem obowiązkowym i oddanym sprawie, który swe zadanie traktował z całą powagą. A zaczął się troskać o zbawienie duszy Wolfganga. Serdecznie mu również zależało, by ten temat poruszyć z burgrabią Fryderykiem – ale na to jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Poza tym burgrabia był zamknięty w sobie i niełatwo rozpoczynało się z nim rozmowę.

Tymczasem więc karał chłopca, ile wlezie, by w ten sposób wypędzić diabła przynajmniej z jego ciała.

Uczucie niechęci było wzajemne. Wolfgang bardzo nie lubił Innocentego i trochę się martwił, co mu może przyjść do głowy na wieść o regularnych odwiedzinach Zuzanny w wieży. Minęło jednak sporo czasu, nim do tego doszło, bo zbliżało się Boże Narodzenie i nastał okres przygotowań, tak w zamku, jak i w całym lennie. Ludzie mieli więc dość roboty, by tyle nie plotkować.

W Wigilię zebrali się w kościele wszyscy parafianie. Wierni stali pod ścianami, a nawet na schodach – taki panował ścisk.

Choć był to wigilijny wieczór i wnet na ziemię miał zostać zesłany pokój – przed i po nabożeństwie szło przez tłum poszeptywanie. Jeden z drugim dzielił się uwagami, a dotyczyły one Wolfganga i Zuzanny.

Powód zaś okazał się następujący: Po pierwsze, gawiedz dowiedziała się – z tego czy innego źródła – że Wolfgang nakazał stryjowi, by ten uwolnił kata Schwarza od obowiązków. Burgrabia Fryderyk nie był uwielbiany przez mieszkańców lenna, w porównaniu jednak z Wolfgangiem i sławą, którą ów z wolna

zaczynał się cieszyć w okolicy, mógł uchodzić za najczystsze, najbielsze anioła. Dlatego też ludzie uważali za niesłychane, żeby taka rzecz miała miejsce – po prostu niesłychane.

W swej wędrówce od ucha do ucha plotka przybrała takie rozmiary, że na koniec szeptano, iż młody pan zagroził stryjowi użyciem czarów i nasłaniem nań sokołów, jeśli nie stanie się zadość jego woli.

Po drugie, przed kościołem Wolfgang i Zuzanna zupełnie niespodziewanie stanęli twarzą w twarz. Wszyscy mogli poświadczyć, że nagle oboje się zatrzymali i długo patrzyli sobie w oczy, by dopiero potem życzyć wesółych świąt.

U samych bram świątyni!

Wśród parafian znaleźli się i tacy, którzy podnieconym szeptem wywodzili, iż takiemu grzesznikowi jak Wolfgang powinno się zakazać wstępu do domu Bożego. O dziewczę nie warto nawet wspominać. Wszyscy wiedzieli, że jest wiedźmą jak matka i babka!

W tłumie za plecami wchodzącego do kościoła Wolfganga prawdziwie wrzało i gdyby choć w najmniejszym stopniu przypuszczał, co o nim mówią bądź myślą, miałby podstawy do obaw. Nie zwracał jednak na to uwagi, dla niego bowiem zgromadzeni tutaj ludzie stanowili jedynie szarą uciążliwą ciżbę, którą ze wszystkich sił starał się wymazać z pamięci. Dlatego po pasterce na czele orszaku wrócił beztrąsko na zamek.

Dla Zuzanny mogło się to skończyć o wiele gorzej, bo kiedy wychodziła z rodziną z kościoła, tłum przybrał groźną postawę. Nikt jednak nie odważył się na zaczepki, bo przecież towarzyszył im mocarny Schwarz, a poza tym była Święta Noc. Toteż zadowolili się – na ten raz – twardym spojrzeniem, rzuconym dziewczynie i jej najbliższemu. A potem wszyscy, świeżo pobłogosławieni i zadowoleni, rozeszli się do domów.

Jedynie mistrz Schwarz, gdy kroczyli przez zbity tłum, zauważył grożące im niebezpieczeństwo. Niemal po próg chaty czuł na plecach złowróżbny wzrok ludzi. Bał się o Zuzannę.

O Zuzannę – jego jedyną, piękną, śnieżnobiałą dziecinę.

Wiele uczt wyprawiono podczas świąt na Falkenburgu, lecz burgrabia Fryderyk i Wolfgang nieczęsto się na nich pokazywali.

Na ogół pani Eleonora samotnie podejmowała gości z bliska i z daleka; widziała, że nie uchodzi ich uwagi brak burgrabiego i jego bratanka za stołem i że myślą swoje.

Przez ostatnie miesiące sama mocno odczuła zmianę w mężu. Fryderyk bywał od czasu do czasu trudny w kontaktach, lecz pani Eleonora nie pamiętała go jeszcze tak chmurnym i zobojętniałym na wszystko: na nią, na zamek i na ziemię.

Pojęła również, iż ma to związek z Wolfgangiem. Serdecznie więc przeklinała w duchu chłopaka, nie nazywając wszakże rzeczy po imieniu. Rozumiała, że Fryderyka dręczy perspektywa oddania niepodzielnej władzy nad lennem i zamkiem, z chwilą gdy Wolfgang osiągnie dojrzałość. Jej także to nie odpowiadało...

Była zadowolona z pozycji pani na włościach, towarzyszy i pomocnicy małżonka; zawsze ceniła okazywany sobie szacunek – jak teraz podczas świątecznych zjazdów.

Za kilka jednak lat, gdy chłopiec dorośnie na tyle, by założyć własną rodzinę, skończą się te zaszczyty. Będzie wtedy musiała zadowolić się niższym miejscem przy stole, nie tak jak obecnie, u boku najwyższego.

Dość wcześnie zaczęła też życzyć Wolfgangowi śmierci. Nie posunęła się aż tak daleko, by czynić w tym kierunku jakieś kroki, lecz kiedy zmarła matka chłopca, wnet poczęła roić sobie, jakie korzyści mogą płynąć z upadku z konia i złamania karku bądź ze śmierci od zarazy. Wolfgang nie stał się – jak teraz – obiektem jej nienawiści, ale sama siebie przyłapywała na marzeniach, żeby go po prostu nie było! Za każdym razem, gdy obserwowała, jak troski męczą i wyniszczają Fryderyka, rosła w niej nienawiść do chłopca. Krążące o nim plotki nie poprawiały sytuacji. Nie chciała się mieszać, lecz uważała, że to wstyd, niesłychany wstyd, by Wolfgang ściągał złą sławę na ród i szargał dobre imię Falkenburgów. Pewnie i z tego powodu w te święta przybyło mniej gości – prawie wyłącznie mieszkańcy lenna.

Pani Eleonora odwiedziła wieżę dotąd zaledwie kilka razy i nie mogłaby przyznać, że zauważyła tam ślady jakichś ponadnaturalnych działań. Obawę budził jedynie sposób, w jaki Wolfgang otaczał się sokołami i je traktował. Nie zdziwiłaby się, gdyby za tym stały czary. Zapamiętała także swój lęk przed chłopcem i ptakami; do dziś tkwił w niej jak zadra.

To także było przyczyną marzeń o pozbyciu się chłopca na dobre.

Takie myśli krążyły pani Eleonorze po głowie, gdy za świątecznym stołem na Falkenborgu podejmowała wysoko i niżej urodzonych gości.

Paradna sala była wypełniona po brzegi, trwały rozmowy, śpiewy i tańce. Wszyscy okazywali pani Eleonorze należną cześć, chociaż krzesło burgrabiego stało puste. To się jej podobało, przypominało czasy sprzed zaledwie kilku lat, tuż po śmierci małżonki grafa. Chciałaby, żeby się powtórzyło i dziś: by mogła siedzieć w tej sali zadowolona i szczęśliwa, obok Fryderyka, by chłopiec, odprowadzony do łóżka czy gdzie indziej, nie zatruwał nastroju, by go po prostu nie było.

Nagle – w samym środku marzeń – otworzyły się podwoje i do sali wkroczył burgrabia Fryderyk.

Halabardnik stuknął drzewcem w posadzkę i zapadła cisza; gdy małżonek szedł ku niej przez środek komnaty, wszyscy pochylali głowy w ukłonie.

Nie spodziewała się go. Wcześniej w ciągu dnia zapowiedział, że nie ma siły uczestniczyć w uczcie, że jest chory. Lecz oto zbliżał się ku niej, z mrocznym, rozbieganym spojrzeniem, choć w purpurowym płaszczu i z mieczem u boku. Powstała więc i dygnęła przed nim dwornie.

– Cieszę się, że mimo wszystko zechciałeś przyjść – szepnęła, muskając ustami jego policzek – Siądź, poweselmy się dzisiaj, choć ten jeden raz.

– Nie przyszedłem się tu weselić – odparł zmęczony, chłodnym tonem. – To należy do moich obowiązków. Tak mi to wszystko ciąży na duszy. Krążę bez końca po wielkich, pustych komnatach i nie mogę odnaleźć ukojenia.

Nie musiał nic dodawać. Zauważyła jego desperację; podejrzewała, że płakał, a może był to tylko skutek wina. Zasiadł za stołem i ucztą potoczyła się dalej, a humory po nadejściu burgrabiego stanowczo się poprawiły.

Wcześniej tego wieczora Fryderyk próbował zasnąć. Położywszy się, zapadł w niespokojny sen. Znowu pojawił mu się przed oczyma Wolfgang i znowu jego twarz się przemieniała, a włosy stawały się jasnozłote. Burgrabia starał się ocknąć, wyrwać z koszmaru, lecz nie zdołał; w końcu poczuł się chory z przerażenia. Ostatnio często prześladował go ten sen. Dopiero tu, w paradnej sali poczuł się lepiej.

Raptem, ku ogólnemu zdumieniu, w tych samych podwojach, w których kilka minut wcześniej pojawił się stryj, stanął Wolfgang. Ponownie wszyscy pochylili głowy w ukłonie, a zbrojni mężowie oddali mu pozdrowienie należne panu lennemu, co wielce ubodło burgrabiego.

W pierwszej chwili chłopiec zdawał się zaskoczony, jakby w ogóle nie miał pojęcia, że w rycerskiej sali odbywa się ucztą, ale zaraz skierował się lekkim, szybkim krokiem ku głównemu miejscu za stołem. Na ramieniu siedział mu Bezimienny, przyglądając się nieodgadnionym wzrokiem strojnie przybranym gościom. Wolfgang również miał w sobie coś z owej zagadkowości: stryjowi wydało się, że chłopiec bardzo przypomina sokoła. Ciemnozielone oczy połyskiwały pod czarnymi brwiami jak osobliwe, lekko przydymione klejnoty.

Kiedy stanął u szczytu stołu, burgrabia z bólem w sercu uświadomił sobie, że on także musi teraz, jak inni, wstać i złożyć ukłon. Z przykrością spełnił tę powinność. Spojrzawszy na małżonkę, spostrzegł, że i ona odczuwa to samo. Wolfgang siadł, a stryj zdał sobie nagle sprawę z bliskości czarnej Dłoni.

Przerwana ucztą toczyła się dalej, choć po kątach już szepiano.

Czego oni ode mnie oczekują? – myślał burgrabia. Co mam uczynić? Rzeczywiście, zdawało się, że wszyscy tylko czekają, by u szczytu stołu zaczęło się coś dziać. A może to sobie tylko wmawiał? Że też chłopak musiał akurat zejść z tej swojej wieży! To chyba czary!

Nie pozostawało jednak nic innego, jedynie siedzieć układnie za stołem. Burgrabia jeszcze bardziej sponępniał. Na mgnienie oka pochwycił spojrzenie Innocentego. Mnich zajmował miejsce w dolnym rogu stołu, nie brał udziału w rozmowie. Rozglądał się dookoła czujnie i bystro, a Fryderyk ponownie odniósł wrażenie, że ma on do spełnienia jakąś rolę. Wtem stało się to całkiem pewne. Spuścił wzrok. To Dłoń naprowadziła go na tę myśl; znowu pojawiła się gwałtowna potrzeba śmiechu. Chciał się zanieść okrutnym, nieopanowanym chichotem; jednak się pohamował.

Po pewnym czasie na środek wystąpił młody trubadur z miasteczka.

Burgrabia Fryderyk westchnął w duchu. Cóż to znowu za pomysły! Nie był teraz w nastroju do słuchania poezji! Zazwyczaj hojnie wynagradzał dobrych śpiewaków, jednak tym razem chętnie by trubadura przepędził.

Młodzieniec skłonił się i bez żadnych wstępów, ze szczególnym błyskiem w oku, który obudził czujność burgrabiego, zaczął śpiewać.

*Graf Henryk pociągnął we wschodnie krainy.
Zanućmy hop, hop, tralala!
U boku cesarza siekł mieczem pogany.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*Graf Henryk zaginął wśród piasków pustyni,
Zanućmy hop, hop, tralala!
A brat przejął po nim grafowską dziedzinę.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Nerwowa cisza zapadła nagle wśród gości. Wszyscy patrzyli na Fryderyka. Trudno było odczytać wyraz jego twarzy.

*Lecz niełatwo tak raz, dwa, trzy,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Zostać grafem jak się patrzy.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Trubadur przerwał i sprawdził, czy wszyscy słuchają, a potem skierował wzrok na główne miejsce za stołem.

*Fryderyk, burgrabia, był mądrym człowiekiem,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Lecz jedną przeszkodę pominął niestety.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*Na północy, w górze – na zamkowym murze,
Zanućmy hop, hop, tralala!
O tam mieszkającej zapomniał figurze.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Ktoś się roześmiał. Fryderyk i Wolfgang poderwali się jednocześnie, jakby nagle przebudzeni. Zaraz jednak z pozorną obojętnością opadli na siedzenia.

*Sokolnik dziwny mieszkał tam,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Samotny tego zamku pan.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Fryderykowi pociemniało w oczach. To przekracza...!

*Młody i piękny sokoli książę,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Myśl Fryderyka dzień i noc wiąże.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*A w zamku wszyscy dobrze wiedzą,
Zanućmy hop, hop, tralala!
O tajni, którą skrywa wieża.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*I w lennie powoli rozchodzi się słuch,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Że w Wieży Sokolów zamieszkał duch!
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Wolfgang poderwał się znowu. W pamięci mignął mu ów wieczór na dolnym dziedzińcu, gdy po raz pierwszy usłyszał, co ludzie o nim powiadają.

*Bo nikt we włościach nie chce przecie,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Na łup sokołom wydać dzieci.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*Burgrabia serce ma ciężkie jak ołów,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Wszak sam nie jest wcale panem sokołów.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej.*

*A gwiazdy powoli zataczają krąg.
Zanućmy hop, hop, tralala!
Fryderyk sam nie brudzi rąk.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

Wśród gości podniósł się szum. Któż to ośmiela się mówić tak otwarcie – nawet w błazeńskiej śpiewce? Odważny chłopak z tego trubadura!

*Lecz to nie koniec mej powieści,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Choć reszta w krótkiej zamyka się treści.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*Parafianom w lennie gładko się wymyka,
Zanućmy hop, hop, tralala!
Tajemnica pewna pana Fryderyka.
Zanućmy, druhowie, hop, tralala, hej!*

*Bo w nocy burgrabia do wieży się skrada,
Zanućmy...*

– Milcz! – Fryderyk ryknął, aż echo poszło od kamiennego sklepienia.

Piosnka zgasła, tylko struny lutni jeszcze cicho pobrzękiwały.

– Milcz! – powtórzył.

W sali zapadła śmiertelna cisza. Na krzyk burgrabiego zamarł wszelki ruch. W komnacie czuć było zmieszanie: cóż właściwie dotknęło tak Fryderyka? Trubadur zaczął nową zwrotkę... jakieś nowe zdanie... i wtedy... Burgrabia był tak wściekły, że chwycił półmisek i cisnął w śpiewaka, który uchylił się zgrabnie. Ciężkie srebrne naczynie upadło z brzękiem na stół w drugim końcu sali.

Goście siedzieli jak sparaliżowani. Nie do pojęcia...! Przecież pieśń przede wszystkim mierzyła w Wolfganga...?

Trubadur wyprostował się i z krzywym uśmiechem posłał burgrabiemu długie, twarde spojrzenie. Potem przesunął wzrokiem dalej, ku szczytowi stołu; tam również zwrócili się wszyscy zebrani.

Wolfgang siedział z kamienną twarzą i nikt nie potrafił odgadnąć, co sądzi o pieśni. W rzeczywistości zaś czuł się dość zakłopotany. Ktoś widocznie musiał usłyszeć lub podejrzeć, co się stało – na wieży, w kancelarii albo na schodach.

Wreszcie podniósł się z ociąganiem i stanął przy stryju, który do tej pory jeszcze nie opuścił ręki po rzucie półmiskiem.

Wolfgang miał wrażenie, że powinien coś młodemu trubadurovi powiedzieć; mgliście przypominał sobie, iż do obowiązków rycerza lub księcia należy pochwała śpiewaka bądź błazna za prześmiewki. Nawet – a może zwłaszcza wtedy – jeśli są skierowane przeciwko ich osobie.

Dlatego też sięgnął do sakiewki i odezwał się do młodzieńca – tak cicho, że po ryku stryja wydało się to w wielkiej sali szeptem.

– Jak cię zowią, poeto?

– Jürgen, panie – odparł śpiewak, uśmiechnąwszy się szyderczo.

Przypominał Wolfgangowi lisa. Prawdziwie sprytnego lisa chytrusa. Lisim czynił go także rudy strój.

– A więc, Jürgenie, przyjmij to w podzięcie za twą pieśń – rzucił trubadurovi na chybił trafił kilka monet.

Nieustraszony śpiewak skłonił się z galanterią kolejny raz i począł zbierać srebro. Do tej pory nikt się jeszcze nie poruszył. Co ten chłopak wyrabia?

Bard Jürgen złożył ukłon zamarłej publiczności, a Wolfgang zaklaskał w dłonie.

– Klaszczcie! – zawołał. – Czyż nie nagrodzicie śpiewaka oklaskami, dobrzy ludzie? Wszak wiecie, że błazen i trubadur są nietykalni! – ponownie zaczął uderzać w dłonie.

Stopniowo przyłączali doń coraz liczniejsi goście, choć ich twarze pozostały poważne. Cisza została jednak w ten sposób przerwana i popłynęły słowa, najpierw szeptane, a potem już coraz głośniejsze. Obecni komentowali i bili brawo, póki Jürgen nie wyszedł z sali, burgrabia Fryderyk nie opadł na krzesło, a Wolfgang nie opuścił dłoni.

Zapanował głośny, bezprzykładny szum. Ktoś rozsądniejszy zawołał o muzykę i wnet w kącie rozległy się dźwięki fletów i szałamaj. Kuchcikowie wnieśli nowe wina i potrawy, by – o ile to możliwe – zapobiec nieco skandalowi.

Głosy wznosiły się i opadały jak fale. Opinie o zajściu były rozmaite. Burgrabia Fryderyk, mówiono, został obrażony; z tego czy innego powodu porządnie nadepnęto mu na odcisk. Mimo to także młodego Wolfganga urażono w pieśni dotkliwie – może nawet dotkliwiej niż stryja. A może jednak nie, powątpiewał

ktoś inny. Bo przecież młody pan pochwalił śpiewaka w obecności stryja, nawet sypnął obibokowi groszem. Dobrze to czy źle? Dlaczego burgrabia się tak uniósł? Dyskutowano na głos, nikt przy niższych stołach nie trzymał języka za zębami, nikt już nie starał się szeptać.

Natomiast u szczytu głównego stołu przydawały trzy nieruchome i nieme postacie. Burgrabia czuł się jak po przegranej walce. W sali biesiadnej, przed wszystkimi szlachetnie urodzonymi, którymi mogło się pochwalić lenno Falkenberg, niemal dosłownie wyśpiewano jego – ale także i Wolfganga – tajemnicę. A chłopak jeszcze chwali wierszokletę i nagradza go srebrem!...

Fryderyk poczuł się skrzywdzony jak nigdy dotychczas. Tak się nie godzi! Koniec z tym! Podniósł się i przeszedłszy wzdłuż ściany z zastygłym, prawie pozbawionym wyrazu obliczem, zniknął w bocznych drzwiach. Nikt tego nie zauważył. Nikt poza ojcem Innocentym.

Mnich zadumał się głęboko. Być może, jedyny spośród gości zebranych w sali miał niejakie pojęcie, o czym mówił tekst ostatniej zwrotki.

Pani Eleonora siedziała jak słup soli. Nie wiedziała, co czynić. Pojęła jednak tyle, że Fryderyk został w straszny sposób znieważony i że przyczynił się do tego Wolfgang. Zanim zdołała jako tako dojść do równowagi, chłopak poderwał się nagle, dopił wino i ruszył do głównego wyjścia. Ponownie załomotały drzewca broni o posadzkę, zaszumiało od ukłonów i dygów, z półgłosnymi komentarzami i sceptycznymi spojrzeniami w tle.

Twarz Wolfganga była równie blada i zamknięta, jak wtedy gdy się pojawił na uczcie. Na jego ramieniu wciąż nieruchomo siedział sokół, bardziej ozdoba na płaszczu niż żywy ptak. W czasie całego zajścia zachował niezwykle spokój, a jego oczy pozostały czarne i błyszczące jak noc.

Wkrótce potem goście zaczęli się rozjeżdżać.

Ojciec Innocenty odnalazł burgrabiego w kancelarii.

Drzwi były otwarte, a w izbie nie zapalono światła. Fryderyk siedział na krześle w świetle żaru z kominka, twarz ukrył w dłoniach.

Nie poruszył się na wejście mnicha.

– Muszę z tobą porozmawiać, mój synu – powiedział cicho duchowny.

Fryderyk odwrócił się powoli.

– Słucham – rzekł.

Znowu poczuł się pewniej, lepiej i bezpieczniej, bo pojął, co teraz nastąpi, i ta myśl go pokrzepiła.

– Jestem gotów się wypowiadać, ojcze – dodał.

Mnich przysunął sobie krzesło do kominka i siadł.

VI. IMIĘ

I

Wczesnym rankiem pierwszego dnia po Nowym Roku w Wieży Sokołów rozległo się pukanie do drzwi. Wolfgang narzucił coś na siebie i otworzył. Na progu stał ojciec Innocenty w towarzystwie dwóch innych mnichów, których imion nie znał, acz twarze ich widywał na ulicach miasteczka i w kościele.

Zaspanym głosem spytał, czego sobie życzą – dzień był świąteczny i lekcje nie wchodziły w grę; ogarnęło go przeczucie, że coś się szykuje.

– Ależ panie! – słodko-kwaśnym tonem napomniał go Innocenty. – Nie wpuścicie nas do środka?

Bez słowa dał im wolną drogę.

Trzej duchowni ostrożnie postąpili naprzód; dwaj nie znani mnisi, trochę zdenerwowani, rozejrzeli się niepewnie.

– Spocznijcie, proszę – rzekł Wolfgang.

Cała trójka ani nie siadła, ani nie odpowiedziała na zaproszenie; wędrowali spojrzeniami po komnacie, po meblach i księgach.

– Gdzie sokoły? – spytał jeden z nieznanym. Wolfgang drgnął. Rzeczywiście na coś się zanosilo. Nie odpowiedział.

– Na strychu – pospieszył ochoczo z wyjaśnieniem Innocenty.

Wolfgang rzucił mu pełne wściekłości spojrzenie.

– Te księgi... – jeden z obecnych podszedł do starej szafy. – Co to za księgi?

– Dlaczego ksiądz o to pyta? – odparł pytaniem chłopiec. – Były tutaj, kiedy się wprowadziłem. Tu, w wieży, jest ich miejsce. Nie przeglądałem ich nigdy, ale sądzę, że należały do mego stryjecznego dziada, znanego uczonego i filozofa. A teraz chciałem uprzejmie prosić o wytłumaczenie, co ojciec sobie wyobraża, przyprowadzając mi do komnat tak wcześnie rano obce osoby?!

– Ależ Wolfgangu! Panie! – Innocenty pałał oburzeniem. – Zaprawdę, czyż to możliwe, byście nie znali ojca Pawła i ojca Teodora, obu z tutejszej parafii Matki Boskiej w miasteczku...

– Nie, nie znam ich. W każdym razie nie z imienia. – Chłopiec skłonił się lekko dwóm przybyszom. – Ojciec nie wspominał jeszcze ani słowem o celu tego najścia. Jest bardzo wcześnie – dodał tonem wyjaśnienia.

Głos miał jakby nie swój, sztuczny, tej nocy bowiem długo siedział z sokołami na strychu i był zmęczony. Obaj mnisi z miasteczka, rozpoznawszy ten szczególny ton, wyprostowali się odruchowo; byli tutejsi i z czasów młodości dobrze pamiętali, jak mówią Falkenburgowie, gdy są w złym humorze.

– My... – zaczął przepaszająco ojciec Paweł, lecz zamilkł na znak dany przez Innocentego, który w najmniejszym stopniu nie wykazywał oznak zdenerwowania.

– Panie, musimy porozmawiać z wami poważnie.

Wolfgang był zaskoczony i zażenowany. Myny mieli tak godne i uroczyste, jakby kroczyli w świątecznej procesji. W głębi duszy poczuł pierwsze ukąszenie strachu.

– Przyszliśmy ze względu na wasze zbawienie, panie – ciągnął preceptor już łagodniej.

Właśnie ten układny ton i coś nieokreślonego w oczach benedyktyna paraliżowały chłopca. W tym kryło się niebezpieczeństwo.

– Precz! – rzucił krótko. – Wynoście się!

Władczym gestem wskazał drzwi. Księża popatrzyli po sobie ze zdumieniem, a Innocenty posłał im wiele mówiący uśmiezek.

– Precz stąd, bo wezwę straż! – zagroził Wolfgang, wciąż jeszcze cicho i spokojnie. – Ale już!

Niewiele z tego wszystkiego rozumiał, jednak gdzie jak gdzie, lecz tu, na wieży, mogli mu dać spokój. Uważał, że ma do niego prawo.

Ojciec Paweł i ojciec Teodor popatrywali nieco bojaźliwie i niepewnie to na siebie, to na Innocentego i chłopca. Kogo teraz mają słuchać? Syna grafa czy swego duchowego przełożonego? A Innocenty zrazu nie myślał ruszyć się z miejsca. Zastanawiał się długo i głęboko.

– No cóż – rzekł ostatecznie. – Chodźmy, bracia. – A zwracając się do Wolfganga dodał: – My tu jednak, panie, wrócimy. Macie na sumieniu straszliwe grzechy.

Poszli więc, nie domykając za sobą drzwi. Przez szparę powiało mrozem, po płytach posadzki zawirowały w tańcu drobne płatki śniegu.

Dopiero po dłuższej chwili chłopiec podszedł do wyjścia i przekręcił klucz w zamku.

Owego pamiętnego wieczoru, gdy w sali za ścianą toczyła się w najlepsze uczta, w ciemnościach kancelarii burgrabia Fryderyk odbył przed ojcem Innocentym spowiedź. Zakonnik zaś słuchał, głośno dając wyraz swemu zdumieniu.

Burgrabia na wstępie zaznaczył mimochodem, że Wolfgang nie daje mu spokoju i prześladowuje jego myśli – jak diabeł, dodał ostrożnie. A Innocenty z miejsca przypomniał sobie, co ludność opowiada o czarcich sztukach uprawianych na wieży.

W miarę postępowania spowiedzi Fryderyk wyjawiał coraz więcej – mówił, że pożąda chłopca; opowiedział o tym, co się między nimi wydarzyło... A ojciec Innocenty prawdziwie wspierał szlochającego mężczyznę pełną wyrozumienia łagodnością. Wyjaśnił, że fakt, iż przy wcześniejszych okazjach nie doszło do spełnienia, świadczył o jego wewnętrznej sile. Dlatego, dopóki przebywał na dole, w pełnym świetle dnia, udawało mu się oprzeć czarowi Wolfganga. Dopiero w ogarniętej mrokiem wieży... Bo raz za razem coś go tam ciągnęło, aż wreszcie...

– Tak – wyszeptał zdruzgotany burgrabia.

Na to mnich pospieszył z wyjaśnieniem, że wszak Fryderyk nie miał nad tym władzy, że znajdował się pod wpływem opętania, rzuconego czaru. Przecież każdy potwierdzi, że chłopiec ma złe skłonności. On, Innocenty, był dobrze obeznany z tym tematem. Cóż więc jeszcze powie burgrabia?

Właściwie, przyznał penitent, wielokrotnie przyłapywał się na tym, że życzy bratankowi śmierci – a to przecież grzeszna myśl i obraza boska.

I znowu spowiednik wyciągnął pomocną dłoń. Nic dziwnego, że się w głębi duszy pragnie śmierci kogoś, kto dąży do zniszczenia naszej nadziei na życie wieczne, kto w podobnie okropny sposób wabi i uwodzi, byśmy się dopuścili tak odrażającego grzechu. Wyraźnie bowiem widać, stwierdził mnich, że to chłopiec kierował wszystkimi wydarzeniami. Po chwili namysłu burgrabia przyznał mu rację – istniały pewne, w istocie zastanawiające aspekty, gdy dochodziło do owych zbliżeń. Kapłan nie zgłębiał tematu. Czy Fryderyk chce wyznać coś jeszcze?

Niestety, Wolfgang zapraszał też kilkakrotnie nocami do siebie na wieżę dziewczynę, katowską latorośl. Duchowny czym prędzej uczynił znak krzyża, a burgrabia nie omieszkał podążyć w jego ślady. Córka oprawcy! A więc w taki to sposób chłopak osiągał moc swych czarów! Wykorzystywał do swych praktyk zwłoki! Mnich ponownie się przeżegnał. Części ciała martwych grzeszników! Burgrabia Fryderyk zaś uświadomił sobie nagle, że... stało się. Wyrok zapadł. I po raz kolejny miał przemożną chęć, by się roześmiać, aż echo pójdzie. Udało mu się jednak zmilczeć, gdy kapłan wypowiadał formułę końca spowiedzi: „*Twoje grzechy są ci odpuszczone*” i gdy nakazywał mu odmówić za pokutę siedem razy Ojcze nasz i Zdrowaś Mario, a poza tym służyć wiernie Panu i składać Mu hojne dary.

Burgrabia skinął z wdzięcznością głową i ucałował dłoń spowiednika.

Na tym jednak nie zakończyli. Innocenty spytał bowiem, czy w związku z tym może liczyć na wolną rękę w kwestii uwolnienia chłopca od diabła i nakłonienia go, by się przyznał do niecnych czynów. Coś mianowicie trzeba uczynić natychmiast, to pewne, inaczej wiele ryzykują. Burgrabia ograniczył się do przyzwolenia ruchem głowy. Przez chwilę poczuł w sercu przypływ czułości na myśl o pięknej, szczupłej twarzy, o miękkiej linii nosa i zielonych oczach. Wydało mu się, że dwoje drobnych ramion namiętnie obejmuje go za szyję... Zadrżał i prędko się otrząsnął, pytając Innocentego, co wobec tego zamierza.

– Czas pokaże – odparł mnich. – Na początku porozumiem się z kilkoma tutejszymi sługami Bożymi, by nas było liczniejsze grono, gdy przyjdzie zabrać się do rzeczy. To zajmie parę dni, jednakowoż czas ucieka i musimy jak najszybciej przekuć słowa w czyny, by uwolnić dom Falkenburgów od mroku, który go spowija.

– A jak postąpicie z chłopcem?

– Znane mi są obowiązki ciężące w takich razach na słudze Pańskim. – Innocenty skinął z determinacją głową. – Gotów więc jestem czynić to, co już przedtem czynilem.

Nie musiał nic dodawać. Burgrabia Fryderyk ponownie ucałował jego dłoń, czując wzbierający śmiech, przesywające ciało lodowate igiełki radości pomieszanej z trwogą. Teraz się spełni! I to w dużo bardziej wyrafinowany sposób niż w najśmielszych jego marzeniach.

Jeszcze tylko w dali mignęła mu przed oczyma twarz Wolfganga, lecz pozwolił jej zatonać w mroku.

Nic nie wskórawszy w Wieży Sokołów, trzej kapłani naradzili się między sobą, nim Innocenty złożył wizytę burgrabiemu.

Nie ulegało wątpliwości, że chłopak stawia opór i nie chce mieć z nimi do czynienia. Trudno więc będzie doń dotrzeć po dobroci. Wyszuli tym samym wniosek, że muszą mieć pełną swobodę działania, tak ze strony burgrabiiego Fryderyka, jak od biskupa w Augsburgu.

Z tym Innocenty udał się do zarządcy zamku. Ów zaś wyraził zgodę stwierdzając, że jeśli chodzi o niego, mogą przedsiębrać, co uznają za konieczne. Wyprawiono też zaraz posłańca do Augsburga, a tymczasem stryj kazał zamknąć Wolfganga w Wieży Sokołów. Wolno mu było poruszać się swobodnie po koronie murów – do pewnego miejsca, a przy schodach z obu stron postawiono strażę pilnującą, by nie poszedł za daleko.

Następnego poranka Wolfgang obudził się jako więzień.

Wprawdzie do przebywania w samotności, i to całymi tygodniami, był przyzwyczajony, jednak ograniczenie swobody ruchu odebrał jak ciężar, który go przygniatał i nie pozwalał oddychać pełną piersią.

Z sokołami rzecz się miała inaczej, mogły przecież latać, jak dawniej, gdzie dusza zapagnie. Toteż dopiero gdy z nimi rozmawiał po nocach, czuł się na powrót wolny, szybując wspólnie nad polami, wzgórzami i lasami.

W miasteczku i w całym lennie wieść rozeszła się lotem błyskawicy.

Młody czarnoksiężnik uwięziony! Nareszcie! O uczcie w rycerskiej sali Falkenburga i o tym, jak okrutnie burgrabia Fryderyk został poniżony przez bratanka, słyszeli już bowiem nawet chłopci.

Od chaty do chaty biegła więc radosna nowina: Mają go wreszcie!

Nienawiść obróciła się teraz ku Hyclej Zagrodzie i tamtejszej rodzinie, a zwłaszcza przeciw Zuzannie, hyclównie. Tej, która razem z chłopakiem uprawiała gusła i do jego niecnych, czarnoksiężskich praktyk dostarczała wszelkiego rodzaju części ciał nieboszczyków. Plotkę tę puścił w obieg jeden z mnichów i z miasteczka rozeszła się wprędce po całym lennie. Toteż wszyscy wnet wiedzieli, że młody pan Wolfgang

korzystał z pomocy córki kata i że Kościół był przekonany o słuszności tych podejrzeń. Tym samym nienawiści usunięto wszelkie bariery.

Do Hyclej Zagrody wieści te dotarły zbyt późno. Zuzanna wyruszyła już, mimo kolejnych przestróg rodziców, lasami na Falkenberg, na spotkanie z Wolfgangiem. Szła pełna radości i oczekiwania.

W niespełną godzinę po jej wyjściu przygalopował do sadyby kata łowczy Bernhard. Zdał sprawę z wydarzeń na zamku oraz nastrojów w miasteczku i wśród okolicznych gospodarzy.

Wiadomość o uwięzieniu Wolfganga tego ranka zaskoczyła go, a ponieważ lubił chłopca, na własną rękę ruszył w drogę, by ostrzec kata i jego rodzinę. Jak się okazało, przybył za późno. Zuzanna była już daleko i zmartwiony Bernhard postanowił ją dogonić. Przedtem jednak gorąco namawiał Schwarzów do ucieczki, najlepiej jeszcze przed wieczorem. Tymczasem kat twierdził, że to niemożliwe – jego ojciec leży chory, zresztą nie mogą tak znienacka wszystkiego rzucić, choć po prawdzie po Trzech Królach mieli zamiar się stąd wynieść.

Łowczy nie marnował zatem więcej czasu, pognął za dziewczyną. Na próżno jednak.

Zuzanna nie była na zamku już dłuższy czas i od kilku dni tęskniła do spotkania z Wolfgangiem.

Ostatni miesiąc minął jak jeden długi, piękny sen. W chwilach samotności śpiewała i śmiała się radośnie. Toteż nie posłuchała rodziców i z lekkim sercem ruszyła w drogę.

Po godzinie z okładem zbliżyła się do ludzkich siedzib i nie zauważona przemknęła chyłkiem koło kilku kolejnych zagród. By dotrzeć na zamek, musiała przedostać się przez kładkę nad rzeczką. Tam zaś stali ludzie, stłoczeni w ciżbę po tej stronie mostka, jakby czekali. Zaledwie się ukazała, obrzucili ją wyzwiskami. Zatrzymała się, lecz po chwili ruszyła dalej.

W miarę jak podchodziła bliżej, zacichali – udała wszakże, że nic nie zauważyła, choć serce tłukło się jej w piersi ze strachu. Przeszła koło nich z podniesioną głową i wkroczyła na kładkę. Ich twarze wykrzywiały nieprzytomna złość.

Zuzanna była przyzwyczajona do takich reakcji, dlatego nie przeczuła, na co się zanosi, gdy ktoś kazał się jej zatrzymać. Rzuciła okiem przed siebie – nie miała dokąd uciec, po drugiej stronie także czaiło się kilku pacholków.

Wobec tego stanęła i wzięła się wypróbowanym sposobem wyzywająco pod boki. Lecz gdy dostrzegła wyraz oczu podchodzących coraz bliżej ludzi, wpadła w panikę i szybkim krokiem ruszyła do przodu.

Ktoś ucapił ją od tyłu za włosy, pociągnął z całej siły. Twarde ręce cisnęły nią o ziemię i wgniotły twarzą w zimny śnieg. Dopiero wtedy krzyknęła. Gdzieś z góry ktoś donośnym głosem miotał w nią niezrozumiałymi słowami – było tam coś o czarach, nierządnicach i diabelskim pomociu. Ktoś inny przygniótł dziewczynę kolanem, aż jej zaparło dech w piersi.

Ciągle jednak zachowywała spokój i pełną świadomość. Zdarzało się jej to przecież już dawniej. Da sobie radę.

Jeszcze mocniej wciśnięto jej głowę w śnieg i miała wrażenie, że wredne ręce rozpoczęły pod spódnicą wędrówkę w górę ud; lecz nie, tylko coraz głębiej wgniatali ją w śnieżną zaspę, aż zamróz zaczął kasać policzki i z trudem przychodziło złapać oddech.

Cały czas gorączkowo pocieszała się myślą, że za chwilę będzie po wszystkim. To nigdy nie trwa długo; a kiedy się już dość nadokazuje, będzie mogła pójść prosto do Wolfganga. O ile zdąży przed zamknięciem bram. Żeby już tylko zabrali się do rzeczy.

Tymczasem ktoś bez przerwy wtlaczał jej głowę w lodowatą biel, aż owładnięta paniką nie mogła już oddychać. Uchwyt na karku wcale nie zelżał. Dopiero teraz zaczęła się wyrwać, lecz było już za późno. Ktoś usypywał nad jej głową coraz wyższy kopczyk śniegu i wkrótce zapadła w ciemność.

Poprzez śnieg dobiegały ją podniecone okrzyki, ale nie rozróżniała słów. Ponownie napięła mięśnie, by się uwolnić, lecz nie udało się jej już poruszyć. Przestała jasno myśleć; rosnące obezwładniające przerażenie; czuła, że zalewają ją na przemian fale gorąca i zimna. Z daleka dochodziły wołania o tasak, o widły... Zdawało się, że słyszy jakiś dźwięk, jakiś ruch... O co im chodzi?! Czego chcą?! Puśćcie mnie! – pomyślała; szloch ścisnął ją za gardło, brakowało tchu. Szarpnęła się. Puśćcie!

Nagle uświadomiła sobie, że chcą ją zabić. Śnieg szczypał skórę, twarz już jakby nie należała do niej. Był tylko ból i zimno...

Poczuła w lewym boku coś ostrego, ale już tego nie pojęła. Przestała oddychać i nastąpiło coś dziwnego – pofrunęła jak gołębica.

Nie zauważyła, że serce przebili jej ostrym kołem.

Łowczy Bernhard znalazł ją w niecałą godzinę później. Na moście nie było żywej duszy, lecz wyraźne, ciemnobrunatne od zakrzepłej krwi ślady stóp wskazywały na obecność wielu napastników.

Głowę miała przysypaną śniegiem, spod którego dostrzegł jedynie kilka złotych kosmyków.

W piersi tkwiło zaostrome drzewce wideł; lekko na ukos wznosiło się ku niebu, jak symbol zwycięstwa. Wiedźma była martwa, a jej serce przygożdżone do ziemi.

Bernhard wzdrygnął się na ten widok. Z rany sączył się jeszcze cienki strumyczek krwi, lecz większość zamarzła na twardą jak kamień masę.

Wśród poszarpanych sukien przebłyskiwała blada, prawie niebieskawa w mroku skóra. Barwą przypominała łowczemu jasnoblękitne płatki kwiecia, które pokrywało latem wzgórze.

Szybkim, beznamiętnym ruchem zgarnął kopczyk z twarzy dziewczyny. Bielą równała się ze śniegiem, a rzęsy na zamkniętych powiekach tworzyły dwie czarne kreski. Głowę miała nienaturalnie wykręconą, w nosie i ustach pełno białozółtego, zamarznętego na lód śniegu.

Bernhard zastanawiał się długo, chodząc po mostku i zabijając z zimna ręką. Potem jednym zdecydowanym ruchem wyrwał drzewce z ciała dziewczyny i cisnął pod most. Delikatnie uwolnił zwłoki z zakrzepłej krwi i przewiesił przez grzbiet konia. Zuzanna była drobna i lekka, łowczemu łatwo więc przyszło przygiąć i ułożyć ciało tak, by się nie zsuwało.

Pełen złych przeczuć pojechał na powrót do Hyclej Zagrody. Był myśliwym, nie ronił łez.

Obejście kata zastał spalone do cna. Tu także nie znalazł już sprawców, jedynie widoczne ślady licznych stóp. Domyślił się, że do tych, co zabili dziewczynę, dołączyło wielu innych. Chata zamieniła się już w popiół, inne zabudowania jeszcze płonęły.

Zaledwie kilka godzin temu rozmawiał w izbie ze Schwarzem i jego żoną, a teraz w tym miejscu dymiły zgliszcza. Zadumał się; wszyscy wtedy, choć zaniepokojeni, byli dobrej myśli. I oto nikt z tej małej rodziny nie ostał się przy życiu.

Bernhard pamiętał Schwarza z czasów młodości jako zmyślnego parobka, trochę figlarza, trochę zabijakę. Lubił go. Potem odsunął się nieco od niego, jak wszyscy inni. Człowiek nie może przecież przyjaźnić się z katem.

Wciąż jednak żywił ową iskierkę dawnego zrozumienia i sympatii, chociaż zdawał sobie sprawę, że ludzie pogardzają Schwarzem, gdyż jest mordercą, a w dodatku zawodowo pozbawia innych życia.

Łowczy uważał, że zachodzi dziwne podobieństwo między zabijaniem zwierzyny na polowaniu i ludzi na szafocie. Mieli więc ze sobą coś wspólnego, mimo że Bernhard był szanowany za to, że jest najlepszy w zawodzie myśliwego, tymczasem Schwarzowi okazywano wzdrgę, ponieważ był najlepszy w swojej katowskiej profesji.

Łowczy wiedział, co oznacza zabić – czy to zwierza, czy człowieka. Kiedy zdarzało się, że musiał poderznąć gardło rannemu jeleniowi, przeżywał prawdziwe katusze, jakby zadawana śmierć wysysała zeń ducha, który wnikał w dobijane ciało. I w miarę upływu lat to doznanie wcale nie słabło, raczej przeciwnie. Nie wszyscy myśliwi je znali. Bernhard zaś w głębi duszy sądził, że właśnie dlatego jest tak dobry w swoim fachu.

Poza tym zabijał też ludzi na wojnie. Stąd potrafił sobie wyobrazić, jak się czuje kat na szafocie.

Lecz teraz mistrz nie żył, a wraz z nim cała rodzina. Bernhard przeżegnał się na myśl o tym, co znaczy splanąć żywcem.

A potem przypomniał mu się Wolfgang – mój Boże, co ten chłopak pocnie, gdy się o wszystkim dowie? Przeżegnał się powtórnie, bo uświadomił sobie, że mały zapłacze się chyba na śmierć. Dwakroć dotąd słyszał jego płacz. Po raz pierwszy na łowach zaraz po otrzymaniu Feniksa. Nieszczęśliwym trafem ptak złamał pióro w ogonie i spadł na ziemię. Chłopiec odchodził niemal od zmysłów, póki Bernhard nie pokazał mu, jak zesztukować złamaną stosinę za pomocą żelaznej igły, naostrzonej z obu stron. Trzeba było wetknąć ostre końce w obie części przełamanej pióra; przedtem jednak należało igłę zwilżyć octem, by zaraz zardzewiała. Pióro było jak nowe. I Wolfgang odzyskał radość... Drugi raz płakał przez sen niedawnej

nocy w szalasio. Było to dziwne, bolesne łkanie. Wtedy to łowczy pomyślał, że chociaż od małego przyuczał chłopca do polowania, to jednak wcale go nie zna.

W sercu poczuł ból. Bo oto niewinne bajdurzenie w zdumiewająco krótkim czasie wydało straszny owoc; kosztowało życie pięciu ludzi i wolność Wolfganga... Sprawa była poważna.

Zdjął czapkę i spojrział w płomienie. Zło, wszędzie zło. W sercu zrodziło się pragnienie ucieczki od zamku, miasteczka i tego, czego nadejście z przerażającą pewnością przewidywał. Wydarzenia dzisiejszego wieczora – to było zbyt wiele nawet dla niego.

Dlatego, gdy wjechał głęboko w las i pochował dziewczynę pod wielką osiką, gdzie pod śniegiem był miękki torf, pogalopował dalej na zachód, byle oddalić się od ponurego zamku z Wieżą Sokołów.

Tym razem nie polował.

II

Wolfgang dowiedział się o zabiciu Zuzanny dużo później.

W nocy po jej śmierci miał piękny sen, czuł zapach siana i słuchał gruchania gołębi. Po przebudzeniu długo myślał o dziewczynie, dziwiąc się, dlaczego nie przychodzi.

Potem dumał, co się teraz stanie. Jak ma rozumieć zachowanie Innocentego w dzień po Nowym Roku? Czy to wszystko pozostaje w związku z przepowiednią astrologa? Wietrzył tu niebezpieczeństwo.

W wyobraźni ulatywał daleko od zamku i wieży, w jakieś nieznane miejsce, gdzie było mu dobrze; Zuzanna też się tam znajdowała razem z sokołami. Nocami w sennych marzeniach zawsze przebywał w tej obcej krainie bez zamków i koszmarów.

Po owym dniu na początku roku nie oglądał już więcej mnichów, lecz wiedział, że znów się pojawią. Zupełnie nie pojmował, jak mogą z całą powagą traktować plotki. Nie mógł w to uwierzyć. Nie rozumiał też stryja, który wpuścił zakonników na wieżę i kazał go uwięzić.

Długo się nad wszystkim zastanawiał, lecz nie znalazł odpowiedzi na pytanie, do czego to prowadzi. Marzył tylko, by znów było jak dawniej. Na razie pozostawiono go w spokoju, lecz zdawał sobie sprawę, że długo to nie potrwa. Rozumiał także, że szukano sposobu, by zaszkodzić jemu, a może zwłaszcza sokołom. Toteż wypuścił je pewnego wieczoru na wolność, prosząc, by przylatywały za dnia, jeśli będzie na murach, a w nocy do okienka jego komnaty w wieży. Był świadom, że sokoły, podobnie jak inne ptaki, niewiele mogą obiecać, jednak coś mu mówiło, że wrócą.

Zanim odleciały w noc, na samotne łowy, po raz ostatni z nimi długo rozmawiał. Wyjaśniał im, że się boi.

– Strach zawsze oznacza niebezpieczeństwo – stwierdził Bezimienny.

Imię! Odleci więc nie nazwany.

– Strach zawsze jest niebezpieczeństwem – dodał Feniks.

Chłopiec i sokół długo patrzyli sobie w oczy, odciskali ślady w swych pamięciach, nim Wolfgang otworzył okienko.

Każdego z nich po kolei gładził po piórach i delikatnie całował. Powtarzał szeptem imiona ptaków, wypuszczając jednego po drugim na swobodę. Na koniec został mu tylko Bezimienny.

– Nie masz imienia – szepnął zatroskany. – Nie znalazłem jeszcze żadnego odpowiedniego dla ciebie.

Ptak zatrzepotał skrzydłami.

– Czekaj! – obruszył się chłopiec. – Nie tak skoro! Przed odlotem i ty otrzymasz imię...

Zamilkł na chwilę, by się skupić, po czym z pełnym szczęścia uśmiechem szepnął:

– Wolfgang, tak się będziesz nazywał.

Ptak przystał na to. Wyfrunął w ciemność i chłopiec usłyszał jedynie krzyki sokołów zamierające w zachodniej stronie.

Zamknął okno i został w komnacie sam. Teraz mogli już przyjść.

Przyszli – następnego ranka.

Księży zdenerwowała nieobecność ptaków. Nic jednak nie powiedzieli, tylko z niemą zaciętością szukali ich po całej wieży. Chłopiec zwrócił im uwagę na fakt, że sokoły potrafią latać, o czym duchowni najwyraźniej nie pomyśleli.

Kolejne dni dłużyły się, były męczące. Mnisi dręczyli go dziwnymi pytaniami o najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. Chcieli się dowiedzieć, czy czytał księgi znajdujące się w starej szafie. Zaprzeczył, zgodnie z prawdą. Widział jednak, że mu nie uwierzyli. Z czasem też odkrył rzecz w tym wszystkim najdziwniejszą; mógł im mianowicie dawać przeróżne odpowiedzi – prawdziwe lub nieprawdziwe – a oni i tak mu nie ufali. Jakby niezależnie od faktów założyli sobie, że kłamie. W końcu więc przestał w ogóle odpowiadać na pytania – i tak nie miało to sensu.

- Jak osiągasz, że zwierzęta słuchają twoich poleceń?
- Czy nie zastanowiłeś się, że kusisz stryja do popełnienia z tobą wielkiego grzechu, peccatum mortale?
- Ile wyczytałeś z tych ksiąg o czarnej magii?
- Czy oddajesz się czynom nierządym z diabłem?
- Czy do czarów używałeś narzędzi pobieranych z ludzkich zwłok?

Odeszli już zupełnie od zwracania się doń „panie” lub w liczbie mnogiej. Stosowali tylko imię, co niezmiernie irytowało Wolfganga. Coraz mniej przyjaźnie formułowali też pytania. Zaczęło to stopniowo przypominać ekstatyczny taniec, narastający powoli od spokojnej i cichej uprzejmości do krzyku i zapamiętania.

Co wieczór, gdy Wolfgang najchętniej położyłby się spać, mnisi rozpoczynali modły za niego i z nim, kładli mu w dłonie krucyfiks i recytowali w nieskończoność formułki, których znaczenia nie potrafił, zmęczony, pojąć. Nie chciał już odpowiadać na pytania, co wprowadzało trzech zakonników w stan najwyższego oburzenia. Nakłaniali go do zeznań, zaklinali śpiewnymi głosami, krzyczeli – a Wolfgang słuchał owładnięty trwogą. Lecz chociaż widok mnichów napełniał go odrazą i lękiem, starał się w dalszym ciągu zachowywać spokojną twarz i chłodne spojrzenie.

Pozbawili go własnych szat i odziali w jakiś zgrzebny, szorstki habit, który musiał nosić na gołą skórę, zbyt cienki na chłód panujący w wieży. Wolfgang, przyzwyczajony do futer i miękkiej wełny, marzył bardzo; wnet też nabawił się bolesnego kaszlu i lekkiej gorączki.

Nocami przykuwano go do łoża wąską obrozą zamykaną na kluczyk. Doprowadzało go to do szaleństwa i nie umiał sobie wyobrazić, jakiemu celowi miałyby służyć. Przecież nie uniesie się w powietrze i nie odleci! A może?

Czasami sam chwycił się na rozważaniu, kto faktycznie ma rację. Może rzeczywiście opętał go Zły? Zawsze odganiał takie myśli; dręczyły go nocami, bo nie mógł zasnąć; częściowo z powodu gorączki i strachu, po części zaś za sprawą obrozy, bo miał wrażenie, że go dusi.

Przedpołudniami, póki mnisi nie dobrali mu się do skóry, wolno mu było pospacerować kilka godzin samotnie po murach, cały czas pilnie strzeżonych przez pachołków przy schodach.

Były to teraz jego najszcześniejsze chwile. Samotnie na murach, nie zakuty w obrozę, prawie jak dawniej. Zdarzało się również, że odwiedzały go sokoły. Chciały siadać na blankach, rzadko im jednak na to pozwalał. Nawoływali się jedynie w swej bezgłośnej mowie, a widok ich pięknych sylwetek na tle nieba wywoływał w sercu Wolfganga ukłucie bolesnego szczęścia.

Marzył bardzo na dworze w swym cienkim odzieniu, lecz każdego przedpołudnia zmuszał się do wędrówek wzdłuż północnego muru, by dostrzec choć cień ptaków. Mróz był zaś ostry, kąsał boleśnie. Chłopiec nogi miał odmrożone od brnięcia w nawianym śniegu.

W czasie spacerów dużo też myślał o Zuzannie. Nie miał pojęcia, co się stało w miasteczku; o rozpuszczanych plotkach, o obudzonej nienawiści. Jak zwykle upajał się spokojem i widokiem nieba.

Kilka godzin później pojawiali się mnisi, z każdym dniem coraz bardziej natarczywi. Perorowali – głośno lub cicho, szybko lub powoli, czasami z zimną zaciętością, innym razem z wściekłością aż płomienną. Mówili, mówili, – deklamowali śpiewnie i wzniosłe, a także bez końca pytali; Wolfgang czuł się do szczętu wyczerpany. Nie był przyzwyczajony do słuchania tylu słów w ciągu jednego dnia. Odmawiał udziału w modlitwach, które za niego odprawiali. Księgi stryjecznego dziada zostały usunięte i więcej ich nie ujrzał. Prawdopodobnie spłonęły. Czuł się jak ptak, któremu opalono skrzydła.

Kilka dni po tym, jak na dobre zamilkł, zaczęli raptem stosować przemoc. Na początek drobne razy, kuksańce i szarpanie za włosy. Z czasem poczynali sobie dużo gorzej.

Wolfgang bardzo płakał, nie był odporny na ból. Na szczęście dość łatwo popadał w omdlenie, więc najczęściej tracił przytomność, zanim na dobre zaczęli się nad nim znęcać.

Słyszał, że heretycy, poganie, przestępcy, wyznawcy diabła i czarownice są poddawani torturom. Wiedział także, iż należało to do obowiązków kata Schwarza. W tych szczególnych okolicznościach, z uwagi na pozycję oskarżonego, duchowni sami wykonywali katowską robotę, tak więc przyszło chłopcu poznać na własnej skórze owoce nauki i metody mnisiej szkoły przesłuchań. Innocenty, teraz sędzia i inkwizytor, zawiązał się szczególnie na jego ręce – miał w pamięci swoją sromotną porażkę w roli preceptora. Wbijali mu pod paznokcie rozżarzone igły, kazali godzinami zanurzać dłonie w wiadrach ze śniegiem i lodem, a cały czas wypytywali. Zmuszali go do trzymania w palcach płonących drzazg i przygotowali wiele innych męczarni. Wolfgang szlochał i krzyczał, a kończyło się to nieodmiennie utratą świadomości.

Nocami leżał samotny, towarzyszyły mu tylko trwoga w sercu i gwiazdy na niebie, a opuchnięte ręce i nogi przeszywał ból. Nie wiedział, że mnisi używali wobec niego do tej pory zaledwie prostych i łagodnych metod.

Czasami miał wrażenie, że słyszy sokoły, lecz przykuty obrozą do posłania nie mógł wstać i otworzyć im okienka.

O, jakże tęsknił za dotykiem któregoś z tych ciepłych, drżących ciał na policzku, jakże pragnął przesunąć dłońią po lśniących piórach i wyczuć rytmiczne bicie sokołego serca!

Przydałoby mu się teraz serce sokoła. Ze wszystkich sił próbował okazywać chłodną wyniosłość, cokolwiek prześladowcy z nim czynili i co mu wmawiali. Chwilami jednak był bliski załamania i wypowiedzenia słów, na których im najwyraźniej nade wszystko zależało: że istotnie, wodził na pokuszenie i czarami zmusił stryja do nienaturalnych stosunków ze sobą; że posiadał czarodziejską władzę nad ptakami, ich mową i działaniem; że uprawiał czarną magię, zmieniał się w sokoła i porywał rodzicom niewinne dzieciątka; że uzyskał pomoc w tym względzie od czarownicy mieszkającej w dobrach lennych; a także iż dopuszczał się czynów nierządnych z samym szatanem.

Wytrwał jednak.

W okresie gdy w Wieży Sokolów rozgrywały się te wydarzenia, burgrabia Fryderyk zaczął powoli odzyskiwać spokój. Chłopak był w dobrych rękach i ponosił sprawiedliwą karę za opętywanie ludzkiej woli i myśli, zwłaszcza zaś woli i myśli burgrabiego. Fryderyk czuł się teraz dużo bezpieczniej, nie tak osaczony jak dotychczas. Niewiele też myślał o bracie i jego synu. Szło o ziemię, o lenno – rzucił się więc w wir pracy. Wydawało się, że w miarę jak chłopiec słabł, a prześladowane demony go opuszczały, zauroczenie i czary miały nad burgrabią coraz mniejszą władzę. Wspomnił nawet o tym kiedyś ojcu Innocentemu – miewali teraz częste poufne rozmowy. Na tę uwagę mnich odparł, że istotnie, obserwacje pana zamku zdają się odpowiadać prawdzie; czarnoksięska moc Wolfganga słabnie. Istnieją wszakże podstawy, by mniemać, iż osłabienie ma charakter tymczasowy, albowiem chłopak jest uparty i odporny, toteż najsilniejsze nawet stosowane dotąd metody nie zmusiły go do poddania. Poza tym zazwyczaj wzywa na pomoc diabła, aby się przeciwko nim uzbroić. Gdyby więc nie wiedzieli lepiej, mogliby przypuszczać, że traci przytomność. On, Innocenty, zaczął już zgoła rozważać, czy Wolfgang nie jest stracony na wieki. W każdym razie nie wygląda na to, by zanosilo się na jakieś wyznanie bądź ekspiację.

Wobec tego czy wolno im trzem – kolegium, jak się nazwali – użyć jeszcze silniejszych metod perswazji? Może warto by spróbować?

Burgrabia Fryderyk wyraził zgodę – na pewno było warto – i zadowolony zakonnik opuścił go, by omówić sprawę z księżmi.

Tego popołudnia burgrabia długo ucztował w towarzystwie małżonki. Oboje odczuwali ulgę, a życie odzyskało dla nich na powrót dawny blask, z czasów gdy chłopiec jeszcze nie dorósł. Fryderyk radował się i chichotał w duchu z zadowoleniem, bo oto los nie tylko sam wszystko zrządził, lecz ponadto jego wyrokom towarzyszyło błogosławieństwo Boże. A więc sprawy ułożyły się jak najlepiej.

Już niedługo zamek i lenno będą w całości należały wyłącznie do niego. Krucjata została dawno rozbita, Innocenty o tym doniósł...

Doprawdy, Fryderyk miał powody do zadowolenia z życia. Chłopiec nie przeżyje tego, co go w tych dniach czeka; umrze na pewno. Tym samym wypełnią się sprawiedliwe wyroki Boże.

Od czasu do czasu coś mu się wprawdzie w duszy buntowało na myśl o cierpieniach, jakie przeżywał na wieży ten urodziwy młodzieniec, którego jeszcze jesienią tak namiętnie całował. Były to jednak lekkie tylko ukłucia wążliwości i żalu; zaraz potem powracało przekonanie o słuszności i sprawiedliwości – by już pozostać.

Za trzy dni przypadał termin osiągnięcia przez Wolfganga dojrzałości, lecz teraz nie odgrywało to w gruncie rzeczy żadnej roli.

Natomiast dla Wolfganga następne doby okazały się dużo gorsze niż wszystkie poprzednie. Mnisi przychodzili teraz z dwoma pachołkami, a ceremoniał przeniesiono na mury, pod osłonę wieży. Palono kadzidło i skrapiano izby wodą święconą, a chłopiec miał doskonałą okazję do rozważania swych grzechów. Pierwszego dnia zadowolili się zmiążdżeniem kciuka lewej dłoni; więcej nie wytrzymał i nie sposób go było docucić.

Drugiego dnia zastosowali przypalanie żelazem; to także było bardzo bolesne, lecz chłopak wrędcie im omdlał.

Trzeciego dnia odcięli mu lewe ucho; wtedy, o dziwo, nie stracił przytomności. Ze zdumieniem wpatrywał się tylko w ów kawałek własnego ciała, mały i czerwony, z kilkoma kroplami krwi i kosmykiem włosów, leżący na kamieniach nieopodal ławy, do której go przywiązano. Rany zrazu wcale nie odczuwał. Potem wszakże dotarło doń, jak przez opary delirycznego otępienia, że na kamienne płyty cieknie strumyczkiem jego krew. W tej samej chwili pojawił się ból i Wolfgang zaczął krzyczeć. Zanosił się dzikim, niemal zwierzęcym wyciem, a echo niesło je po całym zamku, każąc ludziom zatrzymać się w pół kroku. Krzyczał i wył, aż mu zatkali czymś usta. Wtedy zemdlał, a ludzie, którzy przerwali pracę, mogli wrócić do codziennych obowiązków.

Zarówno pachołkowie, jak i księża Paweł i Teodor skłaniali się do kontynuowania przesłuchań następnego dnia, lecz Innocenty wołał odczekać. Chłopak nie był silny, nie mogli ryzykować, że wyzionie ducha w ich rękach, nie przyznawszy się do niczego.

Zakonnik prowadził już wcześniej przesłuchania z torturami i traktował je jako sprawiedliwy akt zemsty wobec grzesznych tego świata, jako konieczne zło. A grzesznikami mogli przecież być wszyscy, od najwyżej do najniżej postawionych. Żywił dla nich bezgraniczną nienawiść. Tak więc nie można powiedzieć, by mścił się na Wolfgangu. Chodziło raczej o stosunki między nim a Panem Bogiem, o wierność i zapal w spełnianiu obowiązku. Naturalnie, dobrze się składało, że od początku nie lubił chłopca – choć to akurat brał za oznakę swej zdolności do wytropienia diabła we wszystkich jego wcieleniach, stąd podświadomie reagował niechęcią i odrazą.

Niemniej chłopiec nie powinien jeszcze umierać. Kontynuowanie tortur bez ograniczeń niesło ze sobą ryzyko; nie mieli wszak pewności, czy uzyskają w tym względzie poparcie biskupa. Jeśli ktoś miał przypłacić życiem konszachty z piekielnymi mocami, lepiej było, gdy decyzję sankcjonowała wyższa władza duchowna. W dodatku chłopiec był de facto, czy miał zostać nazajutrz, panem lenna Falkenburg, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę.

Toteż Innocenty postanowił odczekać i wysłał do Augsburga nowego kuriera.

Tymczasem Wolfgang leżał w gorączce, pielęgnowany przez ochmistrzynię.

Początkowo, mimo bardzo niepokojącego stanu, zabronili zdjęć mu obrozę. Ochmistrzyni jednak, mająca za sobą długoletnią służbę na zamku, wymusiła na burgrabi Fryderyku pozwolenie, by na czas choroby rozkuć chłopca z łańcuchów.

Dzień swych urodzin spędził w półśnie, nieświadomy, że oto w świetle prawa stał się grafem na Falkenburgu. Dopiero następnego wieczora na tyle odzyskał równowagę umysłu, że zaczął mówić do rzeczy. Gorączka spadła, leżał wyczerpany, lecz oddychał równomiernie. Brak ucha bardzo go dręczył; nie chodziło jedynie o fizyczny ból, także o ten wyjątkowy lęk, jaki towarzyszy utracie części własnego ciała. Wdzięczny, że jest przy nim ktoś, z kim może się porozumieć, natychmiast spytał o Zuzannę.

– Czy wiesz, co się z nią dzieje? – odezwał się do ochmistrzyni.

Musiła mu w końcu rzec, choć zrazu starała się uniknąć odpowiedzi. Wolfgangowi wróciła jednak nagle pełna jasność umysłu i wypytywał tak szczegółowo, że wyznała wszystko co do joty.

Miała wrażenie, że tej nocy chłopiec nie przetrwa żywy. Spadło nań silniejsze niż dotychczas zamroczenie, wzrosła znacznie gorączka: rzucał się na posłaniu i wymiotował, to zanosząc się od płaczu, to znowu krzycząc nieludzkim prawie głosem.

Czuwała przy nim owej nocy i cały następny dzień, lecz nie odzyskała przytomności. Poita go, chłodziła mu czoło, ścierając krople zimnego potu – na próżno, za nic nie chciał powrócić do rzeczywistości.

Chwilami sama popłakiwała widząc, jak ukochana twarz szarzeje, a policzki zapadają się niczym u nieboszczyka. Ileż to czasu minęło, odkąd trzymała go w ramionach, czując na piersi dotyk miękkich usteczek niemowlęcia? Zda się, że zaledwie wczoraj, a zarazem jakby nigdy.

Dopiero późnym wieczorem drugiego dnia Wolfgang doszedł do siebie na tyle, że mogła go opuścić i udać się na spoczynek.

W dniu urodzin Wolfganga po południu powrócił kurier z pismem od biskupa z Augsburga. Z dniem dzisiejszym chłopiec – według annałów i zapisów w księgach – uzyskiwał dojrzałość i tym samym sprawa stawała się nader delikatna. Zdaniem biskupa nie można jej było rozpatrywać w tych samych kategoriach jak dla zwykłego czarnoksiężnika czy jakiejś wiedźmy. Wolfgang bowiem stał się pełnoprawnym panem lenna Falkenborg. Między wierszami napisano wyraźnie, że Innocenty ma czekać i obserwować; śledzić bieg wydarzeń i oczekiwać bliższych wskazówek. Mnich nie do końca to pojął, lecz usłuchał, skoro biskup nakazywał się wstrzymać.

Burgrabia Fryderyk przyjął tę wiadomość z niemal przerażającym spokojem.

– No cóż... – mruknął, jakby chodziło o chore cielę czy kulawego konia.

W cichości ducha warknął jednak: *Niech to się wreszcie skończy!*

Po czym sam siebie napomniął i nakazał cierpliwość – to przecież nie może już długo trwać. Innocentemu zaś dał poznać, że życzeniem jego byłoby wznowienie przesłuchań.

Mimo to przeszło wiele dni, nim zakonnik wykazał choć najmniejszą chęć do podjęcia działań. W owym czasie burgrabia Fryderyk na nowo utracił spokój ducha, stał się niecierpliwy, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zastanawiał się nawet, czy nie udać się samemu na wieżę i nie zakończyć sprawy; przypomniał sobie jednak o obecności ochmistrzyni i zrezygnował.

Po kilku dniach Wolfgang mógł znowu o własnych siłach wędrować po murach, burgrabia z dziedzienca widywał go w górze, samotnego, wspartego o blanki.

Ostatnie doby bardzo chłopca zmieniły, ochmistrzyni prawie go nie poznawała. Schudł, pobladł, włosy miał potargane i zaniedbane, a resztki lewego ucha wyglądały odrażająco. Na szyi, w miejscu gdzie w ciało wżarła się obroża, ziała zaropiała rana, palce zaś trzeba mu było obwiązać bandażami, zwłaszcza kciuk źle się goił. Wolfgang nie skarżył się, lecz znać było, że ślady przypiekania sprawiały mu ból w zetknięciu z szorstkim habitem, którego jednak nie pozwolono mu zdjąć. Ochmistrzyni ukradkiem zęgnęła się krzyżem i dzień w dzień modliła się za chłopca.

Na wyraźne żądanie burgrabiego Fryderyka mnisi ponownie przystąpili do dzieła, tym razem bez pachołków. Ograniczyli się do kilku kuksańców, dręczenia go modlitwami i namawianiem do zeznań.

Chłopiec zupełnie zubożał na ich poczynania, całe dni bowiem rozpaczał po Zuzannie. Jej imieniem o każdej porze biło mu serce; wspomnienie o dziewczynie przysłaniało wszystko, co wyprawiali z nim mnisi. Otulał się nią i odgradzał od świata. Była mu samym ciepłem i delikatnością.

W tym czasie z równą wyrazistością ukazywał mu się stryj.

Wolfgang zrozumiał, że zbliża się śmierć, i pojął wreszcie, że dzieje się tak właśnie za przyczyną stryja, choć nie wiedział dlaczego. Nic nie miało sensu. Ale cóż go to w gruncie rzeczy obchodziło? W duszy i tak ma pustkę, a jedyny człowiek, z którym potrafił się porozumieć, zniknął. On także wkrótce zniknie; rozplynie się w międzygwiazdnej ciemności.

Noce spędzał w innym świecie razem z Zuzanną. Za dnia też droga tam nie była daleka. Rzeczywistość stała się krucha jak wiosenny lód.

Podczas spacerów i gdy zajmowali się nim mnisi, myślał też trochę o astrologu i o przepowiedni.

Amor fati.

Te słowa stały się z czasem jego jedyną ostoją, ponieważ bał się – i bólu, i śmierci, mimo że wszystko już właściwie straciło znaczenie.

Czekał.

Chodził wzdłuż murów i czekał. Czekał układał się na spoczynek. I w oczekiwaniu na coś poddawany był przesłuchaniom.

Aż pewnego dnia nadeszło to, na co czekał.

Nigdy nie przypuszczał, że ujrzy to na własne oczy. Pewnego ranka, bardzo wcześnie, spacerował w śnieżnej zadymce po murach, a myśli zaprzętała mu Zuzanna. Wtem dostrzegł na jednej z blank przyglądającego się mu sokoła. Rozpoznał w nim Bezimiennego – nie, Wolfganga – i zdumiało go, że nie pojął wszystkiego dużo wcześniej...

Ptak długo wpatrywał mu się w oczy niezgłębionym spojrzeniem, a chłopcu zdawało się, że traci czucie w rękach i nogach. W końcu podszedł bliżej.

Nareszcie pojął, co w tym sokole było takiego szczególnego. Widział go wszak już dawniej, na długo przedtem, nim go dostał...

Pochwycił go i czule ucałował opierzony grzbiet; teraz miał pewność, że to koniec. Spełni się wola stryja.

– Przybyłeś, by mnie zabrać? – spytał.

W gęstym śniegu strażę nie mogły go dostrzec. Nadciągała także mgła.

– Cicho. Pst, pst, cicho – odparł ptak.

Ostrożnie, by nie podrażnić ran, chłopiec wspiął się z sokołem w dłoniach na blanki.

Przez chwilę siedział przycupnięty nad otchłanią, czując na sobie jej tchnienie. W zadymce i mgle nie widział dna.

Wtem ptak rozpostarł skrzydła. Chłopiec poszedł za jego przykładem.

Gdy mnisi przybyli tego przedpołudnia do Wieży Sokołów, nie zastali tam ani śladu Wolfganga. Śnieg przysypał także ślady ptaka.

III

Tego samego dnia po południu, kiedy zaprzestano już poszukiwania ciała, burgrabia Fryderyk raczył się wystąpić winem w samotności swej komnaty.

Nareszcie po wszystkim. Skończyło się. Przeznaczenie zostało pokonane, a on sam ostatecznie stał się panem własnego życia.

I nie tylko życia. Wszystko teraz należało do niego – ziemia, zamek, poddani, bogactwa. Burgrabia Fryderyk z rozkoszą smakował tę myśl. Mącił ją tylko lekki niepokój na wspomnienie tego, co równocześnie stracił. Odegnął troskę jak uprzykrzoną muchę. Widocznie rzeka porwała ciało chłopca. Więc wreszcie będzie miał spokój.

W tym czasie wjeżdżali na dziedziniec przemoknięci pachołkowie, zmęczeni poszukiwaniami wśród skalnych odłamów na brzegu u stóp północnego muru. Nie znaleźli zwłok – i dobrze, niech diabeł zniknie na wieki.

Ochmistrzyni stała nieruchomo w drzwiach, przyglądając się grupie przemarzniętych mężczyzn. Śnieg nie sypał już tak gęsto; zapadał zmrok, ruch na dziedzińcu zamierał, zamek ogarnął spokój. Długo wpatrywała się w pustkę podwórca; tutaj uczyła Wolfganga stawiać pierwsze kroki... Coś dławilo ją za gardło, nie mogła sobie z tym poradzić.

A gdy zupełnie przestało padać, zrozumiała, że Wolfgang nie żyje. Skończyły się jej zmartwienia.

Odwracała się właśnie, by wejść do środka, gdy spostrzegła mężczyznę, który wkraczał pieszo w bramę, wiodąc za uzdę konia.

Wyszła mu kilka kroków naprzeciw i stanęła jak wryta. Minęła dobra chwila, nim któreś z nich się odezwało.

Burgrabia Fryderyk stał przy oknie.

To wszystko za szybko, co powoli okrywał zmrok, należało teraz do niego; jakże krzepiąca to myśl. Nareszcie był panem na Falkenborgu.

Nagle za jego plecami gwałtownie otworzyły się drzwi. Obrócił się rozgniewany. Kto śmie bez pukania nachodzić władcę tego zamku?!

Na progu, mierząc go wzrokiem, stał mężczyzna.

Fryderyk czegoś tu nie pojmował – w rysach przybysza ukrytych pod zmierzwioną brodą było coś przerażająco znajomego.

– Wolfgang – odezwał się obcy. – Gdzie jest Wolfgang?

Burgrabia poznał ten ton; był twardszy niż zwykle, jednak od dawna dobrze znajomy. Powoli osunął się na kolana i zapłakał, prawie jak dziecko.

Przed sobą ujrzał wyraźnie przejrzystą, nieruchomą twarz Wolfganga. Zdawało mu się, że prześwituje pod nią inna, o odmiennych rysach, a jednak – jak w owym sennym koszmarze – była to wciąż twarz Wolfganga.

Nareszcie ją rozszyfrował. Nie przypominała oblicza grafa Henryka.

To była jego własna twarz.

A wtedy ojciec chłopca uderzył po raz pierwszy.